PODAREK

DLA

PŁCI PIĘKNÉJ.

PODAREK
DLA
PŁCI PIĘKNÉJ.

POWIEŚCI I POEZYE

wydane przez

Karola Korwella.

OZDOBIONE RYCINAMI.

4.

WARSZAWA.

W DRUKARNI JÓZEFA UNGER.

1850.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

Ostatnie Spotkanie

z Angielskiego.

(z Ryciną.)

»Tak, znowu na przeznaczeń tajemniczych fali,
»Znowuśmy się znaleźli, tak, znowu spotkali.
»Lecz gdy nam nigdy serca nie biją wzajemnie,
»Na-cóż, na-cóż się mamy spotykać daremnie!
»Do twego łoża śmierci, wezwij twych wybranych,
»Od tylu lat przez ciebie czule ukochanych;
»Te oczy twę posłanie niechaj łzami roszą,
»W których tkliwe uśmiéchy czytałaś z rozkoszą.
»O mnie, tyś nie myślała, kiedy na turniejach
»Otaczało cię grono rycerzy zaletne;

»Nie myślałaś ty o mnie, gdym w serca nadziejach,
»Po nocach duszą w gwiazdy ulatywał świetne.
»Serce me owładnięte przez rycerskie życie,
»Zapomniało o wietrznéj, fałszywéj kobiécie.
»Sen to już tylko, sen wzgardy i sromu,
»O twéj miłosnéj niewiary bezwstydzie;
»Sen twéj młodości pod ciosami gromu; —
»Więc zkąd ci teraz mówić o tém idzie?"

*

Rycerz przeszłe jéj błędy tak wyrzucał twardo,
I za miecz długi, ciężki, chwycił dłonią hardą.

— Ona słodko na jego oblicze spojrzała;
Chłodną, zwiędłą, wybladłą rękę swą podała;
Chciała mówić, — lecz na jéj ustach konających
Gasły słowa bez dźwięków z tajń serca idących.
Ah! nic mu nie wzruszyło serca tak głęboko,
Jak w jéj słowach bez życia widne duszy bole;
Łagodność, rosą czucia zwilżyła mu oko,
A smutek chmurą żalu zawisnął na czole.
Uśmiech jéj darmo k'niemu o spółczucie wołał,
Lecz jęków jéj nieczule wysłuchać nie zdołał.
Nie latami uwiędła bujna jéj uroda,
O nie! — wiek jéj nie styrał — jeszcze była młoda.

W tych jasnych, rozpuszczonych bez ładu warkoczach,
W tych głęboko zapadłych, już gasnących oczach,
Jeszcze jéj młodość, luby urok zostawiła.
Jéj wybladła i zimna twarz, podobna była
Do posągu, co w grobach z marmuru wykuty,
Mówi niemym wyrazem żalu i pokuty. —

*

»Ta płonąca pochodnia w ręku zakonnika,
»Co mi bramy wieczności modlitwą odmyka,
»Przed świtem zgaśnie — i ja, będę już bez duszy.—
»Jeszcze jakiś głos pieści błogo moje uszy!
»Jeszcze jakąś nadzieją serce me oddycha!
»O! niechaj mię tak srogo twoje nie odpycha!
»O! ja się jeszcze muszę dowiedzieć od ciebie,
»Dopóki nie ulecę do drugiego świata.....
»Pamięć ma, na zamierzchłém wiosny mojéj niebie,
»Ściga marnie odkwitłe młode moje lata!.....
»Ostatnie myśli moje w śmiertelnéj kolei,
»Byłyby czystszych uczuć, jaśniejszych nadziei....
»Chęć próżna.... nie, ja mówić nie mogę o tobie.....
»Nigdym ja nie doznała w żadnéj życia dobie,
»Wśród wszystkiego, co dusza posiadała moja,
»Takiego szczęścia, takiéj miłości, jak twoja!" —

*

Z stygnących ust jéj, co się nieznacznie kleiły,
Wyrazy coraz słabsze, ciższe wychodziły.
Rycerz jednak swój oddech w głębi piersi chowa,
Aby jeszcze mógł słyszéć ostatnie jéj słowa.
Usłyszał swoje imię — i na jéj posłanie
Rzucił się; — już omdlałą, martwą podniósł głowę;
Spłynęły mu na rękę włosy jasno-płowe,
I widział lat swych młodych kochanki skonanie.

*

W starym kościele, z chorem na zachód zwróconym,
Błąka się cień niepewny po tle okopconém;
Lecz słabe tylko światło wlewa pocieszenie.
Ciemne jodły, kryjące wysokie sklepienie,
W téj ciszy umarłemu świętości dodają.
Na murach, co się w smutne postaci składają,
Imiona tylko znajdziesz w śmierci upominku;
A w środku, marmurowy posąg między niemi,
Z rękami w krzyż na piersiach skromnie złożonemi,
Jakby po znojach życia tam szukał spoczynku.

*

Stary mnich opowiada życia jéj koleje;
I kończąc, jak ja teraz, powtarza trzykrotnie:
Nigdy tam dni szczęśliwych gwiazda nie jaśnieje,
Gdzie miłośna przysięga złamana sromotnie. —

Wiktoryn Zieliński.

DOBOSZ.

POWIEŚĆ

(z r. 1740.)

I.

Było to dnia 4 Października roku pańskiego 1741. Chmury księżyc zaciemniły, gdzie niegdzie gwiazda jaśniała, wiatr poświstywał i wznosił tumany piasku na szerokim gościńcu. Szumiały gęstym liściem rosochate lipy z wierzchołkami wieńcowemi, ocieniając dworzec szlachecki, którego ściany jak zaspa śniegu, bielały pomiędzy zielonym liściem lipy, żółtawéj topoli, wierzby, z których już liść zlatywał, i kilku smereków, zdobiących niewielki podwórzec.

Choć szum wiatru był silny, już od bramy i parkanu wchodzący słyszeli gwar przytłumiony; zlewało się weń kilka głosów, a jeden był wydatniejszy, gruby, przeciągły, mocny: znać pana, co rozkazywał domownikom i czeladzi. Przed samym gankiem stały trzy *brodzkie* bryki, dwie wypakowane, na trzecią ładowano z pośpiechem sprzęty.

W jedném oknie tylko od sieni błyskało słabe światełko latarni, reszta okien pokryta okutemi w żelazo okiennicami.

Na twarzy domowników znać trwogę: stali rzędem podstarości, gajowy i karbowy; kilku z czeladzi znosiło na bryki tłomoki i kufry. Aż w trzeciéj izbie od sieni stał pan domu, przy łożu choréj małżonki, lampka jeno oświecała tę sypialnię.

— Już jedziesz Jędrusiu? ozwał się głos słaby niewieści z łoża.

— Odjeżdżam! zabrzmiały słowa w odpowiedzi pana domu, odjeżdżam zaraz, bo on prędko przybędzie: niech go przyjmą najuprzejmiéj. Wydałem już polecenie gospodyni; ty się, droga Rozalio, nie martw, nie będzie się mścił nad bezbronną niewiastą: polecam cię Bogu i Jego świętéj opiece! Gdybym został, zmazałby pewnie goralską siekierę we krwi mojéj, chociaż Bóg widzi, żem mu nigdy drogi nie zachodził.

Tu upadł na kolana, złożył ręce pobożnie, modlił się krótko, lecz szczerze, i z wymówioném Amen powstał,

ucałował chorą małżonkę, i wyszedł prędkim krokiem do sieni. Gdy mu pokłon oddawał podstarości, gajowy i karbowy:

— Zrobić wszystko jak kazałem, wyrzekł surowo; siadł do pierwszéj bryki, a gdy woźnica, biczem znak krzyża przed końmi zrobiwszy, dosiadł na kozieł, zaturkotały koła trzech bryk ciężkich i prędko z przed oczu patrzących zniknęły.

— Trzeba i o sobie pomyśléć, rzekł gajowy z obawą; pan z domu ucieka daleko, my mamy bór blizko, to nogi zapas i w nogi.

— Ja nie głupim uciekać, odpowiedział karbowy: bo gorzéj byłoby, jakby złapali na drodze, daliby dopiero kwaśnego bigosu skosztować.

— A to czemu? zapytał z większą bojaźnią pierwszy,

— Dla czego? to oczywista! Sądziliby, że biegniesz by sprowadzić towarzyszów na nich, a tak prędko porachowałbyś gruszki na wiérzbie.

— Róbta, jak się wam podoba, wyrzekł sędziwy podstarości, ja się z miejsca nie ruszę: nie taki on zawsze okrutny, jak gadają ludzie; nie raz chudzinę zapomógł. A wreszcie, cóż ma się mścić nad siwemi włosami, i biedną panią, co w niemocy leży. Uciekajta tchórze, ale nikt nie powie, że stary Junosza odbiegł ze strachu dobréj pani wtedy, gdy mu pan, dozór nad całym domem, i panią opiece troskliwéj powierzył.

Ledwie tych słów domówił, usłyszano świstanie: niedługo przybiegł chłopak wybladły z przestrachu: »już idą, już idą!" zawołał drżącym i cichym głosem, i pobiegł na poddasze do znajoméj kryjówki: za nim pośpieszył bojaźliwy gajowy.

Zawyły psy na podwórzu, a z poświstem wiatru, dochodziły coraz bliżéj słowa znanéj piosnki rozbójników:

«Na wysokoj połonyńci y zrodiły ryżki,
Ta cy pidem pane brate, na wesni w opryszki?
A wrobimo topirczyki ta z samoji stały.
Ta nekłyczmo my nikoho, pidemo my samy!
A wrobimo topirczyki ta z samoji midy,
Jak naskoczym u wikomi, ta zaznajem bidy!"

Podstarości wyjął z zanadrza szkaplerz z relikwią, pocałował go ze łzami, a żegnając drżącego karbowego wyrzekł:

— Jeżeli Bóg da wyjść cało, niezapomnę Waszeci, żeś mnie nie odstąpił w takiéj godzinie.—I zaraz porwał latarnię, i wyszedł na ganek.

Do sześćdziesiąt opryszków stało na podwórzu zbrojnych. — Jeden wyższy nad wszystkich głową, szedł naprzód, i właśnie gdy wstępował na schody podniesionego ganku, spotkał starego Junoszę, który zdjąwszy czapkę, uścisnął mu kolana i przyświecał w pomroku. Ten hołd starca, podobał się zbójcy; dał znak swoim, żeby się zatrzymali, a dobywszy pistoletu z za-

pasa, w którym dwie pary jaśniały, bogato nabijane srébrem, i odwiódłszy kurek, weszedł sam za przyświecającym Junoszą.

W sieni brwi zmarszczył, ujrzawszy wysokiego karbowego, i już wziął go na cel, gdy Podstarości wyrzekł: że to jest domownik i pomocnik jego. Uśmiechnął się Dobosz, gdy ten mu nizki oddał pokłon i wszedł do pierwszéj komnaty.

Stół już był nakryty, zastawiony wódkami, miodem, wędlinami i nabiałem. Gospodyni, zostawiona przez pana domu, chyżo się krzątała, a dwie dziéwki wkrótce przyniosły ogromne baranie pieczenie, świeżo z rożna zdjęte i upieczoną na węglach kukurydzę.

Spojrzał z radością Dobosz na te przysmaki górali — Rusi, a zdziwiony uprzejmością, wesoło rzekł do gospodyni, głaskając pod brodę.

— Dobre! dobre! na majesz za to!—i odjąwszy z kapelusza sznurek, na który nawlekał zdobyte złoto, zsunął trzy sztuki, i darował już daleko spokojniejszéj niewieście.

— A de wasza pani?

Gospodyni wskazała sypialnią, a opryszek, zostawiwszy przy stole swoich towarzyszów, wszedł sam z gospodynią.

Pani Karpińska była blizką rozwiązania. Poznał stan cierpiącéj, a uchyliwszy kapelusza:— Ne bijte sia pani,

my wam żadnyj szkody ne zrobimo, rzekł, i na palcach z cicha idąc, powrócił do swoich.

Gospodyni została: wkrótce pani powiła syna. Był-to on sławny późniéj śpiewak Franciszek Karpiński. Płacz tego niemowlęcia, zwiastun jego przyjścia, mięszał się z nutą zbojeckiéj pieśni, bo rozochoceni opryszki i podpili, piosnką radość ogłaszali, jakby witając urodzenie wieszcza.

Dobosz, uwiadomiony o urodzonym synie, za zdrowie jego spełnił szklankę okowity, i prosił matki, aby na pamiątkę, dziecię jego imieniem nazwała. Przyrzekła mu wtedy z bojaźni, ale pobożna niewiasta wolała grzech złamanego słowa przyjąć na sumienie, niżeli dziecię ulubione, imieniem Alexego nazywać, tém imieniem, które nosił straszny i groźny w okolicy zbójca.

We dwadzieścia lat późniéj, taż sama gospodyni, uczyła wnuczęta swoje ulubionéj piosnki:

Potok płynie doliną,
Nad potokiem jawory:
Tam ja z moją Justyną,
Słodkie pędził wieczory:

którą młody panicz, jak nazywała, napisał, — a ma on głowę nielada.

*

II.

Na gołéj skale śnieg w bryle leżał, a na nim orzeł, szerokim dziobem i ostrym szponem rozdzierał zdobycz złowioną. Na nagiéj skale, poniżéj trochę, na mchu zielonym stał goral, wzrok przenikliwy puścił na drogę stromą, wązką i krętą, co szła od strony Węgierskiéj. Tak stał spokojnie, że kto nań spojrzał zdala, nie widział człeka, lecz raczéj drzewo.

Zdala w zakręcie coś zamignęło; goral dotąd nieruchomy, skrył się nagle po-za bukiem. Czy-to nagłe poruszenie, czy łoskot broni co miał przy sobie zestraszył orła ze skały. Zaszumiał szerokiém skrzydłem, spłoszony rzucając ścierwo, i tak prześpiewał w polocie:

»Za tém drzewem siedzi zbójca, chciwém okiem »patrzy wciąż: czy nie zoczy podróżnego, by mu zdarł »bogaty trzos! Po-za pasem błyszczy srebro, co utaja »broń straszliwą! Nie ulecę jeszcze tyle, by nie do»szedł mój tu głos, a podróżny zubożony, na kolanach »będzie błagał, by mu życie choć darował.“

*

Radość na twarzy Dobosza malowała się widocznie; bo ukryty po-za bukiem, widzi dobrze choć zdaleka, że bogatą zdobycz schwyci. Na małych koniach jechało kilku; nie zrachował jeszcze wszystkich, bo mu skała zasłaniała, ale po ubiorze poznał, że cały orszak po-

dróżny, musi mieć napchane trzosy, jechali bowiem Ormijanie.

Nie miał przy sobie więcéj jak jednego towarzysza, apodróżnych już naliczył dwudziestu i czterech.

Swistnął z cicha, a opryszek stanął zaraz przy swym panu. Dobosz mu szepnął słów kilka w ucho, i prędko zsuwa się ze skały. Na tém miejscu gdzie wódz stał, stanął jego wierny drużba, a obejrzawszy strzelbę, podsypał świéżego prochu, i długą lufę skierował na orszak podróżnych.

Niewiedząc co im zagraża, jadą gęsiego Ormijanie, jeden za drugim po wązkiéj ściéżce. Nagle z za skały wyskakuje goral, i mocnym głosem zawoła: »Dobosz! Dobosz!" powtórzył to hasło drugi z wierzchołka skały, aprzelękli wędrownicy ujrzeli z przestrachem, jak goral olbrzymi z wysoka wziął na cel wszystkich. Dobosz nie czekał ni chwili, dobył z za pasa pistoletu, odwiódł kurek, i pierwszemu przyłożył do piersi. — Zeskoczył z konia Ormijanin; chciał prosić, lecz gdy spotkał wzrok Dobosza, spuścił oczy, zamknął usta, i zpod płaszcza podróżnego, odpiął łosi trzos ładowny, gdzie brząkało samo złoto.

Dwudziestu trzech towarzyszów zsiadło z koni, przejęci strachem i jak stado kuropatw, przed polotem jastrzębia, zwiesili głowy na piersi, i opuścili bezbronne ręce. Każdy z Ormijan widział prosto w serce wymierzoną lufę karabina opryszka, stojącego na wyso-

kiéj skale; każdemu w uszach brzmiała groźna *Dobosza* nazwa. A sam Dobosz, jakby haracz dobrowolny, do każdego przystępując odbierał trzosy bogate, i rzucał na wielki kamień, co stérczał przy drodze.

Odarci Ormijanie, złupieni, na małéj polance stanęli razem, czekając na nowy rozkaz zbójcy: ale Dobosz kiwnął ręką tylko, dając pozwolenie do odjazdu. Zrozumieli ten znak niemy; radość ożywiła ich serca; dosiedli koni, i na szerszéj drodze, sporym puścili się kłusem. Już opuścili wysokie góry i ciemne lasy, a chociaż ujrzeli wsie rozsiane w dolinie nad Prutem, pędzili jeszcze zpośpiechem i strachem, bo każdy (jak późniéj mówili) czuł oparty koniec lufy karabina onego ze skały opryszka, na własnym karku.

III.

W pobliżu Bolechowa stoi dotąd cerkiew mała, okolona smerekami, a stoi na skale wysokiéj. Obok cerkwi, w skromnym domku, mieszkał ruski pop sędziwy. Słońce było na zachodzie; właśnie stał przy świętéj cerkwi, i poglądał to na miasto, jak na dłoni, to na rzekę, by zwierciadło, co w zakrętach przerzyna zielone łąki i złociste pola. I tak stał w zadumie, że nie usłyszał nawet, jak z sąsiedniego lasu, sporym krokiem zbliżył się doń opryszek. Dopiéro gdy uczuł dłoń żylastą, wspartą na swojém ramieniu, odwrócił głowę, i po stroju, i obliczu, poznał groźnego *pustaka.*

— Dobosz (tak mówił po rusku) przykazał, ażebyście wieczerzą jutro, po zachodzie, na trzydziestu pustaków mieli.

A wymówiwszy te słowa, spojrzał raz jeno na miasto, i prędko znikł w lesie.

Niedaleko od téj cerkwi, bielił się dwór możnego szlachcica, którego po herbie *Rawiczem* zwano. Smiały i odważny, już nie raz stawił opor zuchwałemu Doboszowi.

Raz (był-to wieczór grubéj jesieni,) wiatr zimny przewiewał; pan domu kazał dobrze okna pozamykać: już miał snem odpocząć, gdy ujrzał w jednéj komnacie niedomkniętą okiennicę. Spojrzał przez szybę, i widzi pod murem zaczajonego opryszka, co podważył drągiem grubą z dębu okiennicę. W największéj cichości zebrał czeladź, domowników, i uzbroił należycie: pozamykano drzwi wszystkie dobrze, zostawując ono okno niezamknięte.

Czekali godzinę — czekają i drugą; spojrzał Rawicz oknem, aż w lipowym szpalerze, widzi bandę opryszków. Czeladź i domownicy podsypali świeżym prochem celne strzelby: pan domu z dwoma gajowemi stanął przy niezamkniętém oknie, reszta obsadziła drzwi i okna wszystkie obszernego dworu.

Pogaszono ogień; ciemnota i cichość w dworze uradowały opryszków: to bowiem przekonywało, że mieszkańcy uśpieni, ulegną ich zuchwałości, a łup bogaty

nagrodzi im trudy. Radość była ich większą, gdy spotkali cztérech hajduków dworskich (którzy przeszli na stronę Dobosza) świadomych wszelkich kryjówek dworu. Rawicz zgrzytał zębami w uniesieniu, poznawszy własnych hajduków, że go zdradzili! Spojrzał na swoich domowników, a niedostrzegłszy na ich twarzach bojaźni, gotowych wszystkich do zaciętéj bójki, ochłonął z gniewu i weselszy odmówił z cicha: »*Pod twoją obronę.*"

Rozkazy Dobosza były krótkie: sześciu najśmielszych stanęło pod oknem, gdzie okiennicy niedozwolili zamknąć, i gdzie żelaznéj kraty nie było. Że dwór stał na wysokiem podmurowaniu, podsadzili odważnego *Pyłypa* na barkach, który równie zręcznie jak prędko roztworzył okiennicę, odwrócił się i plecami uderzył silnie, a szyby i ramy wszczęt poszły, i stanął na oknie. Rawicz nie czekał ni chwili; zmierzył, a z połyskiem na panewce, Pyłyp ugodzony w samo oko, zwinął się, i na znak padając zabity w ogród, potłukł ciałem swoich towarzyszy.

Za starą lipą stojący Dobosz, wydając jeszcze rozkazy dwudziestu opryszkom, zadrżał na strzał, nie z bojaźni ale z wściekłości, widząc Pyłypa, jednego z najodważniejszych, zamordowanego.—Przypada pod okno i sam chce się wdzierać, gdy go drudzy wstrzymali, pokazując, że trzech siedzi już na oknie. Ile się uradował, prędzéj jeszcze zasmucił, bo kule domowników

i czeladzi szlachcica, zrzuciły wszystkich na ogród. Dwóch zabito do razu, a trzeci w pół-godziny skonał.

I szturm do drzwi głównych dworu, nie udał się wcale; to prawda, że toporem wyważyli, lecz zaledwie mocne podwoje z łoskotem upadły, dwadzieścia kul ołowianych wstrzymały zuchwalców; pierzchnęli jak stado szpaków. Dobosz poznał; że to nie przelewki; świstnął całemi piersiami, a gwizd jego, pomimo gęstych strzałów i wrzawy, wszyscy usłyszeli. Opryszki trupów swoich i rannych unieśli, a Rawicz, nie mając dostatecznéj siły do gonienia zbójców w gęstym lesie i po górach, nie pędził za nimi.

Ostatni szedł Dobosz ze zwieszoną głową, przeklinając nieszczęśliwą godzinę napadu. Poprzysiągł srogą zemstę Rawiczowi, i żeby jéj dopełnił, na własnym pistolecie w pośród towarzyszów przysięgę powtórzył. Dowiedział się o niéj Rawicz, był przeto więcéj baczniejszy, bo wiedział jak ważny u tych łotrów jest ten rodzaj przysięgi.

Rok już dobiegał, jak w ciągłéj zostając obawie, zrywał się co-nocy nieraz, pewien napadu, skoro usłyszał od silnego wiatru poruszenie okiennic. Raz, wydał już był rozkazy do obwarowania jak zwykle swojego dworu, gdy na podwórze zajechał znajomy proboszcz ruski z pod Bolechowa. Bladość jego twarzy i pomieszanie uderzyły Rawicza. Pop opowiedział z przestrachem, jakie dziś

poselstwo odebrał od Dobosza, i że ma mieć na jutro wieczerzą gotową na trzydziestu pustaków.

— To dobrze, to dobrze! jakem szlachcic, — zawołał uradowany Rawicz, a pop z podziwem nań poglądał. — Miéj wszystko gotowo jak kazali, — i do ucha mu szepnął, — przyjdę tam z mojemi ludźmi, dobiorę śmiałych towarzyszów, i da Bóg, ze wschodem słońca, będę mieć tę satysfakcyę, że każę tego łotra przed oknami mojego dworu powiesić. Niech patrzy na mój herb rodzinny i pamięta, że z niedzwiedzich pazurów nie tak łatwo się wymknąć. No, verbum nobile, jakem szlachcic będzie dyndał.

I pełen radości, uspokoiwszy przybyłego gościa, starym miodem częstował, sam spełnił kilka puharów, i wysławszy tajemnie do najbliższéj komendy po pięćdziesiąt towarzyszów, marzył o zwycięztwie nad opryszkami, i widział we śnie związanego Dobosza.

IV.

Zaledwie świtać zaczęło, pięćdziesięciu towarzyszów przebranych i Rawicz z całą swoją czeladzią i domownikami, osadzili skrycie dom popa i cerkiew całą. Nikt ze służących cerkwi nie wiedział o tém: żaden odgłos, ani szczęk broni, nie zdradził ukrytych.

Rawicz zostawił w domu żonę i troje małych dzieci; uzbroił sześciu pachołków doświadczonéj wiary, pod

dowództwem Ruszczyca, swego pokrewnego; kazał zamknąć i obwarować dwór cały: a gdyby ujrzeli opryszków, gęsto sypać ogień, który miał służyć za hasło dla niego, żeby przybywał swoim na pomoc. — Dwór ten, położony na dolinie i widzialny z cerkwi, był oddalony jeno o pół mili.

Przeszło południe. Pop kazał wieczerzą na trzydziestu pustaków przyrządzać; wychodził często niespokojny, czy niespotka którego, ale daremnie wypatrywał. Uderzyła godzina wyznaczona; słońce już zaszło z za góry. Rawicz niecierpliwy, wyszedł tajemnie z kryjówki, stanął za świrkiem i w zamyśleniu spojrzał na dolinę. Wśród łąk zielonych bielił się dwór jego; nagle dym mocny zaciemnił cały; — zadrżał, przeciera oczy, dach cały w płomieniach, a silny wicher rozdymał pożar. Załamał ręce i wydał krzyk tak przeraźliwy, że czeladź, domownicy i towarzysze wybiegli razem z ukrycia. Ale Rawicz już był daleko, pędził jak jeleń po dolinie. — Spojrzeli wszyscy; jeden odgłos: pali się! pali! wykrzyknęli, i w ślady Rawicza pognali.

Ciemno było w komnatach dworu Rawicza; młoda małżonka siedziała przy kołysce małéj coreczki uśpionéj i przędła na kołowrotku; najstarszy syn w siódmym roku machał kordelasem myśliwskim, siedząc na drewnianym koniu, a młodszy, oparłszy bibliją z obrazkami na kolanach matki, przy świetle lampy oglądał z ciekawością wizerunki.

Ruszczyc zostawiony z sześcią pachołkami, wyszedł na poddasze i wyglądał dymnikiem, ciekawy bitwy z opryszkami, a pachołcy w izbie obok sieni popijali kwartę miodu.

— Co ci to za diabeł, że jeszcze nic niesłychać od cerkwi, — rzekł stary Tadeusz: taże i doba po temu, jeśli prawdę ludzie gadali.

— Dyć poczekajma trocha, usłyszymy niedługo grajków, aż się okna zatrzęsą.

Ruszczyc w gęstwinie ujrzawszy kilku ludzi, zwrócił na nich całą uwagę, a przecież gdyby był spójrzał w ogród, poznałby Dobosza, jak z gromadą swoją, z cicha się skrada, trzymając w ręku gorejącą głownię. I przystąpił blisko dworu, podsadzili go na barkach; silną ręką zerwał kilka gontów, rozdmuchał głownię i rzucił na nię pęk słomy. W mgnieniu oka suche smolne gonty zajął silny płomień, a Ruszczyc jeszcze wzrok trzymał na dostrzeżonych opryszkach w zaroślach. Nagle dym poczuł, obraca się i widzi większą połowę dachu w płomieniach; zbiega na dół, a krzycząc z gardła: gore! gore! wpadł do izby pachołków, a potém z nimi do komnaty pani Rawicz. Wystraszona niewiasta, porwała córkę z kołyski, Ruszczyc obu synów, i wśród walących się belek wybiegli szczęśliwie do sieni. Roztwarto drzwi główne: jakiż widok nowy! stoi Dobosz z drużyną swoją. Struchleli pachołcy; zbladł pierwszy raz w życiu z przestrachu Ruszczyc, a

biedna matka, tuląc do siebie dzieci, upadła na kolana i wyciągnęła do zbójcy białe dłonie, prosząc o litość.

Pożar niszczył gwałtownie drogie obicia, makaty i bogate sprzęty, a klęcząca niewiasta zapomniała o wszystkiém, zasłaniając własném ciałem drobne dziatki. — Widziała śmierć pewną, a mniemała, że kula choć ją zabije, nie urazi dziatwy! W tém świstanie kilkakrotne usłyszano, naprzód zdala, potém coraz bliżéj. Na to hasło opryszki zaczynają się cofać do lasu, a Dobosz ostatni, ze sztuccem dwururnym, gwintowanym, stanąwszy na krańcu boru, patrzył jak ogień, który rozniecił, dwór wspaniały zamieniał w rozwaliny i gruzy.

Bez tchu, wybladły, z iskrzącemi oczyma, z pałaszem w ręku, strzelbą na ramieniu, wbiega Rawicz na dziedziniec, za nim pięćdziesięciu towarzyszów, czeladź zbrojna i domownicy. Pan dworu w płomieniach, nie biegł gasić pożar, ale ze łzami ściskał żonę i drobną dziatwę. Jeszcze ta godzina nie nadeszła, w któréj wczora marzył o zwycięztwie i pochwyceniu Dobosza, a już nie miał gdzie marzyć, nie miał swego poddasza: bo mściwe opryszki i całe gumna spalili. Przy płomieniu swego mienia, Rawicz dziękując Bogu za ocalenie żony i dzieci, smutnie powtarzał pokręcając w zamyśleniu wąsa: »Homo proponit, Deus disponit."

Dobosz tymczasem ze swymi przychodzi do wystraszonego popa, a dotrzymując obietnicy, zajadał smaczno mamałygę i kukurydzę, popijając okowitą, i prze-

praszał zarazem gospodarza domu, że się spoźnił o dwie jeno godziny.

V.

Ciemny bór otaczał w koło; na mchu skalistym spoczywała drużyna Dobosza przy nanieconych ogniskach: w małych kociołkach gotowali kukurydzę, a na drewnianych rożnach piekli baraninę.

Zdala siedział zamyślony Dobosz. Kapelusz zdjął z głowy; świécił złotem i błyszczał, odbijając promienie zachodzącego słońca, bo sznur długi nawleczonych dukatów okręcał go cztery razy w około. Dziobenka u prostego opryszka świecąca mosiężnemi guzikami, u niego świeciła równie złotem. Dwie pary pistoletów tureckich, bogato nabijane srebrem i nóż potężny, wyglądały z za szerokiego pasa. Sztuciec dwururny leżał obok. Był zmęczony; rozpiął kołnierz od koszuli i pokazał piersi szerokie, wyniosłe i obrosłe kudłami niedźwiedzia. Przeciągnął się kilka razy, jakby chciał nową giętkość nadać ciału; poziewnął i ukazał zęby białe, jak kły dzika.

Powodzenia pierwiastkowe rozzuchwaliły śmiałka; mniemał, chociaż już raz odebrał naukę od Rawicza, że jeszcze lepsze zdobędzie łupy w przemożnym domu Potockich, gdzie napad przedsięwziął. Rzuciwszy się niedbale na mech miękki, marzył o złocie i bogactwach, które zdobędzie. Kwarta starego miodu i kilka szkla-

nek wódki, zdobycz piwnicy jakiegoś szlachcica, rozweseliły opryszka. Wstał, przeciągnął się raz jeszcze, a patrząc na zachodzące z za góry słońce, dał znak do modlitwy. Był-to dzień sobotni, w którym zawsze jeden głośno odczytywał Ewangelią po rusku, po niéj modlitwę, a tę cała banda odmawiała, zdjąwszy kapelusze. Uszykowali się w wieniec; Dobosz stanął we środku, a przy nim opryszek, umiejący czytać; wszyscy się pobożnie przeżegnali i powtarzali słowa modlitwy. Amen — wyrzekł czytający, — Amen, odbiły lasy, i zabrzękła broń zbojecka, bo zaraz cichym pochodem zeszli na doliny.

Trzech opryszków, zostawionych na Prucie ze trzema łodziami, podpłynęli w zarośle. Miesiąc w pełni przyświecał, a czarne lasy, gdzieniegdzie ubielone śniegiem, łąki zielone i pola tak były widne, jak gdyby promień je słońca oświecał. Krzywonos, otulony bundą, stał pod wiérzbą, natężał ucho ciekawie ku téj stronie, gdzie Dobosz obrócił się ze swymi chłopcami, gdy dwaj jego towarzysze, strudzeni, wyciągnięci w łodziach, smaczno zasnęli. Stojąc na straży, to spoglądał na bory i góry onéj twierdzy opryszków, to nastawiał ucha ku stronie zachodniéj, skąd wkrótce usłyszy wrzawę i strzały. — Lecz próżno czekał; chłód wieczoru zziębił mu ciało; otrząsł z bundy i długich włosów kroplistą rosę, a oparty o pień drzewa uczuł, że drzémota zamyka mu oczy. Lecz nie był to sen mocny, bo dwa dalekie

naprzód strzały, a po nich kilkadziesiąt wystrzałów i krzyki, płynąc po rosie, uderzyły w jego ucho. Zadrżał zbudzony, przetarł oczy, a krzyki i strzały nie ustają wcale. Nieoddalały się one; ale coraz zbliżały i tak silne uderzyły o wody Prutu, że dwaj Krzywonosa towarzysze zbudzeni, stanęli na nogach. Ciemna chmura zakryła księżyc, a wpomroku chwilowym błyskały dalekie strzały. Krzywonos, z lekkością wiewiórki wdarł się na buk stary, a rozgarnąwszy rosochote konary i liść gęsty, wychylił głowy i zapuścił w tamtą stronę wzrok sokoli.

Nagle świsnął przeraźliwie, i zahuknął jak nocny puhacz: z trwogą usłyszeli tak złowróżbe hasło; porwali wiosła, nożami odcięli sznury, któremi przywiązali byli łodzie, i w mgnieniu oka na środek wypłynęli Prutu. Poszedł za ich przykładem Krzywonos, zostawując na los szczęścia swoich towarzyszów i pana.

Krwią zbroczony, dwa razy cięty w głowę, z przestrzeloną ręką, uchodził Dobosz, patrząc z wściekłością, jak liczni jego towarzysze, rozpierzchli się w różne strony. Najwaleczniejsi padli pod murami dworu, lub schwytani, jutro po wschodzie słońca, z wysokiego drzewa nie dojrzą zachodu, a ich ciałami wiatry pobujają. Ciężką, szeroką i wyniosłą oddychał piersią; rozdarł na niéj koszulę, bo mu jak pancerz żelazny ciężyła. Omdlałym krokiem postępował zwolna; zale-

dwo wyszedł na pole, spotkał wieśniaka z furą nawozu. Już iść nie mógł. — Bat'ku ratujte! — wyrzekł i upadł.

Po szerokim gościńcu, kilku towarzyszów pancernych gnało na dzielnych koniach i właśnie na oną ścieżkę zawrócili. Kmieć zobaczył ich zdaleka, lecz nie zmieszany, szedł przy furze i zwolna poganiał konia. Towarzysze pominęli furę, rzucając wzrok bystry na wszystkie strony: Dobosza już niebyło. A przecież skryty na furze opryszek, leżąc omdlały, gdy usłyszał szczęk dobrze mu znanéj broni, sięgnął do pasa, pochwycił za pistolet, lecz ręka osłabła, nie posłuchała myśli, i bezwładna opadła nazad.

VI.

W pośrodku wyniosłych Karpat, jest wieś gorali, ruskich hucułów, zwana *Kośniacz*, wokół zasłoniona czarnemi lasami. W pierwszej chacie, znacznie oddzielonéj od innych, mieszkał Stefan Dzwinka, hucuł zamożny. Już oddawna sąsiedzi mówili, że Stefan ma tajemne związki z *didkiem* i opryszkami, a pierwsi i drudzy dostarczają mu pieniędzy. Jakoż, na niczém nie zbywało Dzwince, a idąc za powszechnym zwyczajem, niezważał wcale na miłośne związki żony z Doboszem: bo tam każda musi mieć swojego *Lubasa*. Wzgardziłby mąż taką żoną, którąby go nie miała, bo to pokazuje mu, że się ludziom nie podoba. Do-

bosz oddawna ukochał Hankę, żonę Stefana. W długie miesiące zimowe, u niéj najwięcéj przebywał, bo wypraw w tę porę nieprzedsiębrał nigdy; lecz z odgłosem kukułki, już jak pan lasów i gór wychodził na nowe rozboje.

Noc niewidna powiększała czarność lasów w około; — było po północy, a w jednym domu Dzwinki gorzał ogień, choć we wszystkich chatach zagaszono. Słychać było wewnątrz bieganie i przytłumioną rozmowę. Hanka zapłakana, przewijała rany leżącego na słomie Dobosza; a stara baba warzyła przy ognisku zioła i maście. Opryszek, blady, osłabiony dużym krwi upływem, przekléstwy i krzywieniem twarzy okazywał ból niemały. Wyciągniony, ciężko oddychał; baba, przyniesione zioła wlała mu w usta, a Dobosz wkrótce otworzył zaczerwieniałe oczy i jakby ze snu zbudzony odetchnął wolniéj. Niedługo zasnął twardo; czuwała nad nim Hanka. Baba, przygasiwszy ogień i zawarłszy dobrze drzwi chaty, zdrzymnęła się utrudzona pracą i niewczasem. Równo ze świtem, już dwudziestu opryszków spoczywało na sianie w stodole Dzwinki, zgromadzeni blisko swojego wodza. Rozmawiali z cicha o nieszczęsnéj wyprawie, co o trzydziestu przeszło braci zmniejszyła ich bandę. Wysłani na zwiady, radośną przynieśli nowinę, że towarzysze pancerni ślad ich zgubili i pognali w inne strony. Jeszcze słońce nie weszło na góry, a coraz więcéj rannych opryszków,

zgromadzało się z różnych zakątów. Obecność Dobosza i nadzieja, że wkrótce wyleczony będzie, ożywiła ich ducha i wzmocniła upadłą otuchę. Nadedniem, na spoconym i zhasanym koniu przybył i sam Stefan Dzwinka; powitał w swojéj chacie znajomego gościa i liczną jego drużynę. Nad wieczorem wsiadł na świeżego konia, a rzucając złowróżbe spojrzenie na chatę, gdzie Dobosz spoczywał: — Niedługo tak będzie, — pomruknął z cicha, — przyjdzie tobie koniec: i popędził w las ciemny. Trzos ładowny pobrzękiwał mu złotem, a brzęk ten przypominał, do czego się zobowiązał. Za lasem czekał nań szlachcic, jak poznać było z kubraka i szabli, — z tym odtąd łącznie niewyrzekłszy słowa, w dalszą puścili się drogę.

Dobosz, po czterech dniach niemocy, czuł się zdrowszym; począł więc zamyślać o nowéj wyprawie, ale nikomu zamysłu swego nie powierzał.

Piątego dnia, na tych samych łodziach, które go zaniosły na nieszczęsną wyprawę, przebył Prut brzemienny, bo dużo śniegów roztajało w górach: dwudziestu towarzyszów miał jeno przy sobie, reszcie kazał czekać w gromadzie, na wzgórzu w lesie, po tamtéj stronie rzeki. Lecz co samych opryszków zdziwiło, to dzień, samo południe, a szli na wyprawę, bo nakazał im Dobosz świeżo strzelby nabić, poostrzyć toporki, i sam nóż swój długi zaostrzył na granitowéj skale.

Dotychczas wieś Borszczów istnieje nad Prutem — był tam dziedzicem poważny szlachcic herbu *Topora*, towarzysz waleczny niegdyś sławnéj chorągwi hussarzy. On ze swoją czeladzią, bronił także dwór Potockich, przed kilkoma dniami, i najlepiéj dał się we znaki opryszkom. Dobosz postanowił sowicie mu zapłacić. Jak dzikie koty skradli się opryszki po cichu wyniosłą kukurydzą; żaden odgłos nie zdradził ich kroków. Nagle oskoczyli mały dworek; kilka tylko jęków, przez wybite okno, wiatr wyniósł na fale Prutu. Dobosz wybiegł z skrwawionym nożem, towarzysze z toporkami w posoce; wkrótce wybuchnął pożar, który spalił kilka trupów. Cała rodzina Toporczyka zginęła.

Słońce w południe dojmowało skwarem, a dworek jeszcze się palił. Przestraszeni kmiecie nie śmieli ratować, bo Dobosz, stojąc na łodzi, pasł wzrok dziki nieszczęsnym pożarem: za-późno uderzono w dzwon cerkiewny na gwałt; już tylko popioł z domostwa pozostał. — Ale dzwon ten napróżno nie zagrzmiał: przy pierwszém uderzeniu, łodzie z opryszkami odpłynęły chyżo na drugą stronę.

VII.

Jakiż to tuman na polu, i jakie wrzawy radośne? Wśród doliny mała chata; zdala od niéj dąb wyrasta

stary, a pnia tak grubego, że cztérech chłopców zaledwie objąć go zdoła. Od wieków pasterze używali pod nim chłodu, a w ranki i wieczory jesienne, palili częściami pień gruby. Choć ogień go zdawna niszczył, i wypróchniał już niemało, czołem zieloném od wieków jeszcze potrząsał zuchwale. Wokoło chaty, zbrojni na koniach siedzą sami towarzysze; wokoło dębu szlachta piechotna, z rusznicą na ramieniu, rozpalili ogień.

— Tam do diabła, *pele tego*, — rzekł jakiś wąsacz wysoki, — chyba bisa że ma w ciele; na własne oczy widziałem, jak ten poganin wybiegł z téj chaty. Chyba go ziemia święta pożarła.

— I ja toż samo, (odrzekł mu drugi) widziałem, żywie-Bóg, prawda! Dobosz! o przeklęty Dobosz, co naszego Toporczyka z całym rodem wymordował! O! gdybym go raz pochwycił, takbym w pieluchy okręcił, żeby mu kosteczka każda w drobny mak się pokruszyła. — I wyciągnął żylaste ręce, potrząsł niemi groźnie i zgrzytnął zębami.

— Ej, tu niema co goworzyć, poszukajma jeno pilnie, czy nieznajdziem tu gdzie szpary, w którą się ten łotr zacisnął: bo gdy zechce, w taką jamkę, gdzie jaszczurka się weślińie, to on wlézie i prześpi noc całą.

Gdy jedni poczęli troskliwie wyszukiwać jakiéj jamy, pozostali przy ognisku dokładali co-raz polan. I towarzysze konni, zmordowani pogonią, nie prze-

spawszy całéj nocy, puścili konie na trawę, zeszli się do ognia, a podłożywszy siodła pod głowy, wyciągnęli ciała zmęczone. Wiatr poddmuchiwał w ognisko, a to, dotąd mocnym buchające płomieniem, powoli zmniejszało się co-raz. Stary Jędra z Załucza, stojąc najbliżéj dębu, którego pień gorzał, słyszał kilka razy oddech mocny, prawie przy swojém uchu, a nawet raz mocne zakrztuszenie; odwrócił głowę, ale nikogo za sobą nie ujrzał. Wziął to za głos jednego ze swoich towarzyszy, co zasypiali smaczno przy ognisku, i więcéj nie dawał na to baczenia.

A jednak, gdyby pochylił głowy ku dębu, usłyszałby w pniu jego szmer cichy, czasem jęk mocniejszy, lub ciężkie westchnienie. Tam, skulony stał Dobosz, połykając dym czarny. W tym pniu już nieraz znajdował uchronę przed pogonią i omylił zajadłych gońców, co mu śmiercią grozili, ale teraz był w najgorszém położeniu; pień w części od spodu zwęglony, zajął się od bliskiego ognia, a wiatr żar mocniéj rozzarzał; dym dusił mu oddech; chociaż mu nietyle dokuczył, jakby komu innemu (nawykły był bowiem z młodu do niego, tyle lat przesiedziawszy w dymnéj chacie) jednak teraz zmęczony, z bijącą piersią, niemogąc zachwycić świéżego powietrza, czuł mocny ciężar, co mu piersi gniecie. Czuł okropne położenie, a jednakże dym błogosławił; bo on go jedynie zasłaniał od wrogów, co w koło

zasiedli. Uciekać nie mógł; konni towarzysze wnetby dopędzili; z całą więc odwagą czekał, co mu los zdarzy.

A pień, jego ochrona jedyna, żarzył się co-raz silniéj. Poczuł, że tlą mu chodaki; rozdarta koszula niezasłaniała zarosłych piersi; płomień, co buchnął nagle, zapalił mu zarost: choć ból uczuł piekielny, szeroką dłonią przygasił pożar nagły i ochronił brodę, wąsy i głowę od spalenizny. Od spodu czuł co-raz mocniejszy ogień, a opryszek, czasem jeno cichym jękiem, alboli mocném westchnieniem, objawiał ból, jakiego dotąd od żadnéj rany nie znał.

Szukający jamy na polu, albo kryjowki, wrócili z próżnéj wyprawy. Po spoczynku, towarzysze konni ruszyli kłusem, szerokim gościńcem, a szlachta piesza, wolnym krokiem zaczęła się rozchodzić.

Wtedy z pnia dębu, ostrożnie wysunął skaleczoną nogę Dobosz, i rozrzucił ognisko; poczém wychylił głowę z przepalonym włosem, z iskrzącemi oczyma, i odetchnął świeżém powietrzem:—tak był go łakomy, że długą chwilę, z otwartémi ustami, chwytał chciwie zbawczy żywioł. Wychylił się więcéj nieco, i spojrzał na dolinę wokoło; jazdę, tuman kurzawy zakrywał; szlachta już nikła w lesie; w ówczas wyskoczył rzeźwo, przesadził stos, tlący się jeszcze, i upadł bolami zmęczony, na zieloną murawę.

VIII.

Słabo tlało na kominie w chacie Stefana Dzwinki, kędy Dobosz rozweselony zabawiał z Hanką. Stary miód w gąsiorze i żytnianka, dodawały wymowy i radości opryszkowi; — ale jego ukochana Hanka nie dzieliła téj radości, z niepokojem obracała oczy na drzwi zamknięte ałkierza, a kiedy Dobosz pytał o powód smutku, z bojaźnią wyrzekła: — Myślę, że umrę. — Ho, ho! zawołał zbójca, umrzeć każden musi, ale mnie nikt nie zabije, mojéj skóry nie przebije kula, chyba.... i zamilkł zmarszczywszy czoło.

Hanka, wzrok martwy zwróciła doń, i drżącą ręką dolewając w kubek drewniany starego miodu, nieszczędząc pieszczot, zapytała:

— Jakaż cię kula zabije?

Dobosz wychylił miód podany, a ocierając wąsy: odrzekł: — Strzelbę, trzebaby nabić srebrną kulą, na jéj wierzch położyć dziewięć ziarn pszenicy, któreby pop poświęcił i odmówił dwanaście ewangielij nad niémi.

— Takaż więc kula zabije cię pewno?

Opryszek kiwnął głową, gdy w téj chwili usłyszano poruszenie w komorze — zerwał się na nogi. Hanka zbladła. Dobosz otworzył drzwi przymknięte i z pistoletem w ręku wpadł do komory, ale ujrzawszy Stefana Dzwinkę, jak wyciągniony na słomie chrapał, spokojnie powrócił nazad.

Zaledwie zmrok padać zaczął, opuścił chatę Stefana, a gdy stanął pod czarną górą, świsnął na cztéry strony świata i stu mołodców zbrojnych, stanęło w pogotowiu na rozkazy wodza. Nie rzekł i słowa, wskazał na doliny, i w milczeniu z gór zeszli, wązką i stromą ścieżką.

A w chacie opuszczonéj rzewliwie płakała Hanka.— Stefan z Lachem dawniéj znajomym sobie, co z wylotów i szabli wyglądał na szlachcica, rachowali złoto. Lach pocieszał gładką Hucułkę, i wkrótce korale, wstęgi i paciorki, otarły łzy pięknéj. Całą noc topili talary; po usilnéj pracy ulali trzy kule. Szlachcic równo ze świtem opuścił chatę, a Dzwinka z kulami i garścią pszenicy, poszedł do cerkwi.

Hanka przed zwierciadłem, co jéj Lach podarował, próbowała korale, wstęgi i paciorki z radością, lecz gdy usłyszała dzwon cerkwi, zadrżała. — Jakaś myśl okropna napełniła jéj głowę; uklękła przed obrazem i cicho odmawiała modlitwę; snadź modliła się szczerze, bo twarz białą zrosiła łzami.

IX.

Z dalekich stron Pokucia śpieszyła szlachta i gromady wieśniaków na jarmark do Bolechowa. Pędzono stada rosłych bessarabskich wołów, koni. Skrzypiały kryte mazie, a telegi i kolasy pełne mieszczan, szlachty i przybranych szlachcianek, zapełniły cały gości-

niec. Kupcy ze Lwowa i Bukowiny rozkładali na rynku towary. Wszystkie gospody przepełnione były; nikt jak pamięcią zasięgnął, nie widział w Bolechowie tak świetnego jarmarku. Kobziarze, lirnicy, napełniali śpiewem rynek i cmentarze, a slepcy z sakwami na plecach, oprowadzani przez młodych synów, nucili pieśni nabożne.

W największéj gospodzie, co wśród miasta stała, najznamienitsi goście zasiedli. Dziedzice wsiów, dzierżawcy, i ci co przybyli ze stadami wołów i końmi. Tu się umowy zawierały, sprzedawano, kupowano, a złoto i srebro, brzękiem swoim górowało nad gwarnym hałasem, szczękiem zbroi i brzękiem szklanek i butelek, które wypróżniano ochoczo. Dwa antały węgrzyna już wypróżniono, a beczka starego maliniaku była na schyłku. Żyd arendarz uwijał się żwawo, ledwie mogąc wystarczyć nalewać, podawać i zgarniać pieniądze. — Kręcąc się po izbie szerokiéj, dwa razy już Hucuła, co mu zawadzał, wypchnął za drzwi, a goral zawsze wracał, jakby przeglądając w izbie gości, i rachując pieniądze. Właśnie Abraham czarny (tak zwano arendarza) przeliczał z garści złoto, gdy podniosłszy oczy, spotkał wzrok dziki Hucuła, co tkwił na czerwońcach. Żyd zadrżał, nie rachując daléj, wsypał w kieszeń, a przystąpiwszy do gorala, nalał mu szklankę wódki i podał.

— No, pijcie kmotrze, a idźcie sobie, bo tu ciasno.

— Ne bude tak: odrzekł z uśmiechem, i wychyliwszy szklankę wyszedł do sieni.

Na środku rynku powstała kłutnia; ten sam goral pochwycił za worek żydowi; gdy ten zaczął wzywać pomocy, uderzył go silnie obuchem toporka, a żyd upadł krwią zlany. Szlachta przytomna i towarzysze z chorągwi pancernéj, przysunęli się do gorala, poczęli mu grozić, ale ten odwinął bundę, dobył z zapasa parę pistoletów, i wziął na cel najbliższych. Rozskoczył się tłum bojaźliwie, i ci nawet co dobyli szabel, a Hucuł zahuknął trzy razy. Nagle ze wszystkich stron zagrzmiały głosy: Dobosz! Dobosz! i stu mołodców ze strzelbami na ramieniu, a toporkami w ręku, otoczyło rynek cały. Ten głos, to groźne imię, rzuciło przestrach na całe miasto: Dobosz! Dobosz! wołano zewsząd, a kto dosiadł konia, telegi albo kolasy, uciekał co żywo. Uderzono na gwałt w dzwony cerkwiów, a trwożliwe tłumy jeszcze strach większy przejął. Kilkudziesiąt szlachty i towarzyszów pancernych wybiegło na najbliższy cmentarz, zawarli wrota, a ukrywszy niewiasty w cerkwi, zagrozili dzielnym oporem.

Z wielkiéj gospody wszystko uciekało, ale niewielu mogło wybiedz. Abraham czarny, stulony w kącie, przyciskał drżącemi rękami nie próżne kieszenie, niezwracając nawet oczu na trzosy, i rozsypane na stołach złoto, które w powszechnéj trwodze zostawiono, ratując

swój żywot. Kilka strzałów rozpędziło tłum na rynku: nagle roztworzyły się drzwi gospody, i Abraham czarny poznał pierwszego Hucuła, co wchodził na czele kilkunastu opryszków. Był-to on goral, co oczyma rachował złoto i któremu dał szklankę wódki.

Na dany przez niego rozkaz, dwóch opryszków wyciągnęło Abrahama z kąta; a gdy ten upadł na kolana, Dobosz oberżnął mu kieszenie obiedwie i puścił swobodnie.

Kiedy jedna część zbójców plądrowała gospody i kramy, druga znaczniejsza, otoczyła cmentarz, kędy się zamknęła szlachta i pancerni. Już padło kilka trupów na cmentarzu; już i trzech opryszków wyzionęło ducha od sztucców pancernych, gdy pokazał się Dobosz na czele licznéj gromady. Wywijał nad głową toporem i pokrzykiwał na swoich, a opryszki, biorąc jego imię za hasło, szli zapamiętale. Wiedział Dobosz po jaką sięga zdobycz; większa część złota, niż ta, którą zdobył, spoczywała w trzosach oblężonéj szlachty.

— Bierz go na cel, jeno dobrze, zawołał na swoich rotmistrz pancerny.

— *Pele tego*, na mego patrona! krzyknął wąsaty Janusz, szlachcic z Zahajpola; jeżeli ja go z mojéj jordanki nie ubiję, to mu i bies nie da rady..

I przez furtkę wysunął długą lufę, zmierzył, zagrzmiał wystrzał, a Dobosz podskoczył i przykląkł.

— Ognia do tych pogan, *pele tego*! wołał Janusz, nabijając zpośpiechem swoją jordankę: błysł ogień ze strzelb dwudziestu, ale opryszki już nie bawili; porwali Dobosza i ukryli się prędko za najbliższym domem. Wkrótce wybuchnął pożar w tém domostwie, daléj na rynku i z tyłu cerkwi: a gdy mieszczanie śpieszyli ratować miasto w płomieniach, opryszki unosząc na barkach swego wodza, znikli w górach, obciążeni bogatą zdobyczą, pędząc przed sobą stado tłustych wołów, wiele maż z towarami i kolas, szlachcie zabranych.

X.

Pod zielonym gajem chodzi Dobosz, na sopiłce [1] wygrywa, a na nogę upada, toporem się podpiéra i na chłopców pokrzykuje:

— Oj, wy chłopcy, wy mołodcy, zbierajcie się Sinogórce, będziem mieli radę społem: kędy rabować pójdziemy, — czy Bolechów, czy Dolinę. [2] Gdyśmy Bolechów rozbijali, — srébro, złoto rozsiewali, miód i wódkę rozlewali! — Oj, wy chłopcy, wy mołodcy — wszyscy wraz pójdziem w gościnę! Wstańcie raniutko, ubierzcie się ładnie, w skórzane postoły, w wołoki wstążkowe, bo pójdziemy do Stefana Dźwinki i do krasnéj jego żónki.

[1] Gatunek fujarki używanéj na Rusi.

[2] *Bolechiw*, *Dytyna*: dwa miasteczka w pobliżu siebie, w cyrkule Stryjskim.

OPRYSZKI.

Oj Doboszu! ty panie nasz, tam nas spotka przygoda!

DOBOSZ.

Bez obawy, na mnie uważajcie, — po dwie kule nabijcie; stańcie chłopcy pod wrotami, ja pójdę pod okno!

*

DOBOSZ (słukając w okiennicę chaty Dźwinki)

Dobry wieczór, Stefanowa! a wieczerza czy gotowa? Czy śpisz, serce, i czy czujesz — czy Dobosza zanocujesz? Czy śpisz, serce, czy nie czujesz — oj, czy sama ty nocujesz?

STEFANOWA (z domu.)

Oj ja nie śpię, wszystko czuję, — hajdamachy nie przenocuję — Oj ja nie śpię, wszystko czuję; bo wieczerzeńkę gotuję — a wieczerza nie gotowa, bo Stefana nie ma doma: a ta wieczerza będzie wszystkim ludziom dziwna.

DOBOSZ.

Czy wynijdziesz mi otworzyć, — czy cię mam dobywać?

STEFANOWA.

Nie każę ja się dobywać, nie pójdę sama otwierać; a trzebaby dużo siły zażyć, by drzwi te moje rozłupać.

DOBOSZ (z gniewem.)

Puszczaj mnie suko do chaty, żeby drzwi nierozwalać!

STEFANOWA.

U mnie drzwi cisowe, a zamki stalowe.

DOBOSZ.

Nie pomogą zamki twoje, jak podłożę plecy moje.

I począł się Dobosz dobywać, a zamki odleciały: jedne drzwi otworzył, drugie nieco odchylił, gdy Stefan Dźwinka, w serce go srébrną kulą ugodził.

Upadł Dobosz, ale zaraz powstał, wyszedł z chaty, lecz nie mógł i kroku postąpić.

— Trzeba chłopcy uciekać: oj, wy chłopcy, wy młodcy! weźcie mię na toporce! przybliżcie się więcéj k'mnie, — o jakże mi ciężko! nieście mię na czarną górę i położcie na kłodzie, — będzie dąć wiater zimny — i ochłodzi. Na czarną górę zanieście, na drobny mak rozsieczcie! niech się oni nie zbytkują, moje ciało nie ćwiertują! — Weźcie mię na czarną górę; tam złóżcie pod bukiem, tam się rozdzielem na zawsze! A wy chłopcy, wy mołodci! nie zawierzajcie niewieście; bo u niéj tyle wiary, jako na téj wodzie piany: ona zabierze srébro i złoto, i zdrowie odbierze!

OPRYSZKI.

— Oj Doboszu! czemuś jéj nie zabił? —

DOBOSZ.

— Jakżem miał ją zabić, kiedy kochałem! —

OPRYSZKI.

Oj Doboszu, ty panie nasz, wielka to dla nas przygoda; gdzież my będziemy zimować? gdzie latować? Poszlibyśmi do Węgier, w daleką Ukrainę, ale i tam sobiem przeszkodzili, bo chcieli kniazia zabić, a kniahynią porwać z sobą.

DOBOSZ (konając.)

Będziecie zimować, i to lato latować, w Stanisławowie [1] na ryneczku, w ciężkich kajdanach i żelazie; tam będziecie nocować, tam będziecie nocować, a ptaki ciało wasze rozerwą.

*

W tém ludzie wpadają; zabrali wszystkich, ręce im na krzyż powiązali i przy swych koniach popędzili.

K. Wł. Wojcicki.

1 Stanisławów, stołeczne cyrkułu, tegoż nazwiska, gdzie zwykle wieszają opryszków.

PRZYPISY.

Franciszek Karpiński, urodził się w Galicyi, w Kołomyjskim powiecie, we wsi dziedzicznéj Hołoskowem zwanéj, 1741 r. dnia 4 Października; rodziców miał Jędrzeja i Rozalią Karpińskich, ludzi, nie tak z majątku i dostojeństw, jak raczéj z cnoty okolicznie znanych. Dzień jego urodzenia pamiętnym się stał rodzicom, przez napadnięcie na ich dom, zawołanego podówczas w tamtych stronach rozbójnika, Alexego Doboszczuka. Ojciec ostrzeżony o rychłém nadejściu tego niepożądanego gościa, odbiegł domu, z obawy utraty życia; zostawiwszy atoli rozporządzenie, aby go jak najgrzeczniéj przyjęto. Jakoż, ujęty dobrém przyjęciem rozbójnik, nietylko, że żadnéj szkody nie uczynił, ale nadto odchodząc, dał piastunce trzy czerwone złote, upraszał oraz matkę, aby dziecię nowonarodzone, imieniem jego przezwała, co jednak nienastąpiło.

(O życiu Franciszka Karpińskiego wiadomości zebrane, przez X. *Antoniego Korniłowicza*, w Wilnie 1827 r.)

Cała powieść o Doboszu, jest osnowana wiernie na podaniach ludu, a ostatni rozdział, jest dosłownie z pieśni ruskiéj przełożony, którą dotąd Huculy i Ruś dolin śpiéwa.

DYALOG.

(Dyrektor Teatru — Poeta — Aktor.)

DYREKTOR.

Wy, coście dzieląc niedolę i smutek,
W moich mię celach wspierali niezgięcie,
Powiedzcie, jaki, nasze przedsięwzięcie,
W tutejszych państwach odnieść może skutek?
Z gminem rad trzymam, nikt mi się nie zdziwi,
Bo gmin i żyje, i drugich pożywi.

Niniejszą rozmową rozpoczyna *Goethe* sławną swoję tragedią «Faust.” Prawdziwość skreślonych w niéj obrazów i mała tychże od osnowy dzieła zależność, sprawia, że jako całość w sobie, z przyjemnością czytać się daje; stąd ją tu w wiernym przekładzie zamieszcza się.

Wzniesione deski, zasłona zemknięta,
I każdy swego oczekuje święta.
Siedzą, nos w górę, wytężone uszy,
Podparte łokcie, podziwiać chcą z duszy.
Wiém dobrze, czém się ich umysł zapali,
Lecz takiém zawsze gardziłem rzemiosłem;
Wprawdzie nie wiele znają się na *wzniosłem*,
Ależ niezmiernie dużo ksiąg czytali.
Jakby tu zrobić, by treść nowa śmiała,
Miała sens, dowcip, i oklask zyskała?
Bo miło patrzéć, kiedy ludu tłuszcza
Do naszych progów zewsząd szturm przypuszcza,
I gęstą falą wprzód i w tył się miota,
Aż ciasne łaski otworzą się wrota.
Jeszcze dzień jasny, ledwie biła czwarta,
A już sień pełna i kassa podparta;
Jak w czasie głodu, przy piekarza bramie,
Tłum za biletem karki sobie łamie.
Taki na gminie cud zdziałać się uda
Tylko poecie, bracie, rub dziś cuda!

POETA.

O nie wspominaj téj zgrai ochoczéj,
Na któréj widok, pierś lodem się ściska;

Wezbrane fale skryj przed memi oczy,
Co gwałtem w swoje chłoną nas łożyska;
Wiedź mię do cichéj niebianów uboczy,
Gdzie dla poety zdrój uciech wytryska,
Gdzie za przyjazną łzą, lub łzą miłosną,
Serc naszych kwiaty budzą się i rosną.

*

Ach! co w téj ciszy w piersiach nam wzrastało,
Co w drżące usta przeléwało łono,
Czasem się więcéj, czasem mniéj udało,
To dzikie burze w jednéj chwili chłoną;
Często gdy długie pasmo lat przetrwało,
Jawi treść boską i postać skończoną;
Co zwierzchnie błyszczy, bierze dziś pochwałę;
Potomnym wiekom świeci *doskonałe*.

AKTOR.

Nie mów mi tylko nic o potomności;
Przypuśćmy, żebym *ja* chciał téj jejmości
Służyć, — któż za mnie społeczność rozśmiészy?
Ta się domaga swego, i nie grzeszy!
Co do mnie, sądzę, że, skorośmy zdrowi,
Przytomność nasza, już też coś stanowi;

A kto z łatwością udzielać się umie,
Taki języka nie zapomni w tłumie;
I właśnie w tłumy jak największe pnie się,
Bo tym świetniejsze zwycięztwo odniesie!
Wystąp więc śmiało, niech w całéj czeredzie,
Fantazya, rozum, i namiętność jedzie;
Lecz nim w kolejnych zmianach grę swą zaczną,
Pamiętaj dodać głupstw porcyę znaczną.

DYREKTOR.

Lecz przedewszystkiem, pomyśl o osnowie!
Na *widowisku widzieć* chcą *widzowie*;
Jeśli przed gminem *wiele* się wytoczy,
Tak, że słupieje i wywala oczy,
Sprawa wygrana, już go masz w kieszeni;
Każdy cię z duszy uwielbia i ceni.
Massami, massy przyciągniesz do siebie,
W nich każdy łatwo swój kęsek wygrzebie.
Kto wiele przyniósł, każdego obdzieli,
I wszyscy do-dom odejdą weseli.
Gdy dajesz sztukę, dziel na sztuczki małe,
Ten bigos musi uzyskać pochwałę,
Lekko się tworzy i lekko udzieli!
Cóż, że twe dzieło cudna całość zdobi?
Publiczność znowu w cząstki je rozdrobi.

POETA.

Nie wiesz, jak nędzne jest takie rzemiosło,
I jak boleśnie dla mistrza przypada!
Chcieć, aby dzieło, jak na drożdzach wzrosło,
To dział bazgraczy; to twoja zasada.

DYREKTOR.

Zarzuty takie nic nie znaczą u mnie;
Kto pragnie działać, a działać rozumnie,
Najlepsze k'temu obiera narzędzie.
Wszak miękkie drzewo macie do rąbania.
Pomyślcie tylko, kto was słuchać będzie!
Gdy tego nuda na teatr zagania;
Tamten od hucznéj toczy się biesiady;
I gdy już wszystkie poobiegał sale,
Pośpiesza fircyk, co czytał żurnale.
Więc roztargnieni, jak na maskarady,
By ujrzéć nowość, biegą do nas zgrają:
Damy, chcąc wskazać swe stroje i siebie,
Bez żadnéj gaży grać nam pomagają.
Cóż się wam marzy w poetyckiem niebie?
Jak tu ubawić ten tłum różnolicy?
Z kim macie sprawę, przypatrzcie się zbliska!
Słuchacze wasi, wpół zimni, wpół dzicy.
Ten, po teatrze, myśli uciąć wiska;

Tamten, noc całą przepędził za domem;
Czyż w takim celu nie byłoby sromem
Dziewiczą z niebios uraczyć ich muzą? ..
Powtarzam, piszcie dużo, tylko dużo,
A celu, pracą dopniecie niezmudną,
Odurzyć tylko starajcie się ludzi,
Bo zadowolić ich trudno. —
Kto ich zachwyci? kto w nich litość wzbudzi?....

POETA.

Idź i służalca szukaj między gminem!
Mogęż się kiedy, samowolnym czynem,
Téj jednéj, świętéj pamiątki przyrody,
Prawa człowieka, zrzec dla twéj wygody? —
Czémże poeta każde serce wzruszy?
Czém możny władacz żywioły owładnie?
Nie tąż harmonią, która tryska z duszy,
I w odwrot duszy świat odbija na dnie?
Kiedy przyroda, przędzę nieskończoną
Dowolnie kręcąc zwija na wrzeciono,
Gdy wszystko tworzy różnogwarną zgrają,
W smutnym rozdźwięku przykry hymn zagrają;
Czyjeż je dłonie w równy rozmiar zwiodą,
Że znów ożyją i nową grzmią zgodą?

Kto wprzągł jednostkę w całości ogniwa,
Gdzie się wspaniałym akordem odzywa?
Kto wléwa w burze namiętność młodzieńczą?
W wieczornéj zorzy groźny umysł wznieca?
Kto sny kochanków barwi marzeń tęczą:
I wonnym kwiatem drogę ich ukwieca?
Kto z małocennéj zieleni uplecie
Wieniec, nagrodę cenną zasług mnóstwa?
Kto stwierdza Olimp, kto jednoczy bóstwa?
Władza człowieka, ziszczona w poecie.

AKTOR.

A więc chciéj użyć tych darów natury,
I niech się rodzą sztuki za sztukami,
Tak jak miłosne w świecie awantury;
Przypadek zbliży, twarz gładka, wzrok mami,
Zostajem dłużéj, i jużeśmy w sieci;
Kilka chwil szczęścia, kilka trosek leci,
Daléj niedługa roskosz, w końcu treny,
I, jak trzasł z bicza, już romans gotowy!
Tym trybem rzeczy wygotuj dla sceny;
Tylko z pełnego życia bierz osnowy.
Bo każdy żyje, lecz mało kto czuje,
Więc, co bądź chwycisz, zainteressuje.

Nie szczędź obrazów, rzecz ścieśniaj umyślnie;
Niech w setku błędów, iskra prawdy błyśnie;
Tak się ten napój udaje najlepiéj,
Który świat cały ożywia i krzepi.
Wnet ci ciekawość kwiat młodzi nażenie,
Zbiegną się wszyscy słyszéć *objawienie*.
Tkliwych serduszek rój pośpieszy do cię,
Melancholijne z dzieł ciągnąć łakocie.
Wnet to, wnet owo, huczny oklask zgłuszy,
Każdy najmiléj chwali, co ma w duszy.
Gotowa śmiać się, albo płakać rzesza,
Szanuje polot, fraszką sie uciesza.
Kto zeszedł z pola, nikt mu niedogodzi,
Lecz zawsze wdzięczni będą wszyscy młodzi.

POETA.

Więc mi powróć, powróć pierwéj
Wiek stracony najboleśniéj,
Gdy zdrój nieprzebrany pieśni,
Z mych się piersi lał bez przerwy.
Gdy mgły świat mi osłaniały,
Cuda wróżył pączek mały.
Kiedym wolen trosk, po łące,
Cudnych kwiatów rwał tysiące.

Miałem nic i wszystko; wszędy
Gnałem prawdę, lgnął w obłędy.
Wróć mi żądzę pałającą,
Łzami zlane szczęścia zdroje,
Wróć nienawiść, miłość wrzącą,
Młodość, młodość wróć mi moję!...

AKTOR.

Młodości, bracie, trzebaby ci wtedy,
Gdyś obskoczony od wrogów czeredy,
Lub gdy nadobnych i licem, i kształtem,
Rój dziewcząt w ręce rzuca ci się gwałtem;
Gdy w chęci sławy, mając kres wytkniony,
Z zapaśnikami puszczasz się w przegony,
Lub gdy gwałtowne strudziły cię tańce,
Całą noc spędzasz przy misce i szklance;
Lecz, żeby w lutnię znajomą uderzyć,
I w morzu dźwięków, odważnie i wdzięcznie,
W pewnych widokach kres sobie wymierzyć,
I wśród obłędów ugodzić weń zręcznie,
Panowie starzy, wasza to powinność,
I to bynajmniéj sławy waszéj nie ćmi!
Wiek nas nie wiedzie, jak mówią, w dziecinność
Lecz nas zastaje prawdziwemi dziećmi.

DYREKTOR.

Na próżnych słowach mijają godziny.
Nuże do dzieła! niech raz ujrzę czyny;
Odkąd sypiecie sobie komplementa,
U kresu praca byłaby zaczęta.
O duchu, celach, poco te wyrazy?
Kto nie śmie począć, nie ujrzy się z metą.
Jeśli poezyi nie masz na rozkazy,
Pocóż się zowiesz poetą?....
Wszakże wam jasno wytknąłem stosunki;
Nam są potrzebne najmocniejsze trunki,
A więc do walki bierzcie się niezwłocznie!
Nie będzie jutro, co się dziś nie pocznie.
Niech nadaremnie żaden dzień nie minie,
Chwytajcie za łeb, co się wam nawinie,
A raz schwycone, już się nie wykręci;
Tak pójdą rzeczy, mimo naszéj chęci.
Wiécie, na scenie, by ubawić gości,
Probuje każdy według swéj możności;
Dla tego trzeba, abyście w téj chwili,
Prospektów, maszyn, wcale nie szczędzili;
Niebieskich świateł krąg wielki i mały,
I gwiazd rozliczne niech płoną orszaki;

Niechaj powstają wody, ognie, skały,
I wrą stadami zwierzęta i ptaki.
Tak więc na ciasne wytoczy się deski,
Wraz z rojem stworzeń, cały krąg niebieski,
I, skoro chwila wymiaru wyciekła,
Runie przez ziemię, z górnych nieb do piekła.

Aug. B.

Trzéj Goście.

z Angielskiego.

(z Ryciną.)

Świat był zimny i smutny, w cieniach grubéj nocy,
W chuci sprośnych zamęcie, w strasznéj złego mocy,
Dopóki, darząc światłem ten okrąg ponury,
Promienni nań trzéj goście nie zstąpili z góry.

Najpierwsza *Piękność* przyszła z Idalskiego gaju,
Wzrosła wśród rosy kwiatów rozpękniętych w maju.
Przyszła z młodym rumieńcem i niepewnym krokiem;
Przyszła z tkliwém westchnieniem i spuszczoném okiem;

Przyszła z ogniem w spojrzeniu, czołem panująca,
Już nieśmiała, już czuła, już tryumfująca;
Z każdą chwilą odmienna, a zawsze wszechwładna,
Wszędzie siała zwycięztwo jéj róż świetność zdradna.
Zarówno podbijała biédne dziecię znoju,
Synów zbytku, i srogich wychowańców boju.
Po-kolei władała wszelką namiętnością,
Żądzą rozkazywania i bogactw chciwością.
Mędrca i bohatéra widziała u łona,
Cezara żebrzącego, więźniem Salomona. —

Potém młoda *Poezya* rozkwitła, — jéj włosy,
W złotych kręgach igrały śród powietrznéj rosy;
Jéj oko, dziwnym blaskiem strzelało dokoła,
Lecz wzniosła myśl świéciła z przepaski jéj czoła.
Cicha, jak anioł, — pusta, wesoła, jak dziecię,
Żyła śród skał nadbrzeżnych, w dzikich ustroń świecie:
Gdzie wieczna świéżość zwilża Ilion wyniosły,
Najrańsze, najbujniejsze laury dla niéj rosły.
Śród Attyckich strumieni, przy morzu Eginy,
Urosł jéj duch tragiczny wskrzeszać mężów czyny.
Czasem słodsze jéj lira wydawała tony,
Z dźwiękami ksieni rozkosz, Lezbijskiéj Safony;
Gnała po Olimpijskich rumaka wyżynach;
Wieśniaczy flet jéj nucił w Doryjskich dolinach,

Jéj arfa i jéj lutnia o złoconych licach,
Brzmiały śród trzcin Mincyi i w Arnu winnicach;
Nawet na Albionu ostrowie chmurzystym,
Śpiéw godny starych czasów płynął w głosie czystym.
A tam, gdzie harmoniją słowa się ozwały,
Czy gdzie lód wieczny ziębi, czy pieką upały,
Dzika, czy polerowna ta społeczność była,
Dziwnie słodkiéj zarazy szerzyła się siła;
Na strun jéj muszli czarodziejskie dźwięki,
Spadły ciężkie okowy z niewolników ręki,
I niezgoda, wichrząca obszarem natury,
Stanęła, słuchać mowy pożyczonéj z góry.

Spojrzę — ognie śpiewaka już były wylane;
Patrzę wokół — kochanków serca rozerwane;
Oziębłość, nędza, zmienność, cienie śmierci mgliste,
Trapiły głos natchniony i kształty ogniste.
Szukam życia pociechy — i powlokłszy oczy,
Widzę świętą *Pobożność* w dalekiéj uboczy.
Na jéj czole spokojném i promiennéj twarzy,
Żadnéj dusznéj choroby ogień się nie żarzy;
Śród przemiennéj kolei życia człowieczego,
Pośród krwawych walk burzy i zbytku złotego,
Spokojnie otrząsała, z swéj jasnéj osłony,
Szczątki burz, miotających świat ten oślepiony;

Dla ziemi zostawiła uśmiéch i westchnienie,
To jéj wieczne z wysokiém niebem spokrewnienie.
Jednak chociaż pragnęła tego niebian słońca,
Które mierzy dzień bez łez, bez chmury, bez końca,
Swéj świetnéj obecności odbitemi blaski,
Rozlała własny pokój na ziemian niesnaski;
Pokój, co przepowiednią bez granic spoczynku,
Zesłaną duszy z nieba w świętym upominku. —

Wiktoryn Zieliński.



Na Śmierć

KAZIMIERZA MON......

Gdy wielki wieszcz; bohatér schodzi do mogiły,
Płacz narodu wślad idzie za wozem pogrzebnym;
Naród, gdy go jak namiot ciemności nakryły,
Szuka zagasłych świateł na kręgu podniebnym;
Ludy pytają w trwodze i wołają wszędzie,
»Po zachodzie słońc takich, dzień-li jutro będzie?"
Wielcy ludzie, jak ziarna co-rok się nie rodzą,
Tylko w gości wiekami na ziemię przychodzą.
Tak i śmierć przyjaciela żal w nas równy budzi,
Kiedyśmy go wierzyli być najlepszym z ludzi.

Kazimiérzu! choć zgon twój tłumnych łez nie wzrusza,
Ciebie przyjaźń przed światem może płakać śmiało.
Rzadko piękna, jak twoja, tak przeczysta dusza,
W to ziemskie skazitelne oblekła się ciało.
Człowiek ten w szczęściu drugich, swego szczęścia żądał,
Na ludzi, jak kochanek na piękność poglądał.
Filozof i myśliciel! choć w pisma nie wcielał
Swych pojęć, rad ich drugim w rozmowach udzielał.
On był sam żywą księgą, z któréj wspomniéć miło,
Tyle się naczytało, tyle nauczyło!
Każda jego rozmowa była księgi kartą,
Czytania i długiego rozmyślania wartą.
Nie było to wystygłe, obumarłe brzmienie
Słów zastępów, co tylko chłód serca oznacza;
Z jego słów, jak z ogniska, wciąż biły promienie
Myśli, któremi duszę rozgrzewał słuchacza.
Chociaż w publicznych ludzi nie zabłysnął rzędzie,
Choć nad państwami myśli, jako król nie władał,
Z trudem kopiących skarby, szukał prawdy wszędzie,
I do jéj hiroglifów, tajny klucz posiadał.
O ty! coś w cieniu wiejskim pędził mędrca lata,
Jak meteor samotny, co w podróżnych oku,
Nagle, nocą zaświéci dniem nie z tego świata,
I nim rzekną, »błysnęło!" już przepadł w obłoku:

Tak błysnąłeś i zgasłeś przed oczyma memi,
Jak na uczcie Magbeta, dzisiaj mnie na ziemi
Niezapełnione miejsce zostawiasz po sobie.
O niech śmierć pod swe skrzydło utuli twe skronie,
I spokojnym cnotliwych ciebie snem owionie!
Szczęśliwy, kto snem twoim może zasnąć w grobie,
Kogo żal niezmyślony krewnych, przyjacieli,
Spowił i ukołysał do wiecznéj pościeli. —

Julian Korsak.



Wspomnienia Gruzyi.

Z opowiadań osoby która tam podróż w roku 1830 odbyła.

Ktokolwiek czytał *Obrazy Kaukazu* przez *Marlińskiego* skreślone, za największą poczytałby zuchwałość podobne przedsięwzięcie ze strony kobiéty. znającéj piękności tamtych okolic tylko z oderwanych, w rodzinném gronie prowadzonych rozmów; ale jaka też ogromna różnica zachodzi, między tamtym a moim opisem! Tam, poeta, zachwycony czarownym widokiem, który ze szczytu skał odkrywa, zatapia się duszą w jego wdzięku i zapomina, ile przykrości, ile

niebezpieczeństw zwalczył, by na téj stanąć wysokości; po wierzchołkach gór olbrzymich wstępując myślą w niebo, nie dba, czy u stóp jego żyją ludzie, nie dba o świat cały; — tu, słaba, lękliwa kobiéta, drżąca na pochyłości drogi, przerażona szumem spienionego potoku, zakrywa oczy z obawy, aby nie dojrzéć pod nogami przepaści, i nie pomni, że gdyby śmiała oderwać oko od ziemi, cudne, rajskie okolice, nagrodziłyby jéj trudy! Tkliwa na własną niewygodę, tkliwsza na cierpienia innych; ciekawa, zajmująca się najdrobniejszemi szczegółami, które w chwilach bezpieczeństwa napotyka; prócz tego, lubo podrużująca po tém samém pasmie gór, które wielki przebywał poeta, wszelako w innéj stronie i w różnym zupełnie celu. Dodawszy jeszcze prosty, niewymuszony sposób opowiadania, który, starałam się jak-najwierniéj zachować, mam nadzieję, że mnie nikt nie posądzi o próżną chęć naśladowania, choćby w daleki sposób, obrazów wspomnionego pisarza.

..... Przywykła do zielonych i niedościgłych okiem równin Ukrainy, niemając wyobrażenia o trudnościach, jakie w przebywaniu gór napotykać przychodzi, sądziłam, że na moich stepowcach, lotem ptaka Kaukaz przelecę. Wystawcie więc sobie moje zadziwienie, gdy

wjechawszy tylko na jego podnóże, odmieniono mi konie, twierdząc: że bystry bieg ukraińców o pewną zgubę by mnie przyprawił. Musiałam się na to zgodzić, i nędznym moim nowym zaprzęgiem wlec się po trzy mile na dzień; droga tymczasem co-raz przykrzejszą się stawała; ślad życia co-raz bardziéj znikał: nakoniec, gdym dnia 15 Maja do *śnieżnych gór* dojechała, sądziłam się we śnie; bo przed kilku tygodniami, opuściwszy zielone łąki i kwiatem okryte drzewa, ujrzałam się wkoło śniegiem otoczoną. Każdego dnia prawie, ogromne tumany, osiadając na górze, tamowały mi drogę; jeżeli woźnica przewidział ich wszczęcie się, pośpieszaliśmy jak było można, byle się dostać do *duchanu* i tam burzę przeczekać; wprawdzie, niebardzo to są przyjemne miejsca, te duchany: nędzna chata, na trzy części podzielona, z których jedna dla koni, druga dla gospodarza, jego rodziny i całego dobytku, a trzecia najmniejsza, dla podróżnych przeznaczona; przytém, szpary we drzwiach, dziury w dachu, błoto po kostki zamiast podłogi, — a jednak lepiéj tu, jak na otwartéj drodze czekać tumanu; bo spadając ze szczytu gór, w postaci gęstéj mgły, zasłania zupełnie widok, szamoce powóz i konie, a biada podróżnemu, którego na spadzistym napotka zjeździe! żadna ludzka siła, nie zdoła się oprzéć jego gwałtowności. Po godzinnéj czasem za-

wierusze, uspokaja się wszystko, i tylko nowa warsta śniegu świadczy o przejściu tumanu.

Przez drogę liche wiodłam życie; w duchanach bowiem ledwo kawał czarnego chleba, lub kilka jaj dostać było można; żyłam przeto najwięcéj kawą, herbatą i suszonemi owocami. których, niewiém jakiém przeczuciem, dość znaczną ilość zabrałam z sobą; za napój miałam kwaśną wodę, któréj się kilka źródeł w *śnieżnych górach* znajduje; smak jéj jest przewyborny; pieni się jak szampańskie wino, a tęgość ma taką, że nieraz butelki rozsadza.

Tym sposobem dostałam się na szczyt *Krzyżowéj góry*; odetchnęłam, sądząc, żem już największe przebyła trudności; lecz cóż się zemną stało, gdy mi, zamiast koni, zaprzężono cztéry bawoły, a dwudziestu ludzi stanęło za powozem, trzymając w ręku sznury, któremi go na wszystkie strony obwiązano. Przerażona temi przygotowaniami, pytam o ich przyczynę; odpowiadają mi, że tym tylko sposobem można bezpiecznie zjechać na *Czartowską dolinę*. To imię, możeby w niejednéj z was wzbudziło ciekawość; niejedna może chciałaby się dobrze temu groźnemu przypatrzyć miejscu; ale ja — nie śmiejcie się! — jam nie tak odważna; wsunęłam się w kąt powozu, ukryłam oczy w poduszki i nie zmieniłam postawy, aż w głębi strasznéj owéj doliny.

Obejrzałam się wtedy, lecz jéj widok, nic mi już tak okropnego nie przedstawiał. Jest to niewielka głębia, wśród ogromnych gór, cała śniegiem pokryta. Przykry zjazd do niéj, był zapewne powodem przerażającego jéj nazwania. Powiadano mi, że bywały zdarzenia, kiedy bawół, mimo péwności swego chodu, potknąwszy się o bryłę śniegu, padając, pociągał za sobą powóz, który, nie mogąc się utrzymać w przyśpieszonym pędzie, mimo hamulców pod koła założonych, toczył się po przepaścistéj drodze; i ciężarem swoim przygniatając zaprząg, w drobne sztuki strzaskany, przybywał w *Czartowską dolinę*. Dla uniknienia podobnego przypadku, kilkunastu ludzi przeprowadza zwykle powóz, i wstrzymuje go na linach.

Wyjazd z *Czartowskiéj doliny*, równie jak wjazd, jest niebezpiecznym; lecz zmienia się już piérwszy porządek podróży.

Po stroméj ścianie *Gudgóry*, trzeba się na wyniosły jéj szczyt wdziérać. Rzędem, po trzy, cztery i pięć, zaprzężono mi do pojazdu dwadzieścia bawołów; bo takiéj potrzeba siły do wciągnienia jego ciężaru. Chciałam iść pieszo; lecz gdy mi oświadczono: że w przypadku nadejścia tumanu, łatwiéj ocalić wszytką massę, składającą się z zaprzęgu i straży powozu, niż pieszego wędrowca, z drżeniem w sercu, z modlitwą na ustach, wsiadłam i puściłam się w niebezpieczną drogę.

Wkrótce ośmielona równym i powolnym ruchem kół, spojrzałam przed siebie. Już nad moją głową, jakby na powietrzu zawieszone bawoły, szły zwolna; nie pojmowałam, jak się utrzymać mogły na takiéj spadzistości, przez okna karety, nie ich długość, lecz objętość tylko widziałam, a z każdéj strony zaprzęgu, wznosiły się brzegi drogi, jak mur, cokolwiek pochylony. Przewodnicy, częstém wołaniem zachęcali strudzone zwierzęta, i z największą pilnością doglądali ciągłego porządku w powrozach, które je do powozu przywiązywały; co chwila prawie zatrzymywali się dla założenia nowych, bo w krótkiéj téj przeprawie, nie wytrwa moc najgrubszego sznura. Widząc moje życie przywiązane niejako do nóg bawolich, do ich pewnego stąpania; ośmieliłam się spójrzéć za siebie, i choć jednym rzutem oka zmierzyć niebezpieczeństwo które mi zagrażało. *Czartowska dolina*, istotnie jak przepaść piekielna, przedstawiła się moim oczom, a między mną i jéj głębią, powolnym krokiem postępowało trzydziestu kilku ludzi, gotowych, w przypadku osunięcia się, wstrzymywać rękoma powóz i zaprząg, lub wraz zemną pogrążyć się w przepaści. Zadrżałam na widok téj żyjącéj tamy, i goręcéj niż o moje własne, zaczęłam się modlić o ocalenie tych ludzi. Bałam się poprawić na siedzeniu; bałam się oprzéć, aby najmniejszém poruszeniem nie przyśpieszyć wstecznego kierunku mojéj podróży.

Przebyłam najniebezpieczniejszą przeprawę; na szczycie *Gudgóry*, już mi znowu dwa tylko bawoły dano; lecz towarzyszył mi orszak, z trzydziestu uzbrojonych ludzi złożony, bo niezupełnie jeszcze w owych czasach poskromieni gorale, napadali na podróżnych, rabowali, a czasem i zabierali w niewolą. Wystawcie sobie moje położenie, gdy rzucając wzrokiem na okoliczne góry i na rozsypane na ich barkach, jak gniazda jaskółcze, czerkieskie *Auły*, [1] zdarzyło mi się ujrzéć jednego, lub kilku ich mieszkańców, w futrzanéj czapce, krótkiéj burce, z janczarką na plecach... Dreszcz mnie przejmował na każde takie zjawienie, choć mię dowódca straży zapewniał, że przy tak licznym orszaku zupełnie spokojną być powinnam.

I na *Gudgórze* droga, lubo nie tak niebezpieczna jak dotąd, przykra jest bardzo; tu zwracając się nagle przy ścianie góry, wyzywa całą zręczność woznicy, aby bawołom na jeden włos zboczyć nie dozwolił, bo z drugiéj strony, ogromna przepaść zieje z głębi; tam dwie skały, pochylając się zobustron drogi, tworzą ciasny wąwóz, zaledwie mogący objąć poczwórną karetę, a światło wpada w głąb, przez ścieśnione skały, jak przez małą rozpadlinę; ówdzie nakoniec góra, pochylając się na drogę, zdaje się spychać wędrowca w bystry, z ogromnym szumem u jéj stóp płynący Te_

1 Osady.

rek, [1] i między kołami a brzegiem ściany, zaledwie pół stopy miejsca zostawia. Nie mogłam dosiedzieć w powozie, wolałam iść pieszo; lecz nie wiem, czy przestrachem, czy trudami podróży znużona, nie byłam w stanie postąpić ani kroku, chwiałam się, i zdawało mi się, że za pierwszém poruszeniem wpadnę w spieniony *Terek*. Dowódca wojskowego oddziału, widząc moję trwogę i zapewne nie pierwszą już tak odważną przeprowadzając wędrowniczkę, uszykował swych ludzi nad brzegiem drogi, a tak z jednéj strony, mając ścianę góry, z drugiéj, ścianę zbrojnych ludzi, przebyłam i to miejsce szczęśliwie.

Przybywszy do Tyflis, zapomniałam o wszystkiém; czekały mnie tam osoby, dla których widzenia większe nierównie przykrości ochotnie bym zniosła....

Tyflis, stołeczne miasto *Gruzyi*, dość jest znaczne; ma dawny książęcy zamek, wiele domów murowanych, z płaskiemi dachami: wszystko to są rzeczy zwyczajne; lecz co mnie zajęło, to *Sakle*, siedziby uboższych Tyflisu mieszkańców. *Sakle* te, są to czworokątne lepianki, wewnątrz jednę lub dwie izby mające, przykryte płaskim dachem, także z ziemi ubitym, i zieloną trawą porosłym. Lepianki te, wznosząc się jedna nad drugą, tworzą niejako zielone tarassy domu, do którego najczęściéj najwyższa *Sakle* przytyka; i zajmujący przed-

[1] Rzeka.

stawiają widok, szczególniéj w niedzielę i dni świąteczne, kiedy kobiéty, zamknięte przez cały tydzień wewnątrz, i pracujące nad wyrobami jedwabnemi i bawełnianemi, w najlepsze szaty przybrane, zasiądą na zielonym dachu swego mieszkania, i zajadając figi i winne grona, śmieją się i gwarzą wesoło. Mężczyzni siadają zazwyczaj oddzielnie, piją wino, palą tytuń, i grają na bałałajkach. [1]

Ogrodów wielkie jest mnóstwo w *Tyflisie*; uprawiają w nich migdały, wino, figi, trzcinę cukrową i granaty, wyborny i chłodzący owoc wydające. W górzystych jego okolicach zasiewają jęczmień, pszenicę, ryż, bawełnę, kukurydzę; lecz w tym ciepłym i szczęśliwym klimacie, uprawa ziemi mało pracy wymaga; przeto Gruzini, wiele mając wolnego czasu, zwyczajem wszystkich Wschodnich ludów, bezczynnie go przepędzają. Palmy, cyprysy, orzechy włoskie, w niektórych miejscach całe lasy tworzą....

Żyć tu można przyjemnie i wygodnie; wszystkiego jest podostatkiem; owoców, drobiu, doskonałéj baraniny, z owiec, powiększéj części tłusto-ogonowych, (znacie je pewno z historyi naturalnéj.) Każda owca, ma ogón zakończony bryłą tłuszczu, do kilkunastu funtów czasem ważącą; w niektórych miejscach, zapobiega-

1 Rodzaj gitary o trzech strunach, mający kształt wielkiéj warząchwi.

jąc uszkodzeniu téj części ciała, podkładają pod nię lekkie kółka, na których się wygodnie za zwierzęciem toczy. Nabiałem nie zajmują się Gruzinki, i nie bardzoby było przyjemném jeść potrawy, przyrządzone z masłem, które, rostopiwszy, wléwają w baranią skórę, wewnątrz włosem obróconą, i tak na długi czas zachowują; lecz w okolicach Tyflisu znajduje się kilka osad niemieckich, i ci przybysze, w czystém odzieniu, w czystych naczyniach, roznoszą po mieście doskonałe masło i séry. Zwykłym w tym kraju napojem jest woda i młode wino; przechowywują je w burdziukach ze skór baranich, lub kozich, naftą, czyli olejem skalnym wysmarowanych.

Każdy prawie, przybywający do *Tyflis*, udaje się na leżącą niedaleko *Dawidową górę*, i tam, w małéj Ormijańskiéj kapliczce, składa dzięki niebu, za szczęśliwie odbytą podróż. Udałam się i ja tam, w Niedzielę; dość przykra ścieżka prowadzi do kaplicy; gdzieniegdzie ostremi kamykami posiana, gdzie niegdzie po przerzynana ułamkami skał, a po obu jéj stronach, głębokie parowy; z trudnością postępowałam, a wokoło mnie górale i góralki, którym powolnym moim krokiem tamowałam drogę, zbiegały jak łanie w głąb parowu i po długim zwrocie, wybiegały o kilkanaście kroków przedemnie; kilka kobiét, zapewne dopełniając jakiego ślubu, szły na klęczkach, po ostrych kamieniach, rażących moje dobrze obute nogi. Kapliczka jest maleńka,

uboga, lecz jéj położenie, samotność, a nadewszystko głęboka pobożność przytomnych, nadaje jąkąś tkliwą i uroczystą powagę. Nigdy, w najwspanialszéj świątyni, dusza moja nie wzniosła się tak wysoko; nigdy się jeszcze tak żarliwie, jak tam, nie modliłam. . . . . .

Wracając, spotkałam kilkanaście gruzińskich rodzin, jadących lub idących w odwiedziny do *Tyflisu*. Mężczyzni noszą futrzane, ostrokątne czapki; buty ostro zakończone i zwinięte nad palcami; opięte suknie, z rozciętémi i na ramiona zarzuconémi rękawami, a pod spodem kaftanik z materyi w wielkie wzory. U kobiét, suknie powiększéj części jedwabne, wycięte, z wązkiemi rękawami, przepasują się szerokim różnobarwnym pasem, którego końce z przodu za kolana spadają; na głowie noszą czółko materyalne, a z niego spływa; w tył długa, szeroka i przejrzysta zasłona, która obwijając postawę Gruzinki, nadaje jéj niejakiś wdzięk napowietrzny; majętniejsze noszą je przerabiane złotem.— Wiele kobiét, przejąwszy Perski zwyczaj, noszą na głowie *czadro*: wielką, nieprzejrzystą zasłonę, która, nietylko twarz, lecz i całą postać zasłania. Wszystkie prawie są piękne; znane są światu ich niskie czoła, wązkie, czarne brwi, białe jak alabaster zęby; lecz najwięcéj w nich uderza, poważna, pełna wdzięku i godności razem postawa. Cała rodzina jechała nieraz na jednym koniu, a to w następujący sposób: na wygodném siodle siedzi kobiéta; nogi jéj, zamiast w strze-

mionach, spoczywają w dwóch znacznéj wielkości koszach, po bokach konia zawieszonych, z których wygląda po jednéj lub dwie główki dziecinne; mąż prowadzi konia za cugle, a dwunastoletnia dziewczyna, siedzi jeszcze za matką i trzyma się jéj pasa.

Znakomity Perski chan, przybył do *Tyflisu* z całą swoją rodziną, i rozmaite okoliczności skłoniły go do oddania mi ceremonialnéj wizyty. Siedzialam właśnie przy oknie, i oddychając świéżém powietrzem, spoglądałam na spokojnie płynącą *Kurę* [1] gdy wtém zdala wzniósł się ogromny tuman kurzawy, a za jego zbliżeniem się, rozpoznałam kilkunastu konnych i pieszych ludzi, z których ostatni zdyszeni, zmęczeni, równo z piérwszymi biegli; cała ta kalwakata zatrzymała się przed mojém mieszkaniem; na jéj czele jechał poważny i bogato ubrany mężczyzna; byłto chan; słudzy rzucili się do niego; jeden trzymał mu strzemię, dwóch ocierało kurz z jego obuwia, dwóch nadstawiało ramiona, aby się na nich mógł wesprzéć, jeden trzymał za cugle konia, inny rozściełał na progu kobierzec, wszystko to odbywało się prędzéj, niż wam opowiedziéć mogę, i w chwilę, dostojny gość, wraz z tłumaczem swoim, był w moim pokoju.

Jest-to człowiek średniego wieku, przyjemnéj postawy, wesołego i otwartego charakteru; mówił najwię-

1 Rzeka płynąca przez środek miasta Tyflis.

céj o naszych Europejskich zwyczajach; porównywał je ze swojemi, i wyznaję, że bardzo przyjemnie przepędziłam pół godziny czasu w jego towarzystwie. Zażył kilka razy tabaki, z tabakierki mego męża, leżącéj na stole; a w końcu usłyszawszy, że niezmiernie lubię winogrona, przyrzekł mi przysłać grono nadzwyczajnéj wielkości, które się w jego zrodziło ogrodzie.

W godzinę może po jego odejściu, spojrzałam przypadkiem na roztwartą tabakierkę; zdawało mi się, że z niéj szczególniéjszy jakiś blask wychodził; otwiéram ją, i osądźcie, jakem się zdziwiła, widząc wśród tabaki, ogromny i nadzwyczajnéj piękności szmaragd; widocznie było, że go chan umyślnie tam wpuścił.

W kilka znowu godzin, sługa czy niewolnik jego, stanął przedemną, i przyklęknąwszy na jedno kolano, podniósł do swojéj głowy i oddał mi w ręce dość wielkie, jedwabne zawiniątko; domyśliłam się, że to było winne grono, ale niespodziewałam się wcale, że je znajdę okryte przepysznym tureckim szalem. Bez namysłu, zawinęłam w szal zostawiony szmaragd, okryłam go tąż samą jedwabną materyą, z którą mi przysłano, i dziękując za winne grono, odesłałam chanowi. Użalał się gorzko na ten mój postępek, utrzymując: że w ich kraju nieprzyjąć podarunku, jest największą obrazą, lecz uspokoił się, kiedy mu przełożono, że u nas znów obrazą jest obdarzać tych, od których sprawiedliwości lub przysługi żądamy.

Wypłacając się żonie chana, i ja jéj oddałam wizytę. Zastałam ją w pokoju, wysłanym perskiemi kobiercami; ściany jego otaczały niskie sofy, bogatemi szalami pookrywane; innych sprzętów nie było. Powstała na moje przyjęcie, i w milczeniu wskazawszy miejsce na sofie, czyli raczéj na materacu, usiadła obok mnie. Nie mówi żadnym innym prócz perskiego językiem; nim więc przywołano jéj tłumacza, miałyśmy dość czasu do przypatrzenia się wzajemnie. Nie wiem, czy moja gospodyni uważała na mój ubior, lecz zaraz wam moich własnych spostrzeżeń udzielę. Kobiéta, mająca około lat trzydziestu, piękna, w całém znaczeniu tego wyrazu, wysoka i okazałéj postawy, tém piękniejszą się zdawała przy białéj atłasowéj, szeroko złotem bramowanéj sukni; na niéj zwierzchnia szata, nie tak opięta jak pierwsza, i rozchodząca się nieco z przodu, była z zielonéj, równie złotem tkanéj materyi; rękawy rozcięte i spadające w tył od ramion, a ręce, kilkoma złotemi bransoletkami otoczone; zamiast pasa, miała bogaty szal turecki, wązko zwinięty i spięty ogromną brylantową klamrą; na nogach safianowe, złotem haftowane pantofelki; białą szyję otaczały dwa rzędy ogromnych rubinów; czółko rozmaitemi drogiemi kamieńmi pokryte, zdobiło głowę, a jak mgła przezroczysta zasłona podwyższała jeszcze wdzięk tego stroju.

Taką jest powierzchowność żony chana; romawiały-śmy dość długo, i lubo rozmowa, za pomocą tłumacza prowadzona, cały swój urok traci, spostrzegłam, że mojéj gospodyni nie zbywało na rozsądku i na trafności spostrzeżeń; mówiła mi o swych dzieciach: synów wychowanie, zupełnie ojcu zostawia, córki zaś, zamyśla przywieść do *Tyflisu* i umieścić je na niedawno założonéj pensyi, aby, jak mówi, nabrały téj lekkości i zgrabności, która europejskie kobiéty od azyatek odznacza. Ktożby był przed kilkoma laty powiedział, że dziś europejki, perskie dziewice wychowywać będą.

Skinęła, i wnet stojąca przy drzwiach niewolnica, obróciła się do czekających w przedpokoju i wytłumaczyła im zapewne niemy rozkaz pani, bo za chwilę, dwie młode i piękne kobiéty, wniosły maleńki stoliczek, z ciemnego jakiegoś drzewa, bogato srébrem ozdobiony; nie było na nim przykrycia, lecz zastawiony był cały kryształami, czarami z sorbetem, zimnym sokiem z owoców wyciśniętym i misami pełnemi swiéżych, miodem przyprawnych owoców. Postawiwszy go przed sofą, na któréj obieśmy siedziały, każda z dwóch niewolnic uklękła przed jedną z nas, trzymając nad naszemi sukniami jedwabne serwety: dwie inne stanęły po bokach, i wachlarzami z różnobarwnych piór, zaczęły oganiać cisnące się do stojących przed nami przysmaczków, komary. Nie bardzo wygodnie jeść palcami oblane miodem owoce; lecz cóż było czynić,

kiedy perskim zwyczajem łyżek do nich nie dano. Jednakże ładny widok tych różnobarwnych piramid, pokrytych przejrzystym syropem i pomieszanych z dużemi kawałkami cukru, który nie wiem jaką sztuką nie zwilgotniał i całą swoję białość zachował, skłoniło mnie do skosztowania granatowych ziarnek. Za przykładem pani domu, wzięłam pełną rękę ładnych konfitur, i mniéj dbając na obfite krople, spływające z moich palców na zręcznie przez niewolnicę trzymaną serwetę, poniosłam je do ust, lecz niestety! to, com cukrem bydź sądziła, były kawały zastudzonéj baraniéj tłustości, przyprawa nieodbita każdego perskiego przysmaku. Trudno temu, kto sam nie skosztował, wystawić sobie całą obrzydliwość tłustości, słodyczy i lekkiego kwasu owoców, razem połączonych; jednakże, niechcąc obrazić mojéj gospodyni, uzbroiłam się w odwagę i przełknąwszy całą tę mieszaninę, popiłam ją wybornym sorbetem, ale mimo nalegań chanowéj, nie ściągnęłam już ręki do drugiéj piramidy.

Zaledwiem odetchnęła po tym bohatérskim czynie europejskiéj grzeczności, gdy przypatrując się bogatym kobiercom, rozwieszonym po ścianach, ujrzałam tuż nad nami ogromnego niedźwiadka. Krzyknęłam; moja gospodyni odwróciła głowę w tę stronę, w którą poglądałam z przestrachem, lecz skorpion był już na jéj ramieniu. Zbladła, ale niewrzuszona, śledziła wzrokiem szybki bieg okropnego owadu; wszyst-

kie jéj niewolnice, bez tchu prawie, uważały na każde jego poruszenie, żadna jednak nieśpieszyła z pomocą do swéj pani. W okropnéj obawie patrzyłam na tę niepojętą mi bezczynność w tak przerażającéj chwili; bo wiedziałam, że lubo *Persowie* i *Gruzini* mają sposoby uleczenia się z jadowitego zacięcia skorpiona, często ono wszakże o śmierć przyprawia. Dopiéro, kiedy owad, zszedłszy z atłasowéj sukni, oddalił się na dwie stopy od nóg chanowéj, jedna z niewolnic, zchwyciwszy ze stolika, próżną, głęboką czarę, przykryła nią niedźwiadka, i gdy szukając wyjścia przyczepił się do dna naczynia, przewróciła je szybko, a nakrywszy szczelnie przystającą pokrywą, postawiła na stoliku.

Pytałam o przyczynę szczególnéj obojętności, w czasie tak widocznego niebezpieczeństwa; odpowiedziano mi, że skorpion rzadko rani, nie będąc rozdrażnionym i że najniebezpieczniéj jest przeszkadzać mu w biegu; dla tego mieszkańcy tamtych okolic, wolą patrzéć spokojnie na skorpiona, łażącego po obnażonéj ich ręce, niż najlżejszém poruszeniem drażnić strasznego nieprzyjaciela.

Skorpion ciągle usiłował wyjść z swego przezroczystego więzienia; z obawą, lecz i z ciekawością przypatrywałam się niespokojnym jego ruchom; pierwszy raz widziałam z tak bliska tę groźną istotę. W tém moja gospodyni przypomniała sobie, że wczoraj właśnie schwytano ogromną *falangę*, rodzaj fałszywego pająka, nie-

zmiernie jadowity, i odwieczny nieprzyjaciel skorpiona. Mnóstwo ich jest w Gruzyi, lecz niezdarzyło mi się dotąd widzieć tego owadu.

Żona chana wyrzekła kilka słów do stojącéj przy niéj kobiéty, a ta za chwilę, przyniosła drugą, również nakrytą czarę, zawierającą falangę; zbliżyła się do stolika, obejrzała pilnie oba naczynia, i dała znak ręką swojéj towarzyszce; ta przystąpiła bliżéj, i obie mierząc wzajemnie wzrokiem swoje poruszenia, przysuwały zwolna jednę czarę, do drugiéj, nakoniec w mgnieniu oka brzękły pokrywy; naczynie zawierające falangę, wpadło otworem, w otwór szérszéj czary, w któréj skorpion przebywał, a dwaj śmiertelni nieprzyjaciele, zewszech stron zamknięci, ujrzeli się w miejscu zaledwie sześć cali średnicy mającém. Uważcie, że to wszystko działo się o dwa kroki od nas, i że lada niezręczność niewolnic, mogłaby przeciw nam wypuścić dwa najokropniéj rozdrażnione, jadowite owady. — Z przestrachem i litością przyglądałam się téj osobliwszéj walce; skorpion obracając się zwolna na wszystkie strony wystawiał groźny swój ogon, a żółto-brunatna, chropowata, z długiemi nogami falanga, krążąc w koło z nadzwyczajną szybkością, szukała miejsca, gdzieby mogła bezkarnie zapuścić swoje jadowite i również śmiertelnie raniące kleszcze. Niewolnice chanowéj, patrząc na tę walkę, która się tam, do największych przyjemności liczy, zapomniały na chwilę

o zwykłém uszanowaniu dla pani, i zbliżając się pomału, otoczyły nakoniec stolik, gdzie się ta ciekawa odbywała scena. Zajmującym był widok tych kilkunastu głów, skupionych jedna koło drugiéj, każda innego składu i koloru twarzy, każda odmiennie ubrana: bo rozmaitość stroju niewolnic, oznacza w Persyi dobry gust i bogactwo pana. Walka skończyła się nareszcie śmiercią skorpiona. Uśmiéchnęła się pani domu, niewolnice klasnęły w ręce, z okrzykiem radości, a ja pożegnałam moją uprzejmą gospodynię, i nie byłam u niéj więcéj.

Paulina H. . . . .



Poeta Umierający.

(z Lamartina.)

Pękła dni moich, jeszcze pełna czasza;
Każde westchnienie dech życia rozprasza;
Próżno narzekać, próżno łzy wylewać!
Z żałobnym brzękiem co zwolna przemija,
Śmierć mi ostatnią godzinę wybija;
Mamli jęczeć? mamli śpiewać?

*

Śpiewajmy póki dłoń na lutni gości;
Póki śmierć jeszcze na progu wieczności,
Jak łabędziowi głos udziela miękki.
Szczęsna stąd wróżba, serce wieszcza wzrusza;
A jego tkliwa, harmonijna dusza,
    Świat miłemi żegna dźwięki.

☼

Szczytniéj brzmi lutnia, gdy się w sztuki pada;
Bliska zgaśnienia lampa, zrazu blada,
Żywszego światła na chwilę użycza;
Łabędź konając wzrok pogrąża w niebie:
Człowiek jedynie spogląda za siebie,
    I z płaczem dni swe oblicza.

☼

Cóż są dni owe, po których łzy płyną?
Słońce wciąż słońcem, godzina godziną,
Zawsze podobna, znów podobną rodzi;
Co jedna daje, to odbiéra druga;
Ból, praca, spokój, snu mara niedługa,
    To dzień — potém noc nadchodzi.

☼

Ach niech ten płacze życia swego wątku,
Kto, jak bluszcz chciwie, lat dzierżąc się szczątku,
Widzi zprzyszłością spełzłe swe nadzieje!
Lecz ja niewrosły w ten okrąg poziomy,
Odchodzę snadnie, nakształt zdziebła słomy,
Którém wiatr w górę powieje.

☼

Wieszcz, jest podobny do ptaków przelotnych,
Co się przy strugach nie gnieżdżą samotnych,
Ani na naszém nie siadają drzewie;
Niedbale w wody kołysani biegu,
Mijają nucąc, zdaleka od brzegu;
Świat zna ich tylko po śpiéwie.

☼

Nigdy rąk obce nie wiodły mi dłonie,
Gdym jął strun dźwięki budzić na bardonie;
Natchnienia niebios człowiek dać nie zdoła:
Rzeka się pienić nie uczy z prawidła,
Orzeł, zażywać potężnego skrzydła,
Ani miodu robić pszczoła.

☼

Bronz, pod wyniosłą strzechą uderzany,
Smutkiem, radością, tętni na przemiany,
Ślubu wieść głosząc, urodzin lub zgonu;
Tą byłem w ogniu przeczyszczną śpiżą,
Z któréj namiętność, siłą trąceń chyżą,
Szczytnie dobywała tonu.

*

Częstokroć w nocy tak arfa Eola,
Jęki swe łącząc z szmerem wód i pola,
Sama zefirom słodkie roni pienia.
Staje wędrowiec zaciekły w bezdroże,
Słucha zdziwiony i pojąć nie może,
S kąd boskie idą westchnienia.

*

Nieraz mą arfę łzy czułe zrosiły,
Ale łzy zawsze rosą niebios były;
W wiecznéj pogodzie serce nie dojrzéwa.
Zgnieciony w czarze sok jagody tryska,
Balsam pod nogą, która go naciska,
Obficie zapach wyziéwa.

*

Bóg mi gorącém duszę przelał tchnieniem;
Wszystko się przy niéj żarzyło płomieniem:
Dar zgubny! miłość, zbliża mi zgon właśnie!
Czegom się dotknął, to w proch przeszło marnie:
Tak ogień niebios, gdy wrzosy ogarnie,
    Strawiwszy wszystko, sam gaśnie.

*

Lecz czas? — Już minął! — A chwała? — mniéj ważę
Czy wiek wiekowi czcze imię przekaże,
Na późnych igrzysk przedmiot okazały.
Wy, co mu przyszłość wróżycie rozrzutni,
Słuchajcie tylko akordu méj lutni: —
    Wszak już go wiatry rozwiały!

*

Ach dajcie śmierci mniéj błahą otuchę!
Ulotnych dźwięków czyż odbicie głuche,
Wiecznie na próżnym tętnić będzie grobie?
Dech konających jestże chwałą w świecie?
Lecz wy co tamtym laty szafujecie,
    Macież dzień przyznany sobie?

*

Z uśmiéchem, (świadkiem niebo najłaskawsze!)
To wielkie słowo wymawiałem zawsze,
Które tu pycha utworzyła pusta;
Co-raz mniéj treści w jego czując jądrze,
Jak łuskę wreszcie odrzuciłem mądrze,
Co ją daremnie ssą usta.

*

Człowiek tu marząc o niepewnéj chwale,
Puszcza z odpływem na pożércze fale,
Imię słabnące w ich bystrym przegonie;
Tym świetnym szczątkiem wichrzą lat odmęty:
Płynie on z wieki, aż nagle popchnięty,
W głębi zapomnienia tonie.

*

Równie w tę powódź ja me imię nurzę;
Niech je wiatr zbawi, lub pochłoną burze!
Będęż stąd większy? wszak to tylko imię.
Alboż dba łabędź, gdy dąży w obłoki,
Czy na darń podłą cień dosyć szeroki,
Rzucają skrzydła olbrzymie?

*

Czemużeś śpiéwał? — Spytaj Filomeli,
Czemu noc głuchą swym głosem weseli,
Wtorując strudze w zacienionym lasku?
Śpiéwałem, bracia, jak człowiek oddycha,
Jak ptaszek nuci, wietrzyk szemrze z cicha,
Jak woda mruczy na piasku.

*

Miłość, śpiew, modły: oto moje życie!
Z całego szczęścia, które tu wielbicie,
Ja nic nie cenię odchodząc z spokojem;
Nic, oprócz westchnień, co w niebo się wznoszą
Zachwyceń lutni, wraz z niemą roskoszą
Serca tchnącego przy mojém.

*

Czuć drżenie lutni u stóp swéj kochanki,
Szał harmonijny wznieść nad pojęć szranki,
Cudnym go dźwiękiem lubéj przelać duszy,
Łzy, z ubóstwionéj wycisnąć powieki,
Jak je czystemi zorza roni ścieki,
Gdy zefir kwiaty poruszy;

*

Widzieć spojrzenia żałosnéj dziewicy,
Ku niebu w błogiéj wzniesione tęsknicy,
Właśnie ujść chcącéj, w uchodzących głosach;
A gdy spuszczone skromnie ciebie trącą,
Słodzić jéj duszę, z pod powiek błyszczącą
Jak gwiazdę w ciemnych niebiosach;

*

Przejście jéj myśli postrzedz na jéj czole,
Brak mowy w uczuć zrozumiéć mozole,
I z tak długiego nakoniec milczenia
Usłyszéć słowo, ktore brzmi aż w niebie,
Słowo bóstw, ludzi, słowo — *kocham ciebie*!
To, przebóg! warto westchnienia.

*

Żale! westchnienia! słowa płochéj rzeszy!
Na skrzydłach śmierci, dusza w niebo śpieszy;
Idę gdzie domysł zwraca nas z zapałem;
Idę, gdzie oko nadzieję postrzega;
Idę, gdzie brzmienie méj lutni ubiega,
Gdzie me westchnienia posłałem.

*

Jak ów ptak widzi, gdy ćma padła szara,
Tak moc mą zgłębia oko duszy: wiara!
Jéj wieszcze światło wieczność mi wskazało.
Ognistém skrzydłem duch mój uniesiony,
Pod sklepy niebios, w przyszłości osłony,
Nieraz śmierć uprzedzał śmiało.

☼

Nie piszcie mego na grobie nazwiska!
Niech żaden pomnik zwłok mych nie uciska!
Z piasku klécona, obca mi żałoba.
Zostawcie tylko z wierzchu miejsca tyle,
Żeby przechodzień, na mojéj mogile,
Mógł oprzéć kolana oba.

☼

Nieraz, gdy ciszę noc czarna przywiodła,
Z darni święconéj czuła wschodzi modła,
Aż z łona śmierci nadzieję uprosi.
Noga na grobie pociąg ziemski zmniejsza,
Świat się rozszérza, a dusza stąd lżejsza,
Snadniéj do nieba się wznosi.

☼

Spalcie, porzućcie, na burz pastwę płonną,
Tę lutnię tęskną, duszy jednotonną;
Lira Serafów, zabrzmi wmojém ręku.
Ach wnet jak oni, wnieśmiertelnym szale,
Będę wiódł światy krążące wspaniale,
Według jéj boskiego dźwięku.

*

Wnet — ale śmierci dłoń, zbrojna żelazem,
Już wstrónę moję, ciężkim godzi razem;
Ta pęka, tętniąc żałośnie wprzestrzeni.
Zamilkła lutnia — Ty nuć przyjacielu;
By w wyższych strefach, duch mój dościgł celu,
Przy głosie twych świętych pieni!

Ludwik Kamiński.



Boskie Słowo.

Śmiertelny, spojrzyj do góry!
Tam, w świat bez granic, tam za te chmury!
Tam Jehowa!
Czy znasz moc boskiego słowa? —
Patrz! jak na nieprzejrzanéj nieba stronicy,
Jedném mgnieniem błyskawicy,
Kréśli Bóg hieroglif złoty,
Dla każdéj czytelny duszy na ziemi,
Jeśli jéj ziemskość oka nie zaciemi.

W tém grom uderzył —
Głos niebios,
Boski głos.....
I człek dopiéro zadrżał, w głos ten uwierzył,
I schylił skronie, gdy runęły grzmoty.
Ale nad ten silniejszy inny głos niebieski —
Choć do ucha wpada ciszéj,
Niewyraźnym, tonem głuchym,
Lecz czyjéj duszy,
Ludzkość nie wzruszy,
Kto niezdolny wylać łezki,
Na bliźniego pocieszenie!
Ten już nigdy nie dosłyszy
Niebios głosu serca uchem —
Tam milczenie! tam milczenie!
Takim głosem szelest drzew:
Wyższych istot cichy śpiew, —
Takim głosem wiatrów szum:
To anielskich odgłos dum —
Takim głosem poświst chmur:
To przychylnych duchów chór —
Takim głosem echo gór:
To niebiańskich pienia cór! —
O! przed tą tajną, świętą mową,
Zegnijmy bliźni kolana,
Bo to mowa niebios pana —
Wielkie słowo! słowo wieszcze —

Ono, jak ten świat daleki,
Przetrwało wieki,
I przetrwa jeszcze!
Ono balsam wléwa w człeka;
Lżéj przy niém łza z powiek ścieka,
Kiedy w duszy, jak najszczerzéj
W nie uwierzy.
Przed nim świat cały upada. —
Biada winnym, wiecznie biada!

Teofil Nowosielski.

Sceny z domowego życia u nas
w XV i XVI wieku.[1]

I. Kochankowie.

Przed szlubem przyszli małżonkowie, grali rolę kochanków, starając się wzajemnie przypodobać sobie. Kochanek gaszek, upatrzywszy sobie miłośnicę (kochankę,) oświadczał jéj swą miłość, szczególniéj w tańcu

[1] Artykuł ten dosłownie wyjąłem z poetów polskich XV i XVI wieku, nietylko myśli owoczesnych pisarzów, ale i wyrażenia ich zachowawszy wiernie.

nogą przydeptując jéj trzewik[1]. Podarunek ofiarowany ze strony panny, jakoto: pierścień z palca zdjęty i podany gachowi, oznaczał, że przyjęto jego oświadczenie[2]. Następnie, musiał uzyskać gach pozwolenie od osób, u których bawiła dziewica, ażeby mógł do ich domu uczęszczać w oględy (w konkurencye), czyli, ażeby bliżéj mógł oglądać swą miłą, i lepiéj poznać jéj osobę [3]. Gdy takowe uzyskał, szukał sposobów gach do przypodobania się pannie, a ta nawzajem jemu.

Obiedwie strony usilnie starały się o to, ażeby okazać, że są k'rzeczne, czyli grzeczne, to jest, obejściem swojém okazywały się ku rzeczy, czyli, że dobre mając wychowanie, potrafią się w każdéj rzeczy znaleść należycie. Wszystko przeto [4] k'rzecznie czynić musiały. Mężczyzna powinien był bespiecznym okazywać się w żartach, czyli dowieść tego postępowaniem swojém, że jest dowcipnym i przyzwoicie żartów używać umié. Powinien był być wymowny, bo inaczéj nazywano go niemową. Na urodę, nieuważano wiele, byle tylko gach usłużnym okazać się umiał, to jest: byle umiał przypodobać się swéj lubéj. Nadto, powinien był do-

1 Szymonowicz: *Sansiel.* 17.—Kochanowski w *Sobotce*.
2 Rey, w *Wiz.* 27 mówi: «panny wieńce, pierścienie paniczom dawają."
3 Witkowski, *Zgoda*.
4 Mówi Zbylitowski, w *Przyganie*.

wieść samą skórą (tak mawiano), czyli powierzchownością swoją okazywać to był powinien, że potrafi być mężem, to jest, że będzie umiał prowadzić żonę i rozkazywać w domu, jako ten, który głową a nie nogami ma kiedyś być na swoim dworze [1]. Takiego gacha chętnie widywali w domu swoim rodzice; dla takiego kazały matki, córkom swoim być grzecznymi. Matka uczyła córkę, jak się mu przypodobać ma, w te do niéj odzywając się słowa: »Gdy cię o co spyta, wymawiaj bezpiecznie, mówiąc tak; ażeby z mowy twojéj poznał, że masz rozum. Twarzy zawsze przymuskaj; używaj barskiego mydła, ażebyś zawsze była pięknego lica. Pociéraj ciało gorzałką, zmieszaną z białkiem, ażebyś płéć delikatną miała. Miéj zawsze dobrze zfałdowany letnik (suknią letnią), drobniusieńko stąpaj, oczy trzymaj wryte, mając zawsze wzrok skromny ale śmiały. Kiedy zobaczysz mężczyznę, ukłoń się zaraz, a gdy powié co dowcipnego, uśmiéchnij się, a ręką tą, na któréj masz pierścień, twarz sobie od śmiéchu zasłaniaj. Zatyczki (grzebienie) często poprawiaj na głowie [2].”

Dziewica grzeczna łatwo się podobała, zwłaszcza, jeżeli biegały o niéj wieści, że umie być dobrą córką, że troskliwie pielęgnuje rodziców swoich, (że im sama

[1] Dosłownie z broszury: *Sejm panieński.*

[2] Dosłownie z broszury: *O fortelach białogłów.*

głowę myje i czesze ich), że się zawsze skromnie sprawowała i sprawuje w rodzicielskim domu [1], z niewinną minką zwykle przy pracy siedzi.

Za stołem chudziątko,
Jak jakie pieszczone zwierzątko.

Wabiło także do dziewicy takiéj, jéj umiejętne wzięcie i znalezienie się właściwe w przypadku każdym, a mianowicie w rozmowach z mężczyznami. Na niéj sprawdzało się przysłowie, że białogłowa grzeczna, a wino mocne, z najmędrszego uczyni błazna [2]. Kochanek gaszek, kiedy był pewny swego, i wiedział o tém, że się podobał pannie, uwalniał się nieraz z więzów, w jakie go przymus okował: poziewał, przeciągał się, rano w oględy przyszedłszy. Albo zaniedbywał swą lubą, zasypiając dzień biały, i niewstając z łóżka aż w nieszpornéj godzinie [3]. Wtedy czyniła mu wyrzuty obrażona strona i odsyłała odebrane dary, z oznaką, że koniecznością zmuszona, przystąpiła do tych ostateczności. Facelet (chusteczka), który kochanek podarował swéj lubej, odbiérał skropiony łzami; a w nim była obrączka, niegdyś wzajemnie wzięta w upominku [4]. Lecz było lekarstwo na to. Gach, ugładziwszy

1 Z broszury: *Dama dla uciechy młodzieńcom.*
2 Zabczyca: *Polityka.*
3 Klonowicz: *Worek Jud. II.*
4 Kochanowski: *Fraszka* 102.

twarzy i przejrzawszy się w zwierciedle, poszedł wytłumaczyć się z zarzutu, albo rymem napisał wierszyk. pismo posypawszy złotym prochem [1], albo posłał w upominku jakowe łakocie, szczególniéj téż marcypany, lub sam przyniósł jéj woniejące wieńce (bukiet kwiatów), wyprawiał serenady rano, lub pod wieczór, każąc pod oknami swéj lubéj, śpiéwać i grać w szałamaje, lub upatrzywszy kędy z matką swą, w karecie na przejazdkę pojechała, wnet i on udał się tamże na tureckim koniu, blisko karéty skacząc, pląsząc i różne czyniąc wywijanki [2]. Wszakże przeprosiny nie łatwo udawały się paniczom starego pieczywa, to jest, gachom już nie pierwszéj młodości, czyli marcowym kawalerom, jak dziś mówimy; i ci, chcąc pozyskać wzajemność, nietylko ciągle nadskakiwać, ale i nie mały posag (zapis)przyobiecywać musieli swym lubym [3].

Ale i przeprosiny i ożenienie, łatwo rzeskim przychodziło chłopcom. Skoro pan ojciec zobaczył, że biorący się do jego córki gach, jest pachołkiem do rzeczy, że ma zawsze bótek świéży, magierkę sobie nadobnie przypierza (do czapki pióro przypina), ledwo że mu się sam nie prosił, by wziął jego dziéwkę [4]. Jeżeli ociągał się z ożenieniem, a był przystojny

[1] Klonowicz, tamże. Kochanowski: *Fraszka* 72.

[2] *Korwety*, w broszurze: *Światowa roskosz*, *Podwika*.

[3] Zbylitowski: *Żywot*.

[4] *córkę*, Paprocki: *Próba cnot*.

i pieniężny, używano fortelów, aby go połączyć małżeńskim węzłem. Upoiwszy go, sadzano obok dziewicy, przyzywano podpojonego także księdza, i dawano szlub państwu młodemu [5].

Bywało czasem, że się gach podobał pannie córce, a bynajmniéj panu ojcu. W takim przypadku, czynił jéj rodzic uwagi, a gdy te nie pomogły, brał surowiec wołowy, a obwiązawszy koszulę około głowy, nim smarował jéj ciało i polewał wodą [1].

II. DOBRY MĄŻ — DOBRA ŻONA.

Po szlubie i weselu, miał mąż żonę czyli niewiastę, jak ją sam i jego nazywali rodzice [3]. Po niéj poznać było, jakim jest ten dom, w którym ona z mężem mieszka; jakim jest sam gospodarz a mąż téj żony, jakiém ich mienie i całe gospodarstwo. W przysłowiach to wyrażano, mawiając: że żona ochędostwem i wiernością zalecać się powinna; że zgodne z nią mieszkanie

[1] Klonowicz: *Worek Jud.* II.
[2] Paprocki: *Próba cnot.*
[3] Kochanowskiego dzieła: I. str. 286.

gotuje temu, który się zawczasu ożenił, swobodne w starości chwile (wczas); że męża imię słusznie nosi ten, kto żonie swéj jako starszy, słudze jako pan, poddanemu jako mistrz, pokazywać się umié; że jak koń z rączości, sługa z cierpliwości, a poddany z wierności, tak żona ze wstydliwości pochwały godna; że przy kim żona z wiernością, przy tym ze wczasu zdrowie; że po żonie poznać w porządku gospodarza [1]. Było przekonanie w narodzie polskim, że Bóg ozdobił niebo słońcem, a dom cnotliwą żoną [2]; i że małżonka dobra, jest jako winna macica, podawająca wdzięczne gronka; że dziatki jéj są jako oliwne gałązki, około stołu rodzica swojego, a on sam, jest jakby drzewo cedrowe, nad pięknym zdrojem mocno stojące [3]. W takiém małżeństwie [4] nic nie usłyszałeś sprośnego, jeno owe jedwabne i pozłociste słówka: »mój drogi, mój złoty, moje serce, mój serdeczny, miły braciszeńku, mój królu, moja hołowieńko (główko), panie bracie, przyjacielu, ojczeńku, diedu" któremi się nazywali wzajemnie pokrewni i powinowaci stadła tego. W takiém małżeństwie, żonka, przymilając się mężowi, nie inaczéj przemówiła do niego, jak: »moje najmilsze serce, moja pociecho, moja gębusiu, moje ser-

[1] Przysłowia, w *Gospodarstwie jezdeckiém.*
[2] Paprocki: *Próba cnot.*
[3] Rey: *Żywot* 33.
[4] Mówi Klonowicz w przemowie *do Worka Ju*...

duszko, mężu najmilszy, waszmość mój mężu, moje kochanie, wiécie co mój mężu [1]. " W takiém małżeństwie, żona nazywała swego męża panem, a on ją nawzajem panią [2]. Taka żona była i radą mężowi i obroną. Bo każdy szedł do rady, żony o wszystko pytał; a kiedy się znajdował na obiedzie, przy którym upiwszy się rozpoczął bijatykę, żona szczególniéj go na oku mając, przestrzegała troskliwie, ażeby jéj mąż niebożątko, odcinając się przeciwnikom, nie poniósł jakiego szwanku [3]. Pod wieczór ubrawszy się dla niego w giezłeczko (wieczorny ubior), bawiła męża pięknemi gadkami, wasińciem go dobrodziejem, a on nawzajém swoją kochaną nazywając ją panią [4]. Żona taka wszędzie wydała się najpiękniéj, szczególniéj też w zimie na weselu, a w Maju w ogrodzie; tam strojna, tu pracowita, dowód stawiała na to, że krasa i praca, w jednéj chodzić zwykły parze tam, gdzie po Bogu i zgodnie z ludzkiemi skłonnościami, sprawuje się małżeństwo [5].

1 Zbylitowski: *Przygana*, — Paprocki: *Dziesięcioro przykazań*-Broszura, *O fortelach białogłow*.

2 Zbylitowski: *Żywot*, tudzież *Przygana*, wydanie drugie we wstępie.

3 Bielskiego *Sejm* 4. — Zbylitowski: *Schadzka*.

4 Broszura *O fortelach białogłów*.

5 Bielski: przemowa *do Sejmu*.

III. ZATRUDNIENIA DOBRÉJ ŻONY — ŚPIŻARNIA I APTECZKA DOMOWA.

Żony wyższego urodzenia patrzały wzorków, żony urodzenia niższego zatrudniały się kądzielą co znaczy, że gdy stroje i misterne roboty zabawiały panie, praca domowa była udziałem szlachcianek niezamożnych. Za dobrą gospodynię uważano kobiétę, która o niczém mówić nie lubiła, tylko o mléku i o kądzieli; która, rano wstawszy, rozniecila zaraz w kuchni ogień, a potém myślala o dojeniu krów. Kobiéta taka, porobiwszy następnie ochędostwo domowe, nie siedziała próżno wzniosłszy kolana, nie krokorała jak kokosz, i nie orała językiem jak młyńskie koło; lecz albo przędła, albo pracowała około nabiału, skąd zebrane pieniądze stanowiły jéj dochód wyłączny, albo robiła gomołki, tworzyła małdrzyki, lub serwatkę odbierała od mleka, twarog na ser przysposabiając. Pracując sama uczyła pracować i córki swoje, pierąc chusty i pięknie susząc je; siejąc w ogrodzie nowinki (nowalje), jakoto: ogórki, melony, karczochy; zbierając je i susząc; nakoniec zaopatrując spiżarnię w zapasy potrzebne. Rządna gospodyni przebierała pietruszkę i pasternak, przekładała ćwikłę, przesypując ją koprem. Prze-

suszywszy cwikłę w piecu, krajała ją w talerzyki, potrząsała chrzanem i koprem włoskim, kropiła octem, posypywała solą, układała koper włoski, każdą jego gałązkę w warkoczyk uplotłszy. Soliła ogórki, przekładając je wiśniowemi albo dębowemi liściami. Smażyła róże i inne zioła, przyprawiała wódki, jedne dla toalety, jakoto: wypalane z różnych pachnących ziół i krzewów, ze szpikanardu, lewandy, róży, cyprysu, izopu; drugie dla napitku, jakoto: wódki cynamonowe, wódki zwane *rosa solis*, anyżowe, tatarskie i z różnych innych zioł dystylowane [1]. Robiła konfekty, smażąc owoce w miodzie. Z wiśni robiła soki, ze śliw powidła, smażyła ziele tatarskie w cukrze, skórki cytrynowe, pomarańczowe. Wódki służyły za lekarstwa dla miernego ich zażycia rano, czasem na noc. Różę smażoną zażywano w cukrze. Na ciasta sprawiała mąkę, krupy perłowe przesiéwała na drobne i średnie. Indyki, gęsi, kapłony, tuczyła w kojcu. Przechowywała w pudle wysuszoną kaszę, zrobioną z wygotowanych i przez durszlak przecedzonych jabłek, a ten zapas wystarczał jéj na rok cały; chowała świéże masełko, chléb biały, korzenie i wina, które nakupował jéj mąż do śpiżarni, ilekroć mu się udało dobrze sprzedać zboże w poblizkiém miasteczku. Wyrobione i wybielone w lecie płótno krajała w zimie,

[1] Rej: *Wiz.* 23. *Światowa roskosz-pijatyka.*

a następnie z panienkami swemi zatrudniała się szyciem [1].

W późniejszym jéj wieku, odzywały się tego skutki. Każda niemal białogłowa, chorowała na starość na oczy, bo je za młodu płaczem lub szyciem popsuła [2]. Nie znała taka żona, co to jest fukać i hukać na domowników, wyjąwszy kiedy chléb piekła: wtenczas każdy, nawet i pan mąż powinien jéj był ustępować z drogi, jeżeli się nie chciał narazić na przykrość [3].

IV. ZŁY MĄŻ — ZŁA ŻONA.

Kto chciał mieć dobrą żonę, powinien był przy ożenieniu uważać na samą tylko urodę i na dobre obyczaje panienki, i ażeby jéj dostał za żonę, na swoję tylko pomoc i na przyczynienie się przyjaciół oglądać się był powinien, to jest: ażeby go nawzajem,

[1] Wypisano z Paprockiego: *Dziesięcioro przykazania* - z Bielskiego *Sejmu*, 3. 9. z Reja *Żywot* 90. 109. 109. 110. i 111. z Jeżowskiego *Zabawy Ziemianek*.

[2] Przysłowie w *Gospodarstwie jezdeckiém*.

[3] «*Na niewiastę gdy chleb sadza nie naciéraj*," przysłowie w *Gospodarstwie jezdeckiém*.

dobre jego obyczaje i przyczynienie się za nim przyjaciół, zaleciły dziewicy, a nie majątek lub dostatki liczne. Pachołek taki żeniąc się, niepotrzebował silić się na wielkie wydatki, ani ubiegać się o to, ażeby mu surma (muzyka) wrzeszczała nad uchem, gdy będzie zajeżdżał w zaloty do swéj miłéj, ani dbać o to, ażeby ościennych wiosek chłopi, wieszając się po płotach, okazywali sobie przybranego szumno młodego pana [1].

Gdy żeniąc się nie patrzał na to, czy gładka wełna (czy wymuskana jego luba), lecz czy w posłuszeństwie u poczciwych chowana jest rodziców [2], nie sprawiał poszóstnych koczów w oględy jadąc, sługom nie dawał od bławatu i szkarłatu barwy [3], nie był obojętny na to, że chociaż ma stajnie i wozownie napół obalone, przecież sześć koni do powozu zaprząść powinien [4], ilekroć swoję odwiedzi miłośnicę.

Kto inaczéj czynił, znać przez to dawał, że nie szuka żony lecz pieniędzy, za któreby po szlubie spłacił swe długi. Tym końcem panowie młodzi udawali się do pań ziem ruskich (na Grzegorze, na Wasiłki). Albo szli do dziewic które miały duże posagi chociaż nie upatrywali u nich, ani urody, ani obyczajów, ani

1 Rej: *Zywot*, 31.
2 *tamże*, 60.
3 Witkowski, *Zgoda*.
4 Zbylitowski *Schadzka*.

porządku [1]. We Wielkiéj i Małéj Polsce, posagi bywały małe. Szlachcianka, mająca wieś jednę; brała w posagu sto złotych; połowy wsi posiadaczka, brała połowę téj summy; wojewodzianka i kasztelanka, brały po pięćset złotych. Resztę zabierali krewni płci męzkiéj. Zabiegi, które czyniono o to, ażeby raczéj płeć żeńską, niż pobocznych krewnych linii męzkiéj wyposażano majątkiem dziedziczek, to jest: ażeby siostry, dwie trzecich majątku, a resztę, czyli jednę trzecią, brat stryjeczny zabiérał, nie doszły do skutku [2]. W ziemiach ruskich dawano posagi wielkie, ale te rzadko wychodziły na dobre mężowi. Bo, jak mawiano, posażne żony, bywały dla swoich mężów gorsze, niż ów srogi Witold, brat stryjeczny Władysława Jagiełły, który tak dzielnie gromił ościenne ludy [3]. Posażna żona posłuszeństwa nie znała, kiedy mąż fukał, ona hukała [4] i szydziła z wiérszy, które dobra żona często przywodziła sobie na pamięć [5]:

A teraz muszę się frasować,
I fuki i puki przyjmować.

Stroniła od pracy, nie myślała o kądzieli i bieliznie, uwagę czyniąc mężowi, że ona jest żoną, a nie prząd-

1 Rej: *Żywot*, 31.
2 Bielski: *Sejm* 20, 22.
3 Bielski: *Sejm* 19.
4 Paprocki: w *Dziesięcioro przykazań.*
5 W broszurze: *Dama dla uciech młodz:*

ką, nie kucharką, nie praczką. Mawiała, że rej wodząc w domu i tak pracuje więcéj od męża, którego cała praca zależy na tém, ażeby w pokoju lud sprawować (rządzić i sądzić poddanych) i na okazywanie (rewizye wojskowe) chodzić [1]. Naturalnie, że w domu takiém nie było ładu i składu; czasem nie stało i kaszy na wieczerzę [2]. Nie usłyszano tam miłego słówka: mąż nazywał swą żonę, pogardliwie, białogłową, kobiétą [3]; a ona mu przymawiała, szczypała go słowami, szkalowała, przycinki dawała [4]. Nie myślała żona taka o pracy i nie śpiéwała sobie z bezposażną żoną [5]:

Trzeba rzecz zrozumiéć na świecie,
Żeby mąż nie uczył po grzbiecie.

Lecz i owszem, robiła wszystko na złość mężowi, nazywała go: smrodem, pijanicą. Posypywała grochu na wschody, żeby wychodząc z domu, tym łatwiéj się pośliznął i spadł na łeb nieborak [6]. Chodziła po sąsiedztwie i rozgadywała jego sprawki, w czém jéj dopomagała rodzina, matka własna i ciotki [7]. Biédak

1 Bielski: *Sejm* 13.
2 Rej: *Żywot*, 31.
3 Bielski: *Sejm* 3.
4 Klonowicza przemowa do *Worka Jud.*
5 W *Pieśni krotochwilnéj*, tudzież *w Damie dla uciechy młodzieńcom.*
6 Bielski: *Sejm* 10.
7 Paprocki: *Dziesięcioro przykazań.*

marniał i żywcem zakopywał się w grobie. Mówiono o nim, że napoły zdechł, bo podobny jest do tego, którym sługi rządzą, a trzewik go trze, gdyż mu własna łaje żona [1]. Ów, niegdyś łepski chłopak, który pierwéj chodził chędogo, ożeniwszy się germak nosił, a i ten był niechlujny, bo na nim nigdy nie postała szczotka [2]. Kwap (piérze) tkwił mu w głowie (we włosach) [3], bo już swojéj ani czesał czupryny, ani kapci nie zasuwał, boso i w koszuli chodził, idąc spać do łóżka. Z rezygnacyą mawiał: niech się dzieje wola Boża [4], bo mu się wszystkiego odechciało. Zaniedbał się zupełnie; chodził by podskubana gęś; opuściwszy skrzydła. Na piersiach jego niezapiętych, żupan klijowaty, na kołniérzu pełno kurzu, na łokciach, na kolanach, łaty różnéj maści, bóty spuścił do kostek prawie we trzy rzędy, a z nich wyglądały wiechcie. Rzepa mu w dole pogniła, grochu nie dostawało, nie było co jeść. Przysłuchiwał się pilnie, czy gdzie kokosz nie gdacze, ażeby choć jaje znalazł na posiłek [5]. Żona, cochwila wołała pieniędzy, wołali o nie i zewsząd nań nacierali wierzyciele. Najlepsze jego szaty poszły na

1 Przysłowie, w *Gospodarstwie jezdeckiém.*
2 Rej: *Wiz.* 93.
3 Rozmowa 2, z roku 1553.
4 Paprocki: *Proba cnot.* — Klonowicz, *Worek Jud.* 94, 102.
5 Klonowicz, *Worek Jud.* I. — Rej: *Wiz.* 57.

zastaw do żyda [1]. Jedyna jego pociecha gorzałeczka i spanie. Wstawał ku południowi, a jeszcze był pijany od wczoraj; oczy mu zagniły, twarz zapuchła. Jeżeli się trafił sąsiad i pytał o przyczynę puchliny, nieborak upiekł raka, i mawiał, że go pszczoła ukąsiła [2].

V. ZATRUDNIENIA ZŁÉJ ŻONY.

Gdy wszystko szło opacznie w małżeństwie nieprzykładném, przeto złe żony, na dowód, że się mężów nie boją, przesadzały się w strojach [3], mawiając, że nie są żonami szewców i garbarzy, ażeby miały uszanowanie mieć dla mężów. Na męża chwata, który i posażną żonę trzymał w posłuszeństwie, rzemienia tęgiego napomoc przywołując, miała białogłowa dzielną broń, którą go pokonywała łatwo, to jest: przymilenia i płacze. Ale skoro takiego męża, zwłaszcza jeżeli miał lepsze wychowanie, raz tylko łzami swemi zmiękczyła żona, już tam ona wodziła rej, i jak owa Wasta

[1] Paprocki: *Próba cnot.*
[2] Bielski, *Sejm* 21.
[3] Zbylitowski: *Przygana.*

(Własta — czeska amazonka) dokazywała w domu. Mężowskie zatrudnienia przywłaszczała sobie. Po miastach, rajczyni i burmistrzowa, a na prowincyi, sędzina i podsędkowa, wtrącały się do Sądów, zamiast garnków i kądzieli pilnować. Kiedy jéj w tém czynił uwagę, żona dowodziła mężowi, że tak być powinno, zaraz mu przywodząc biblią i powiadając, co o rozwodach stoi u świętego Marka [1].

Wacł: Alex: Maciejowski.

[1] Paprocki: *Dziesięcioro przykazań* i *Próba cnot.*



Mahadeh i Bajadera.

(Legenda Indyjska z Göthego.)

Mahadeh, Bóg, władzca ziemi,
Szósty raz zstępuje z nieba:
Żyć mu razem z śmiertelnemi,
Użyć, cierpieć wraz potrzeba.
Trzeba własne poznać dary,
Znać, jak koło życia bieży,
Dla wymiaru łask i kary,
Ludzkim z ludźmi bydź należy.

Piérwsze w wędrówce miasto mu się zdarza.
Spojrzał na możnych, a na biédnych zważa.
A gdy wieczór mroczy chmury,
Porzuca mury.

Niższy domek już i rzadszy,
I ostatnia już ulica,
Z okna śliczne dziéwcze patrzy,
Kwiat udaje barwą lica.

"—Witaj dziéwcze!"— a ta szczéra:
"—Wnijdź!"— zawoła; —"ja otworzę!
"—Któż ty jesteś?"—" Bajadera! —
To miłości dom i łoże! — "

W tém mu roskosznie w dzwónki uderzy;
Znowu powabnie w krętym tańcu bieży;
To się stroi,
To znów przymila;

Nęcąc, ściąga go do proga,
Żywo wzywa w pomieszkanie:
»Chatka moja, choć uboga,
»Rajem pięknyć gościu stanie."

»Otrę pot z twojego czoła;
»Ból znużonych stóp ukoję;

»Spokój, żarty, myśl wesoła,
»Żądaj tylko! wszystko twoje!"

Chętna ukoić ból udany, spieszy;
Bóg się uśmiécha, ale wewnątrz cieszy,
Że w zepsuciu serce żyje,
Po ludzku bije.

Co-raz nowych posług szuka.
Służy chętnie bez spocznienia;
A nabyta wcześnie sztuka,
Zwolna się w naturę zmienia.

Ledwie z pączka kwiat się ruszy,
Owoc przybyć nie odwleka;
Bo gdzie korność już jest w duszy,
Tam i miłość niedaleka.

Lecz by doświadczył, aby sam uwierzył,
On, co i szczyty i otchłanie zmierzył,
Wzywa rozkosz, trwogę, męki,
Skinieniem ręki.

I całuje lica kraśne;
Dziéwcze się z miłości płoni,
Biedna w sidła leci własne;
Z oka łzę raz piérwszy roni.

Błaga, prosi, do nóg pada,
Nie o roskosz, nie o złoto:
Giętkość, ciałem już nie włada,
Igra, służy nie z ochotą.

Już ich i łoże do miłości wzywa,
A z przyjaznego tkając płaszcz przędziwa,
Ślą im cienie swe pomocne,
Godziny nocne.

Z pieszczot późno zadrzymała;
Z rana wcześnie obudzona,
Spójrzy obok, — zadrzy cała, —
Młodzian martwy u jéj łona!

Z krzykiem rzuca się na ciało,
A nie zbudzi żadną władzą;
Co z młodzieńca pozostało,
W grób ognisty poprowadzą:

Słyszy kapłanów pieśń pogrzebną z blizka;
Wpada szalona i przez tłum się wciska.
»Ktoś jest, co tak w grób spoglądasz,
I czego żądasz?"

I na mary znów się rzuci;
Znowu krzyk powietrze porze:

»Męża wróćcie, — a nie wróci?
»Ja się w grobie z nim położę.

»Maż się w proch rozsypać w ziemi,
»W kwiecie lat, w czerstwości sile?
»On był moim, przed innemi,
»Moim, jedną, piękną chwilę!”

A Księża nucą. — »My starych nosimy,
Gdy mrą wśród bólów i lat późnych zimy,
Młodych nosim kiedy giną,
Nim lata miną.

Księżać głoszą prawdę szczerą;
To nie mąż twój, jako mniemasz;
Kiedy żyjesz Bajaderą,
Powinności żadnéj nie masz.

Ciału tylko cień należy;
W wieczne bieży z nim spocznienie;
Z mężem na śmierć żona bieży;
Taki los i przeznaczenie.

Trąby, ogłoście światu dziś żałobę;
A wy bogowie! weźcie dni ozdobę,
Niech młodzieńca płomień czyści.
A niech się ziści!”

Jątrzy śpiewem chór ponury
Ranę serca bolejącą;
Wznosi dziéwcze dłoń do góry,
Z góry skacze w śmierć palącą.

Ale boski młodzian wstaje,
Sam się wznosi nad pożogę,
Własną ręką w niebian kraje,
Z sobą niesie swoję drogę.

Zdawna był bóstwu żal grzesznika luby;
Ognistą ręką, dziecię swe, z zaguby,
Nieśmiertelne niosą bogi,
W niebieskie progi.

J. D. M.

Roskosz Smutku.

Piosnka.

Kochać, kochać śpiesz dziewczyno!
Rychło życia mrok zapada:
W łzach, co płyną i przepłyną,
Roskosz smutku poznaj rada!

Kochać! kochać chciéj wzajemnie,
Jeśli duszą duszę zbada,
Wierz mi, ze mną i przezemnie,
Roskosz smutku poznasz rada.

Miłość w jedném ci spojrzeniu,
Wszystkie czucia wyspowiada,
Sama wyznasz w zachwyceniu:
Roskosz smutku czuję rada. —

Ciebie wstrętem niech nie wzrusza,
Doświadczona ludzi zdrada.
Serce pęka — jeszcze dusza,
Roskosz smutku wspomni rada.

Kochać, kochać śpiesz dziewczyno!
Rychło życia mrok zapada:
W łzach, co płyną i przepłyną,
Roskosz smutku poznaj rada.

Julian Horsak.



Dwie Siostry.

(z Ryciną)

Nim nazawsze Rzym opuściłem, ostatnia wycieczka moja w okolice tego miasta, miała na celu zwiedzenie jeziora Albano. Pora roku szczególniéj sprzyjała wszelkim tego rodzaju podróżom: byłato bowiem wiosna, już w lato przechodzić poczynająca. Drzewa, pokryte pełnym i dojrzałym liściem, utrzymywały zieloność w całéj swojéj świeżości; wieśniacy, uprawiacze winnic, rozsypani pomiędzy niezliczonemi ogrodami, kształcąc i prostując latorośle, wesoło wyśpiewywali dokoła; niesłychać było jeszcze świerkania polnego konika,

bo i znojne upały się nie zaczęły, ale wieczorem, mnóstwo muszek ognistych, rojami unoszących się ponad wzgórkami zapewniały, co z resztą w tym kraju niepotrzebuje zapewnienia, iż dnia następnego będzie piękna pogoda. Wszelako, unikając znużenia, puściliśmy się w podróż jaknajraniéj, zjedliśmy śniadanie w Albano, około dziesiątéj zwiedziliśmy mozaiki, willę Cycerona i inne miejscowe osobliwości, a potém na resztę dnia udaliśmy się do namiotu, umyślnie rozbitego dla nas na jednym ze wzniosłych pagórków. Czas, w dobraném gronie, schodził nam nader mile, a między innemi przyjemnościami, z niewypowiedzianym urokiem, poglądalismy na rozpostarte przed nami jezioro Albano, jakby oprawione u podnóża gór, i na daleki widnokrąg, uwieńczony miastem, z jego wieżami kościelnémi. Pomiędzy falami gór, widać było rozsypane wsie i chaty, a jeszcze daléj zieleń wód morskich, podsycanych nurtami uchodzącego w nie pięknego i nieśmiertelnego Tybru. Nieśmiertelnego-powiadam, bo Kolliseum upada, Pantheon się wali, osypują się i równają w posadach wsławione wzgórki Rzymu, a Tyber żyje zawsze, płynie zawsze, i zawsze świeżą wodą zasila opasujące kraj, Środziemne morze.

W naszém towarzystwie chcących korzystać z przyjemności letniéj pory, było osób niemało i pełnych zalet; oddając hołd wspomnieniom, wyznam, iż wo-

czach moich, najbardziéj zajmującą była hrabina Atanazya D*** piękna, jak wyobraźnia Rafaela, dobra, jak ideał Lamartina. Siedziałem tuż przy niéj i razem przyglądaliśmy się przemiennym cieniom rozesłanego przed nami krajobrazu. Tymczasem słońce zachodzić poczęło i zlewając szeroki potok światła na poziom jeziora, płynącém złotem zatapiało wysokich gór zapory. Dachy i wieże dalekiego miasta lśniły się odbitym blaskiem; drzewa niknęły w jasności; dwie lub trzy lekkie chmurki, napoiwszy się słonecznemi promieniami, posuwały się daléj po świetnym widnokręgu, w kształcie wysp złocistych; wody, odbijając świetne sklepienie niebios, i jasnością oblane góry, zdawały się u stóp naszych tworzyć, czy drugie niebo, czyli też promienistą ziemię, a nakoniec, jak między śmiertelnemi narzeczona, gdy się w jéj oku odbije spojrzenie kochanka, tak morze zdawało się mącić wpatrując się w słońce i przejmując się jego światłem, w jednę z niém jasność się zlało.

I nasze dusze jak morze, jak wzgórek i jezioro, długo, długo napawały się tym czarownym urokiem, dopóki nieprzepełniła się czara niezbadanéj w sercu ludzkiém tęsknoty, a wtedy, z westchnieniem, oczy nasze zwróciły się w inną stronę.

Poniżéj nas, w niejakiém oddaleniu, był niewielki wzgórek, jak go widzimy na obocznéj rycinie. Na nim, z lewéj strony, wznosiły się dwa drzewa naprzeciw

słońca i jaśniały jego złocistém światłem, które zdawało się w postaci mgły, zawisać pomiędzy gałęziami; po prawéj stronie była chata, opasana wijącemi się młodemi latoroślami i pachnącym, kwiatami osypanym, myrtem. Pośrodku, czysty strumyk przekradał się pomiędzy ogromnemi kamieniami, i spływał daléj na zieloną murawę; na odłamach skały, spoczywało troje wieśniaków. Jednego z nich można by wźiąść za strzelca z gór, bo go tém znamionowała fuzya, niedaleko leżąca; rzeczywiście jednak był-to rolnik: jego słomiany kapelusz i prosta, ale malownicza odzież, są właściwą cechą téj klassy ludzi. Przy nim siedziała wieśniaczka, w miejscowym stroju, z koszykiem w ręku, powracająca z pobliskiéj wioski do domu. Oboje przyglądali się rozłożonemu kramikowi stojącego przy nich przekupnia, i zdawali się bydź zajęci bardzo pokazywanemi im wizerunkami Najświętszéj Panny i rysunkami krajobrazów.

„Można sobie utworzyć zajmującą historyą o parze tych wieśniaków," ozwałem się do mojéj towarzyszki, „broń tego mężczyzny, pozwala bujać wyobraźni i roić, że to jest jakiś bandyta ze swoją kochanką, że to postrach całéj okolicy, że wszyscy drżą na wspomnienie o nim; kiedy tymczasem ona, stworzenie zupełnie bezbronne, bynajmniéj się go nie boi."

„Wesoło," odpowie Hrabina, „zrobiłeś pan to przypuszczenie, a w saméj rzeczy, jest tu osnowa okropnéj trajedyi. Skojarzenie się miłości ze zbrodnią, stanowi

straszny związek, a nieprawe miłostki, niezbędnie ściągają klęski i na głowę samego przestępcy, i na wszystkich, mających z nim stosunki. Mówię to nie bez wzruszenia, bo uwaga pana, przypomina mi nieszczęśliwą dziewczynę, teraz jednę z Sióstr-miłosierdzia klasztoru Santa Chiara w Rzymie. Jéj przywiązanie do człowieka właśnie takiego, jakiegoś pan sobie wyobraził, sprowadziło zniszczenie i smutek na wszystkich, co jéj drodzy byli.

Nalegałem na piękną towarzyszkę, ażeby opowiedziała nam historyą owéj zakonnicy. Długo opiérała się, niechcąc smutną powieścią zajmować umysły zgromadzonych jedynie dla uciechy. Nie ustawaliśmy jednak w prośbach, aż nakoniec przystała na nie. Zdaje mi się, że słyszę dotąd jéj dźwięczny głos, tłumaczący myśli i uczucia w melodyjnym włoskim języku; zdaje mi się, że widzę jéj czarującą postać i całe grono obecnych. W czasie opowiadania, słońce było zaszło zupełnie; księżyc wysunął srebrzyste rogi i jaśniał w migającém kole roztoczonego światła; jezioro zmieniło blask swój purpurowy w srebrzysty połysk; drzewa, ginące wprzódy w jasności, formowały teraz ciemne massy i wiérzchołkami swojemi, odbijały łagodny blask księżyca; roje ognistych muszek unosiły się pomiędzy skałami; nietoperze ponad nami krążyły, a Hrabina Atanazya tak rzecz prowadziła:

„Zakonnica bohatérka mojéj powieści, miała starszą siostrę. Pamiętam, jak dziećmi jeszcze przynosiły jajka i śmietankę do willi mojego ojca. Marya i Anina były zawsze z sobą; słomianemi kapeluszami osłonięte przed skwarem słońca, cały dzień pracowały w ojcowskiéj zagrodzie, a kiedy wieczorem Marya, cztérma laty starsza, szła na górę do źródła, i Anina także zwykle bywała przy jéj boku. Ich chatka, którą wzgórek zakrywa przed naszemi oczyma, stoi na tamtéj stronie jeziora; źródło zaś, o którém wspomiałam, znajduje się o ćwierć mili od szczytu góry. Marya była miłą, ale rozważną i surowszéj postaci; Anina zaś wiecznie wesołe, wiecznie uśmiéchające się stworzenie, z twarzyczką cherubina. Kiedy Marya miała lat piętnaście, matka jéj zachorowała i oddaną została na kuracyą do klasztoru Santa Chiara w Rzymie. Starsza córka razem z nią wysłana, dzień i noc nie odstępowała matki. Zakonnice widząc to poświęcenie się Maryi, uważały ją za anioła, ona zaś nawzajem, poczytywała je za święte. Wszystkie jednak starania były próżne; matka Maryi umarła; zakonnice skłaniały Maryą, żeby wstąpiła do klasztoru; ojciec nic nie miał do zarzucenia przeciwko temu świętemu powołaniu i Marya, została Siostrą-miłosierdzia, w klasztorze Santa Chiara. Raz, lub dwa razy na rok, wolno jéj było odwiedzić dom rodzicielski, i wtedyto, podawała ona rozsądne rady Aninie, częstokroć zapłakała, żegnając się

z ulubioną siostrą; ale pobożność, troskliwe zajęcie się losem biednych chorych, jéj pieczy oddanych, godziły ją z przeznaczeniem. Anina więcéj straciła, tracąc towarzystwo starszéj siostry; inne dziewczęta wiejskie niezbyt się jéj podobały i odtąd to dobre dziecię, krwawo pracujące dla pomocy ojca za jedyną pociechę, za najmilszą nagrodę, miała te pochwały, które jéj przed Maryą sprawiedliwie oddawano, te pieszczoty, któremi Marya obsypywała siostrę, ilekroć przychodziła do nich."

»Dopiéro z końcem piętnastego roku życia, przywiązanie Aniny do siostry zdawało się ulegać niejakiejś zmianie. Nie było to wprawdzie zmniejszenie się przywiązania: owszem, Anina kochała Maryą więcéj, niż kiedykolwiek; ale święte powołanie starszéj siostry i jéj rozsądne przestrogi, przeszkodziły wylaniu się serca, oddaliły zaufanie i przejęły trwogą, aby zakonnica jedynie niebu i dobrym uczynkom poświęcona, nie odkryła i nie potępiła ziemskich uczuć, co zajęły serce Aniny. Bydź może, że część téj nieufności pochodziła z szerzących się wieści o jéj kochanku; ale niezawodnie lękała się, ażeby Marya niepodzielała tego nieukontentowania, téj nawet nienawiści, z jaką ojciec zwyczajnie wspominał jéj ulubionego. Biédna Anino! — Nie wiém, czy u was na północy, prości wieśniacy mogą kochać tak zapalenie, jak u nas, jak kochała Anina, któréj miłość wplotła się w osnowę jéj bytu,

zmieniła się w nię samę; mogłaby była umrzéć, ale nie przestać kochać. Ponieważ ojciec nie lubił Domenika, przeto téż tylko tajemnie widywali się z sobą. Domeniko znajdował się zawsze u źródła, by napełnić wodą jéj dzbanek i ustawić go na jéj głowie; co święto słuchał z nią jednéj mszy, a kiedy ojciec szedł, czy to do Albano, czy do Velletri, czy też do Rzymu, on, jakby przeczuwał chwilę jego odejścia, biegł do swojéj Aniny i pracował z nią i dla niéj, dopóki nie postrzegli wracającego i już z gór schodzącego starca. Domeniko powiadał, że służy u jednego z kmiotków we wsi Nemi; Anina dziwiła się niekiedy, że tyle czasu może tracić przy niéj, ale jego wymówki podobne były do prawdy, a skutki ich tak dalece pożądane, że zaślepiły niewinną dziewczynę co do istotnych powodów."

»Nieszczęśliwy Domeniko! — Szerzące się o nim pogłoski miały rzeczywiście słuszną zasadę, Na jego uniewinnienie, chyba to powiedziéć można, że ojciec jego było rabusiem i bandytą, wprzód nim mu dał życie; że on wzrosł i wychował się pomiędzy ściganymi przez sprawiedliwość. Oprócz tego, miał Domeniko nie mało dobrych skłonności; pokój niewinnych był mu nader pożądany; trudno by go nawet nazywać przestępcą, gdyż żadna straszna zbrodnia nie ciężyła na jego sumieniu. Z tém wszystkiém jednak, był-to bandyta z powołania; byłto człowiek wyjęty z pod

praw, i teraz, kiedy kochał Aninę, te straszne nazwiska, jak zjadliwe żądło żmii, nawskróś duszę jego przeszywały. Chętnieby rzucił swoich towarzyszy i zbiegł w dalekie okolice, ale Anina mieszkała między ich kryjówkami.”

»Rząd francuzki, właśnie pod ten czas władając Rzymem, zwrócił szczególniejsze baczenie na bandy zbójców, kryjących się wśród gór okolicznych, i rozeszły się wieści, że czynne środki mają bydź przedsięwzięte przeciwko rabusiom gór Albano, Nemi i Velletri. Wieści te były hasłem ściślejszego połączenia się bandowych pomiędzy sobą i w obecnym stanie Domeniko, choćby mógł nawet, niechciałby odstąpić towarzyszy w godzinie niebezpieczeństwa.”

»Przy końcu Października, obchodzono w tych okolicach wielką uroczystość kościelną, na którą wieśniacy z całych Włoch się zebrali; w ich tłumie znajdowała się i Anina z ojcem swoim, a policya francuzka, była powszechnym przedmiotem rozmowy tłoczącéj się gawiedzi. Opowiadano użyte straszne sposoby, celem wykorzenienia zbójców w królestwie neapolitańskiém, i wypadki tego rodzaju opisywano ze wszelkiemi szczegółami. Mówiono, że zwykle wojskowe oddziały krążyły po całych okolicach, zwiedzały jedne po drugiém zbójców siedliska, wyparowywały ich, ścigały, jak zwykle ścigają drapieżne zwierzęta po lasach, i nakoniec opasywały ze wszech stron w ciasnym obrę-

bie. Tu dopiéro, około ostatniego ich stanowiska, tworzono łańcuch straży, czuwającéj z największém baczeniem, aby nikt, pod karą niezwłocznego rozstrzelania, nieodważył się dostawiać żywności dla ściganych, A ponieważ ta pogróżka jak najściśléj była dopełnianą w skutku, głód w krótkim czasie zmuszał oblężonych bandytów, poddawać się dobrowolnie. Tak i tu oczekiwano wojska; już je nawet widziano w Nemi i Velletri, a z drugiéj strony twierdzono za rzecz najpewniejszą, że miejscowi rabusie obrali główne stanowisko w Rocco Giovane, to jest, w jednéj z opustoszonych wiosek na szczycie góry, i że właśnie ta wioska ma bydź ich ostatnim punktem schronienia i obrony.”

»Nazajutrz, kiedy Anina pracowała w swojéj *podere*, oddział francuzkiéj jazdy, przeciągał drogą między jéj ogrodem a jeziorem. Przez ciekawość zaczęła się przyglądać żołnierzom, a nawzajem jéj wdzięki nie mogły niezwrócić ich uwagi. Zaczęli ją chwalić i chcieli wdać się w rozmowę, ale ona szybko uciekła od nich, kobiéta bowiem prawdziwie kochająca, poświęca siebie jedynie swojemu ulubionemu, i hołdy obcych za świętokradztwo uważa. Przybiegłszy do ojca, skarżyła się nawet na zuchwałość żołnierską, a ojciec odpowiedział, iż cieszy się z ich przybycia, bo ono zapowiada zupełne wyniszczenie zgrai bandytów. Anina, idąc wieczorem do źródła, bojaźliwie wyglądała Domenika; zjawienie się bowiem Francuzów, trwogą ją

nabawiło. Szła ona późniéj niż zazwyczaj. Roztoczone chmury, prawie zupełną ciemność sprawiały; wiatr szumiał pomiędzy drzewami i nawet wzniosłe naginał cyprysy; wody jeziora łamały się w wysokie fale, a ciemne massy chmur, często błyskawicami przerzynanych, nadawały smutną postać całéj okolicy. Anina szybko biegła ścieżką po górze, i wówczas dopiéro swobodniéj odetchnęła, kiedy przybiegłszy do źródła wykutego w bezkształtnéj skale, ujrzała swego Domenika. Oparty o sterczącą skałę, z kapeluszem nasuniętym na oczy, z *tabaro* z ramion spadającym i z założonemi na piersiach rękoma, Domeniko zdawał się być bardzo zamyślonym. Zadrżał mimowolnie, kiedy spostrzegł Aninę. Jego głos był niepewny, słowa bez związku, ale też nigdy nie patrzał na nię z wyrazem tak gorącéj miłości, nigdy nie nalegał z tak namiętną czułością, iżby o chwilkę jeszcze powrót spóźniła do domu."

—Jakżem rada widzieć cię tutaj — powiedziała Anina, obawiałam się spotkać którego z francuzkich żołnierzy; ja się ich więcéj lękam, niżeli bandytów.—

»Domeniko spojrzał na nię badającym wzrokiem; potém odwrócił się i rzekł: — Smutno mi, że nie mogę przebywać tutaj, aby się opiekować tobą; muszę udać się do Rzymu na tydzień a może i na dłużéj. Ale ty Anino, będzieszże mi wierną, będzieszże mnie kochała, chociażbym cię nigdy już nie zobaczył."

»Przy takich okolicznościach, rozumie się naturalnie, iż schadzka dłuższą była niż zazwyczaj. Przeprowadził ją nadół po całéj ścieżce, póki chatki nie ujrzeli; jeszcze szli razem, gdy przeciągły gwizd rozległ się pomiędzy myrtami od strony jeziora. Domeniko wzdrygnął się; świstnienie ponowiło się, i on téż odpowiedział na nie tym samym tonem. Przelękniona Anina, chciała zapytać, co to znaczy, ale Domeniko piérwszy raz w życiu przycisnął ją do serca, wyrył pierwsze pocałowanie na rumianych jéj ustach i szepnąwszy *carrissima addio*, opuścił ją i w dół pobiegł. Kiedy za nim poglądała z zadziwieniem, zdawało się jéj, że postrzegła na wodzie łódkę, przerzynającą liniją światła pochodzącego z rozdarcia się chmury. Długo jeszcze stała zamyślona, dziwiąc się i przypominając z rozkosznem drżeniem i owo nagłe, dotąd palące jéj usta pocałowanie, i owo namiętne pożegnanie z kochankiem. Dość powiedziéć, iż bawiła tak długo, że aż ojciec wyszedł ją szukać.”

Każdego wieczora potém Anina chodziła do źródła o samém *Ave Maria*, ale Domenika tam nie było; każdy dzień stawał się rokiem, i niepojęta boiaźń przejęła jéj serce. W piętnaście dni późniéj nadszedł list od siostry Maryi; donosiła ona, że chorowała na szpitalną gorączkę, że teraz powraca do zdrowia, że zmianę powietrza uznano za konieczną do jéj wyzdrowienia, i że skutkiem tego, pozwolono jéj na cały

miesiąc, udać się do domu, w okolice Albano. Marya prosiła ojca, iżby nazajutrz jeszcze przyjechał po nię do Rzymu. Ta okoliczność była bardzo przyjemną dla Aniny, która postanowiła zwierzyć się przed siostrą ze wszystkiego, i miała nadzieję, że podczas długiego pobytu Maryi, przeciągnie ją na swoję stronę i znajdzie w niéj opiekunkę dotąd tajonéj miłości. Stary Andrea, o świcie pojechał po starszą córkę, a Anina przepędziła dzień cały w marzeniach o przyszłém szczęściu. Nad wieczór przybyła oczekiwana Marya, słaba i nosząca ślady odbytéj niebezpiecznéj choroby, ale zapewniała siostrę, że się już ma zupełnie lepiéj."

»Podczas skromnéj ich wieczerzy, kilku wieśniaków przybyło odwiedzić Maryą; jednak zaraz po przywitaniach, wszczęła się rozmowa o zbójcach, których banda, przynajmniéj z dwudziestu ludzi złożona, zebrała się w Rocca Giovane i tam ściśle przez żołnierzy była opasaną."

— Powinniśmy bydź wdzięczni Francuzom, — ozwie się stary Andrea, — za troskliwe ich starania; tym sposobem kraj przecież pozbędzie się łotrów. —

— Prawda przyjacielu, — odpowie jeden z gości, — ale to strasznie i pomyśléć o tém, co cierpią ci ludzie. Już oni zapewnie wyczerpali wszystkie zapasy, które znieśli do wioski, i teraz rzeczywiście umiérają z głodu. Ani jednéj uncyi makaronu nie masz u nich, i jeden z tych biédaków, ujęty i publicznie ukarany dnia

wczorajszego, był doskonałym szkieletem; możnaby mu pod skórą każdą kość porachować.

— Dzisiejszéj nocy, — powié inny wieśniak, — było jeszcze smutniejsze wydarzenie. Jeden starzec z Nemi, mający syna pomiędzy oblężonymi w Rocca Giovane, przeszedł za liniją zakazaną, przenosząc cokolwiek suchych owoców; straż strzeliła do niego i położyła go trupem na miejscu. —

— Nic dziwnego, — ozwie się pierwszy, — że rząd działa z wielką surowością: bo też ci panicze zaprzysięgli nie poddać się, chyba na dobrych warunkach. Aby dopiąć tego celu, zatrzymują podróżnych, biorą ich w niewolą i trzymają, jak zakładników, ażeby zmusić rząd do łagodnego z nimi postępowania. Jednak Francuzi nie tak są skłonni do litości, i wolą raczéj, aby bandyci wywarli swoję zemstę na tym, co wpadł w ich ręce, niż aby który z nich miał unieść życie.

— Zbójcy już mają niezawodnie dwóch niewolników, — rzekł inny wieśniak, — a stara Betta Tossi, prawie pomieszania zmysłów dostała, będąc pewną, że syn jéj został schwytany przez zbójców: już bowiem od dziesięciu dni nie było go w domu.

— A jabym sądził — odezwał się inny gość, — że syn Betty poszedł między zbójców dobrowolnie; wszakże ten młodzik był nieodstępnym towarzyszem Domenika Baldi ze wsi Nemi. —

— Kiedy tak, — ozwie się Andrea — to on w całym kraju lepszego towarzysza znaleśćby nie mógł. Domeniko, jest-to zły syn złych rodziców. Czy-to i on przebywa w Rocca-Giovane razem z innymi.

— Niéma o tém żadnéj wątpliwości, — odpowiedział wieśniak; — jam go tam na własne widział oczy. Było to tak: Przed kilką dniami, nosiłem w góry na sprzedarz żołnierzom jajka i ptastwo. Dochodziłem do miejsca, gdzie pikiety rozstawione; w tym ktoś się poruszył pomiędzy krzakami; był-to jeden z oblężonych, zapewne słaby, niemogący iść prosto i czołgający się po ziemi; ale kiedy ujrzał wszystkie karabiny straży wymierzone ku niemu, skoczył co-żywo, i jak zając zemknął pomiędzy skały. Raz tylko jeden odwrócił się twarzą ku nam, i wtenczas poznałem Domenika. Ale jakże był wynędzniały biédny chłopak; połowy jego nie było. — Bladość... *Santa Virgine*! cóż-to? co wam jest Nino? —

»Anina zemdlała; goście się rozeszli i zostawili ją staraniom siostry. Kiedy biedna dziewczyna powróciła do zmysłów, ukryła całą okropność swojego położenia, i nic niemówiąc, życzyła tylko udać się na spoczynek. Marya, uszczęśliwiona z powrotu na czas niemały do rodzinnéj chatki, chętnieby chciała nagadać się, ale mając na względzie słabość siostry, nie utrudzała jéj rozmową i pobłogosławiwszy Aninę, dającą dobra-noc, usnęła spokojnie. — Domeniko umiéra

z głodu! Domeniko, pół-żywy, stara się ucieczką ochronić siebie od haniebnéj śmierci; to była myśl, straszne widmo, zajmujące całą duszę biednéj Aniny. W innym czasie, odkrycie, iż jéj kochanek był zbójcą, sprawiłoby bezwątpienia również silną boleść, jak ta, co ją teraz dręczyła, ale w obecnéj chwili, nie robiło ono wielkiego wrażenia, bo przemagał obraz jego nieszczęścia. Marya spała snem głębokim; Anina wstała, zeszła na dół po schodach, napełniła swój koszyk targowy całą żywnością, jaką tylko w domu znaleść mogła i wymknęła się z chatki, z zamiarem iścia do Rocca Giovane i oddania kochankowi żywności, mogącéj ocalić jego życie. Noc była ciemna, ta jednak okoliczność była raczéj sprzyjającą dla Aniny, bo znała każdą ścieżkę, każdy kamień, krzewinę pomiędzy jéj domem a pustą wioską, na wierzchołku góry zabudowaną. Możecie widziéć, panowie, ową ciemną liniją, którą tworzy kilka domów téj wioski, dokąd z chaty starego Andrea parę godzin iśdź potrzeba. Noc była ciemną, jak powiedziałam; obłoki opuściły się prawie na same szczyty gór i mgłą horyzont pokryły; ani listek się nie ruszał, taka cichość panowała; każde stąpienie Aniny tętniało w jéj uszach; ale jéj postanowienie było niezachwiane i przezwyciężało wszelką bojaźń. Już nawet doszła do owego lasku. Odwaga wzmogła się z nadzieją blizkiego dokonania zamiaru; gdy w tym nagle ozwał się groźny okrzyk szyldwachu,

Nie było czasu uciekać; trwoga ścięła krew biednéj, koszyk z rąk jéj wypadł i przyniesiona żywność rozsypała się po ziemi; w tym samym momencie rozległ się wystrzał wartę trzymającego żołnierza; tuż podskoczyli inni jego towarzysze, i Anina została aresztowaną."

»Marya, otwierając oczy ze snu, myślała, że jéj siostra jest przy niéj.—Jabym spała do południa, pomyślała sobie, a Anina by mnie nie przebudziła.—Dziwno jednak było Maryi i jéj ojcu, że nie znajdowali Aniny w całéj zagrodzie; jeszcze parę godzin oczekiwali na nię, a potém stary Andrea poszedł jéj szukać. Kiedy przyszedł do wioski i usłyszał włościan poszeptujących między sobą: — Otóż i ojciec! — trwoga przejęła jego duszę. Straszna myśl nawinęła się mu, że córka utonęła. Ale daleko straszniejszém było prawdziwe doniesienie, że Francuzi schwytali Aninę, przenoszącą żywność za liniją zakazaną. Rozpaczający starzec, pośpieszył pierwszy o tém nieszczęściu uwiadomić Maryą, a potém miał zamiar udać się na górę, żeby wybawić dziecko od grożącego niebezpieczeństwa. Marya ze zgrozą słuchała trwożącéj powieści, ale szpital jest szkołą umiejętności, hamowanie siebie i przytomności umysłu."

—Nie, ojcze,—ozwała się ona,—ty musisz tu pozostać, a ja pójdę za ciebie. Ci ludzie, będą umieli szanować moje święte powołanie; wzruszę ich mojemi łzami.

Wierz mi! przysięgam ci ocalić moję siostrę. — Andrea uległ przed jéj większą odwagą i energiją."

»Zakonnice Santa Chiara, wychodząc z murów klasztornych, zwyczajnie zrzucają habity i ubiérają się w skromne białe suknie. Jednakże Marya, przywiózłszy z sobą swój habit, przywdziała go teraz, spodziewając się, iż tym strojem nakaże poszanowanie i więcéj zrobi wrażenia na umyśle żołnierzy. Przyjęła błogosławieństwo swojego ojca, i modląc się, aby Najświętsza Panna i Święci również ją pobłogosławili, puściła się w podróż. Kiedy przyszła na górę, warta ją zatrzymała; podług jéj życzenia zaprowadzono ją przed oficera, dowodzącego strażą, któremu objawiła że jest siostrą nieszczęśliwéj dziewczyny, uwięzionéj podczas ostatniéj nocy. Oficer przyjął ją zrazu dość obojętnie; ale kiedy wysłuchał o co rzecz idzie, rysy jego twarzy wzięły postać surową. Przestraszona Marya, załamując ręce, wołała: — Jednak wyście nic złego nie zrobili temu dziecięciu, ono żyje? —

— Żyje jeszcze, — odpowiedział oficer z niejakiém wahaniem się, — ale nie ma nadziei przebaczenia dla niéj. —

— Najświętsza Panno, zlituj się nad nią! Cóż się więc stanie z tą nieszczęśliwą? —

— Otrzymałem surowy rozkaz, — powie znowu oficer, — ona musi umrzéć za dwie godziny.

— Nie, nie, — zawołała Marya z zapałem. — Wy nie będziecie tak okrutni, iżbyście mogli zamordować takie dziecko, jak ona.

— Moja pani, — odpowié oficer, — jest ona w tym wieku, w którym się wié, że wyższe rozkazy wypełniać potrzeba; a ten rozkaz jaki mi dano, tak jest dobitny, iż ona umrzéć musi, chociażby i dziesięciu lat nie miała.

»Straszne te słowa podały Maryi myśl nową, wybłagać przebaczenie; klękała więc, przysięgała, iż nieodejdzie bez siostry; zaklinała na niebo i wszystkich świętych; ale oficer, jakkolwiek zimny, jednak nie zły w gruncie serca, zapewniał ją z całą grzecznością: że wszystkie jéj prośby są bezskuteczne, i że chociażby uwięziona była własną jego córką, wtenczas nawet nieśmiałby się sprzeciwić otrzymanemu rozkazowi. — Nakoniec, jako jedyne pocieszenie, pozwolił Maryi zobaczyć się z siostrą. Rozpacz ożywiła siły schorzałéj zakonnicy. Szybkim krokiem śpieszyła w góry i znacznie wyprzedziwszy swego przewodnika, przybiegła przed pasterską chatkę, gdzie przyśpiewujący szyldwach paradował przededrzwiami. Ponieważ szyb w oknach nie było, zamknięto okiennicę i Marya przeto z białego dnia wszedłszy wewnątrz budowy, zaledwie postrzedz mogła wysmukłą postać siostry, opartéj o ścianę. Ciemne jéj włosy spadały rozrzucone po szyi; głowę miała spuszczoną ku piersiom; zadrżała kiedy się drzwi otwie-

rały i ujrzawszy siostrę, z przenikającém wykrzyknieniem, rzuciła się w jéj objęcie.

Zostawiono je obie sam-na-sam. Anina w tysiącznych frenetycznych wykrzyknikach, błagała siostrę, ażeby ją wybawiła, i drżała nad strasznym losem, co ją czekał. Dopiéro Marya uczuła siebie. — Nigdy mocniéj nieprzyszło jéj na myśl, iż po śmierci matki, ona była główną opiekunką młodszéj siostry, i kiedyżby mogła była więcéj odpowiedziéć temu świętemu obowiązkowi, jeżeli nie teraz, kiedy drżące ramiona biednéj dziewczyny obejmowały jéj szyię, kiedy głosem niepewnym błagała o ocalenie.

— Zapewne! ja mogę poddać się wyrokowi na miejscu twojém: — te były słowa, które serce Maryi powiedziało, i które tylkoco z ust jéj nie wymknęły się. Wszakże nie wymówiła tego, lubo myśl szczerze powziętą, niezmiennie spełnić postanowiła. Zaczęła więc naprzód łudzić Aninę obietnicami, obejrzała się i widząc, iż prócz ich dwóch, nikogo w chatce nie było, zbliżyła się do okiennicy i postrzegła, że wartujący żołnierz z kimś rozmawiał w niejakiém oddaleniu. — Tak jest najdroższa siostro! — zawołała Marya; — ja chcę i mogę cię ocalić; prędko zamieńmy nasze odzienie; nie trać tylko czasu, — ty ucieczesz swobodnie w moim habicie. —

— A ty się tu zostaniesz, żeby umrzéć za mnie? — powié Anina. — Nie, oni nie zabiją niewinnéj i do tego zakonnicy; nie lękaj się o mnie, ja tu bezpiecznie pozostać mogę.

Anina łatwo usłuchała siostry, ale jéj ręce drżały; zaczepiały się o wszystko, czego tylko dotknęła. Marya doskonale panowała nad sobą: była bladą, ale spokojną. Związała długie włosy siostry, przykryła je zasłoną, rozpięła sznurówkę, i przywdziawszy na nię swój habit, z największą starannością ułożyła każdą jego fałdkę. Prędzéj jeszcze odziała się w ubior siostry; w ów strój zarzucony od tego czasu, kiedy, wstępując do klasztoru, przestała bydź wieśniaczką, w tych górach mieszkającą.

Płacząca, niepocieszona Anina stała jeszcze przed siostrą, i zaledwie słyszała jéj naleganie, iżby czym-prędzéj uchodziła do ojca i przy nim szukała zupełnego bezpieczeństwa. W tym żołnierz otworzył drzwi chatki. Anina ze strachu przytuliła się do Maryi, która pocichu prosiła ją aby się uspokoiła.

— Czas wam rozstać się z sobą moje panie, — powiedział żołnierz, — bo już i ksiądz przyjechał dla wyspowiadania więźnia.

Dla Aniny, wyobrażenie spowiedzi, było połączone z obrazem blizkiéj śmierci; dla Maryi, był to promyk nadziei. — Nie lękaj się! — szepnęła ona weselszym gło-

sem; ksiądz weźmie mnie w swoję opiekę, a ty śpiesz do ojca.

Anina, prawie mechanicznie wypełniła rozkaz; zakryła twarz chustką, nie przez udanie, ale że płakała, i przeszła mimo żołnierzy. Zamknięto drzwi przed więźniem, który pośpieszył do okiennicy przyglądać się siostrze, schodzącéj z góry chwiejącym się krokiem i patrzał na nię, dopóki wzgórek nie zakrył jéj przed oczyma. Tu dopiéro zakonnica padła na kolana; zimny pot wystąpił na jéj czoło i okropne przeczucie owładało jéj duszę. Francuzi nie uszanowali dostatecznie jéj świętego odzienia, a wojna, czyliż mało pokazała splądrowanych klasztorów, zhańbionych świątyń, czyż więc będą mieli wzgląd na jéj niewinność? Wszakże i Anina była niewinną; jéj całe przewinienie, było tylko nieposłuszeństwo rozkazowi, a teraz i ona również o nieposłuszeństwo może bydź obwinioną.

— Śmiałości trzeba, — zawoła Marya; — bydź może iż śmierć znośniejszą będzie dla mnie, niż dla siostry, bo z resztą, Zbawicielu Panie! odpuść mi moje winy, ja czuję, iż nie przeżyję dnia dzisiejszego! —

Tym czasem Anina schodziła z góry powoli i drżąca, jak listek osiny; obawiała się, żeby niepostrzeżono jéj ucieczki; lękała się o siostrę; w téj jednak chwili najstraszniejszemi dla niéj zdawały się gniew i wymówki

ojca. Im więcéj zastanawiała się nad tém, tym ją bardziéj przejmowała przesadzona bojaźń; umyśliła więc nie wracać do domu, ale okrążywszy górę, udać się do Albano i tam zeznawszy wszystko, co się stało, szukać opieki u swojego proboszcza i spowiednika. Podług tego zamiaru, w saméj rzeczy zmieniła kierunek drogi i unikając bitego gościńca, zbliżyła się, o czém sama nie myślała, do Rocca-Giovane.

Postrzegłszy się dokąd zawędrowała, nie bez wzruszenia i ciekawości poglądała na tamtejsze zrujnowane domy, na ową wieżę bez dzwonów, na ścieżki pozarastałe, bydź może nawet że tknęła ją myśl, iżby choć zdaleka i choć raz tylko spójrzéć na sprawcę jéj nieszczęść. W tym ciche ale wyraźne świstnienie doszło jéj uszu; świszczący nie był daleko. Dreszcz przeszedł Aninę na wspomnienie, że przy ostatniém widzeniu się z Domenikiem podobne hasło odwołało go od jéj boku. Świstnienie powtórzyło się jeszcze; tym samym tonem odpowiedziano z wielu stanowisk, i Anina stanęła jak wryta, bo tuż przed nią wysunęła się z pomiędzy krzaków czarna okurzona głowa, u któréj z pod rozrzuconych kudłów dziko świerkały iskrzące się oczy. Anina skoczyła na bok, ale wprzód, nim jeszcze parę kroków zrobić zdołała, trzéj mężczyzni wysunęli się z za skały, związali jéj w tył ręce; zarzucili

chustkę na twarz i unieśli w góry. Ich rozmowa podczas kiedy ją nieśli, wykryła przed nią całe niebezpieczeństwo, całą zgrozę obecnego jéj stanu.

Szkoda! — bluźnili oni, — że to nie czerwone pończochy dowodzą komendą nas oblęgającą; mając mniszkę w naszém ręku, moglibyśmy pomyślne dla nas dyktować warunki. —

Wleczona z zakrytemi oczyma, z bruku na ulicy domyśliła się Anina, że już przybyli do Rocca-Giovane, a ze zmiany powietrza, iż ją wprowadzili wewnątrz domu. Tu odwiązano jéj oczy i odkryła się smutna scena. Ściany izby były brudne i odymione, podłoga pokryta rozmaitém śmieciem wszelkiego gatunku, prosty stół i złamana ławka, cały sprzęt domu stanowiły, a kupa suchych liści, w jeden kąt zwalonych, służyła za legowisko dla człowieka, który ukrył swoję głowę między skrzyżowane ramiona. Anina spojrzała w około po swoich dzikich gospodarzach. Na ich fizyonomiach było piętno wszystkich zwierzęcych namiętności, tym straszniejszych teraz, że je głód i cierpienia podsycały.

— Więc tu nie ma dla mnie ratunku, — zawołała Anina. Na ten głos, człowiek leżący na ziemi, jednym skokiem podniósł się i stanął przy niéj. Byłto Domeniko, ale zmieniony, z zapadłemi oczyma i policzkami, z okurzoną głową. Dzikość i rozpacz w jego spojrzeniu ma-

lująca się, czyniła go prawie zupełnie podobnym do towarzyszy. Czyliż to był ulubiony pięknéj Aniny?

Poznanie się kochanków i zadziwienie Domenika; czemu ona w zakonnym habicie, spowodowało jéj tłumaczenie się. Zbójcy dowiedziawszy się, że ich zdobycz, nic dobrego obiecywać im nie mogła, zasmucili się zrazu; ale kiedy ona opowiedziała, na jakie niebezpieczeństwo naraziła się, żeby im dostawić cokolwiek żywności, zaprzysięgli miotając obrzydłe zaklęcia, iż nic złego jéj się nie stanie i że jeśli się jéj podoba, może pozostać z niemi od nikogo niezawisła i równa każdemu. Myśl ta przejęła zgrozą niewinną dziewczynę: —Puśćcie mnie, puśćcie! — wołała, — dajcie mi wyjść tylko i nazawsze zamknąć się w którym klasztorze. —

Domeniko spojrzał na nią boleśnie: — Idź — zawoła, —biedne dziecię, niech cię Bóg zachowa od nowych nieszczęść, wszakże już dość i tych co się stały. — Tu zwrócił się do swoich towarzyszy i przekładając im, że ta dziewczyna ledwie uszła śmierci zato, że im przynosiła nędzny posiłek i że teraz siostra zajęła jéj miejsce, gdzie nieochybnie padnie ofiarą w ręku nieprzyjacioł, skłaniał umysły przywiedzionych do rozpaczy, aby oswobodzili Maryą i unikając niemęzkiéj śmierci z głodu, albo przedarli się przez straże, albo téż zginęli.

W saméj rzeczy tylko podobnego zachęcenia potrzeba było, dla pobudzenia tych szaleńców do przedsięwzięcia pełnego rozpaczy. Zaczęli więc sposobić się do wyprawy z dziką determinacyą, a tym czasem Domeniko wyszedł z chatki z Aniną i przeprowadzając ją przez górę, pytał, dokąd ona iśdź zamierza. Gdy mu powiedziała, iż ma zamiar udać się do Albano. — To zbyt niebezpiecznie — odpowiedział, — usłuchaj mojéj rady. Weź te piastry, przy pierwszéj sposobności najmij sobie vetturina i śpiesz do Rzymu, do klasztoru Santa Chiara; ale zaklinam cię na Boga, nie zostawaj dłużéj w tych okolicach. —

— Radę twoję wypełnię, — odpowie Anina, — ale pieniędzy twoich nie przyjmę. One cię nadto drogo kosztują; z resztą nie lękaj się! potrafię bezpiecznie przybydź do Rzymu i bez tego nieszczęsnego kruszcu.

Tym czasem towarzysze Domenika, głośno przyzywali go do siebie; nie było mu czasu ponawiać nalegania, rzucił więc ze wzgardą pieniądze na ziemię i rzekł:

— Bądź zdrowa Anino! żegnam cię na zawsze! Bogdajbyś drugi raz szczęśliwiéj kochała! —

— Nigdy, — odpowié ona. — Bóg ocalił mnie w tym habicie, byłoby to świętokradztwem zrzucić go kiedy-

kolwiek. Ja na zawsze pozostanę w klasztorze Santa Chiara. —

Domeniko przeprowadził ją jeszcze kawałek drogi, ponad skałą; ale jego towarzysze pokazali się na wierzchołku i znowu go przyzywali.

— Boże, zbaw ją! — wołał Domeniko. — Anino! żegnam cię po raz ostatni, dostań się tylko do klasztoru, a Marya jeszcze przed nocą będzie przy tobie. — Tu ucałował jéj rękę i poskoczył na górę do zniecierpliwionych spólników.

Długo oczekiwał Andrea na powrot dzieci. Drzewa bez liści i przezroczyste jesienne powietrze, zdaleka każdy przedmiot widzieć dozwalały, a jednak na całéj widoméj przestrzeni góry nie mógł dostrzedz żadnéj postaci, coby mu powrot córek zapowiadała. Już padające cienie świadczyły, że południe dawno minęło; cierpliwość jego wysiliła się i biedny starzec sam powlókł się w góry, właśnie w to miejsce i tą ścieżką, kędy Anina szła do Rzymu. Ojciec z córką spotkali się, Anina z bojaźni i wstydu zakryła oczy, a starzec ujrzawszy jednę zakonnicę, i sądząc że to Marya; pytał z boleścią o młodszą córkę. Tu Anina opuściła ręce i nieśmiała podnieść oczu, zalanych rzewnemi łzami.

— Nieszczęśliwa dziewczyno, — zawoła Andrea, — a twoja siostra? Anina palcem wskazała pasterską chatę, w któréj Marya była uwięzioną. Z tego punktu, gdzie oni stali, widać było wyraźnie tę budowę. — Marya jest w téj chatce, — mówiła Anina łkając, — ona mnie wybawiła, a jéj niewinnéj nie odważą się zamordować.

— Boże pobłogosław ją za ten święty uczynek, — z uniesieniem wołał starzec: — Anino idź swoją drogą, a ja pójdę po Maryę. —

»Ojciec i córka rozeszli się w przeciwne strony. Starzec pełzł pod górę, to widząc przed sobą, to tracąc z oczu pasterską chatę, gdzie jego dziecię było uwięzione. Siły latami osłabione niedozwalały mu pośpieszać, i góra też dla niego była stromą. Raz, kiedy wzgórek zakrył przed oczyma ów punkt, ku któremu wzrok jego ciągle był zwrócony, rozległ się wystrzał. Kij wyleciał z rąk starca, kolana ugięły się pod nim i Andrea upadł. Nastąpiło kilka minut śmiertelnéj ciszy, i właśnie tyle czasu potrzeba było biednemu, żeby mógł odzyskać przytomność; powlókł się więc daléj i uszedłszy nieco znowu ujrzał chatkę. Tu postrzegł na otwartém polu żołnierzy w bojowym szyku, jakby spodziewających się napadu. W kilka minut zaczęło się strzelanie z jednéj i drugiéj strony; strzały nieustannie jeden drugiemu odpowiadały, i nareszcie cała ta przestrzeń pokryła się dymem. Andrea szedł ciągle daléj, chciwy dowiedzieć się o losie swego dziecięcia.

Nakoniec ucichły strzały, echem gór powtarzane i Andrea usłyszał pienia żałobnego orszaku. Raptem i prędzéj niż się spodziewał, ujrzał na zakręcie góry garstkę wieśniaków; jeden z nich naprzód szedł z wielkim krzyżem, daléj postępował kapłan w żałobnéj kapie, a za nim na marach niesiono trunę. Andrea użył ostatnich sił, aby dogodzić strasznéj niecierpliwości dowiedzenia się, co-to znaczy? Pędem zbliżył się do orszaku; przestraszeni wieśniacy opuścili mary na ziemię; twarz nieboszczyka była odkrytą i nieszczęśliwy starzec upadł bez tchu na martwe zwłoki zamordowanéj Maryi."

Hrabina Atanazya przerwała swoje opowiadanie, bo przepełnione uczucia niedozwalały mówić jéj daléj. Nastąpiło długie milczenie, aż nakoniec ktoś się ozwał z towarzystwa. — Tak więc Marya padła ofiarą swojéj dobroci. —

— Francuzi, — odpowié Hrabina, — spełnili wyrok; bądź to niedowierzając, że Marya była zakonnicą, bądź też mniéj bacząc, czyli ta lub inna wieśniaczka poniesie karę, byleby wykonanie wyroku nastąpiło, i byleby nadal całe wieśniactwo szanowało ich rozkazy. — Zaledwie kula przeszyła serce Maryi, a jéj piękna dusza stanęła między świętemi w raju, już Domeniko i jego towarzysze, lecieli mścić się za nię i za siebie samych. Potyczka była zażarta i krwawa; dwudziestu kilku francuzkich żołniérzy pozostało na placu, ale też

ani jeden z bandytów nie uszedł. Domeniko, przewodniczący napadowi, był naprzód zabity.

— Gdzież teraz Anina i jéj ojciec? — zapytałem Hrabinę.

— Możesz ich zobaczyć — rzekła — jak wrócimy do Rzymu. Anina jest zakonnicą w Santa Chiara; pobożność i postępowanie zawsze prawe, pożyteczne i chwalebne, wlały w nię spokojność i nauczyły poddać się przeznaczeniu. Codziennie modli się o zbawienie duszy Domenika, i ma nadzieję, iż za przyczyną Najświętszéj Panny, będzie z nim połączoną w przyszłém życiu.

Andrea doszedł zgrzybiałéj starości; przeżył pamięć swoich nieszczęść; i znajduje pociechę w przywiązaniu córki, co mu jeszcze pozostała. Ale ja, ilekroć spojrzę na ich chatkę nad tém jeziorem, ilekroć przypomnę kiedyś szczęśliwy uśmiech Aniny, biegającéj po zagrodzie ojca, tyle razy drżę cała na wspomnienie namiętności, dla któréj lica tego dziewczęcia pożółkły, myśli ciągle obrazem śmierci są zajęte, i to mu tylko życzenie pozostało, aby nakoniec znaleść odpoczynek w grobie.

E. J. Nielu....

Zachód Słońca.

»Zaszło słońce i znowu jeden zginął dzionek,
»Zgon jego na kościołku ogłosił nam dzwonek,
»Jutro o tymże czasie i o téj godzinie,
»Znowu drugi dzionek zginie,
»A za drugim pójdzie trzeci,
»Aż i życie nam uleci."

Tak dumał starzec postępując zwolna.
»Cóż on tam mruczy?" dziatwa spytała swawolna.
—Wesoło się dziś bawicie,
Lecz nieznacznie spływa życie,
Czy zachód słońca widzicie?

Dzieci, patrzcie w owę stronę,
Gdzie niebo zaczerwienione."
Dzieci patrzą się ciekawie,
Zapomniały o zabawie.
A on starzec, w uniesieniu,
Mówił im coś o zbawieniu,
O występkach, o poprawie,
Czasie, co szybko ulata;
O marnéj próżności świata.
Nie bardzo go rozumiały.
Ale przyszedł wiek dojrzały,
A widok słońca zachodu
Przypomniał święte słowa słyszane za młodu,
I piękne czucia w tkliwych sercach wzbudził.
Już ich świata blask nie łudził;
Chciwość bogactw, marność chwały,
Jakby z wiatrem uleciały;
A gdy się ziemską myślą zająć mieli,
Na zachód słońca wspomnieli.

Stanisław z Dzikowa.

ONA SAMOTNA.

Ona samotna! gwary salonowe
Głuszą ją, dziko wpadają do ucha:
Z myślami toczy tajemną rozmowę,
Siada na stronie i muzyki słucha.
Lada dźwięk nóty w swój wir ją pochwyca,
Ledwo się nóta o duszę odbije,
Blaskiem wrażenia świéci jéj źrenica,
Ona samotna, cała w dźwięku żyje.
   Ona tak smutna! lecz chmurę jéj czoła,
   Jak tęcza rąbek bliskiego obłoku,

Tęczowy wdzięk jéj oświeca dokoła,
Co się promieni w jéj twarzy, w jéj oku.
W jéj smutku nieznać serdecznych katuszy,
Nie jest-to krwawa serca z myślą wojna;
Lecz melancholia, ten zmrok czułéj duszy,
Ona tak smutna, lecz o jak spokojna!
Ona milcząca!—w jéj marzącéj głowie
Pracują myśli, jak jéj twarz ruchoma!
Zda się myśl na niéj jawi się widoma,
I życie bierze jak w malowném słowie.
I na jéj czole, jak gwiazdy na niebie,
Tu błyska stała, daléj myśl wędrowna,
W tak doskonałém oderwaniu siebie.
Ona milcząca, lecz o jak wymowna!
Wesołość uczty z dziecinném pragnieniem,
Goni uciechę, radość końca nie ma,
Ona samotna z swym smutkiem, milczeniem,
Wzrok w nią wpatrzony jak zaklęciem trzyma.
Któż jest ta piękność z żyjących na ziemi?
Silniéj potęgą muzyki natchniona?
Kto dziś ją pojął czuciami żywszemi?
Głos po salonie brzmiał zgodny:—To ona!

Julian Korsak.

Potęga Spiewu.

z *Bernd v. Guseck.*

(z Ryciną)

I.

Na górach mieszka wesołość! Czuła to młoda dziewica, która jak wysmukła antylopka, ze skały na skałę przeskakiwała, od wszelkich więzów, w jakich ją dotąd szkoła i etykieta trzymały, swobodna. Powiew rannego wiatru zerwał jéj kapelusz z głowy i uniósł daleko przez wąwóz na obcą dolinę; biegąc za nim, rozpuściła ciemne swych włosów sploty, które rzęsisto na jéj białe ramionka spływały. Lekka, krót-

ka sukienka, przydawała jéj rączości; przyśpieszony jéj oddech połykał łakomo czyste gór powietrze; bieg chyży wzmógł jagód jéj rumieniec, a czarne oczy błyszczały jak w zachwyceniu.

Tu ciągle już miała mieszkać, codzień góry oglądać, codzień je zwiedzać, — myśl zachwycająca! Jakże jéj wszystko było nowém, dziwném, czarodziejskiém! — Świat gór otworzył się przed nią poraz piérwszy; często się zatrzymywała stanąwszy na miejscu, które ją szczególniéj wabiło; raz, był-to śmiały cypel skały, z którego w niezmierną głębią doliny, lub na daleką, blado-złocistą równinę oko zapuszczać mogła; ówdzie, warzący się zdrój, którego przezroczystość nieciła pragnienie; tam znowu w zaciszu, szmer drzew i szelest liści, nową a razem miłą szemrał pieśń kolebkową dla duszy. Wszelako, błąkająca się, nigdzie, nigdzie nie zabawiła długo; nie chciała marzyć, nie była rozczuloną, ani też w omamieniu; żywa wesołość uśmiéchała się ze wszystkich jéj twarzy rysów, z każdego poruszenia lubych, młodych jéj członków. Biegła pod górę na najwyższy wierzchołek.

Było-to jeszcze bardzo rano. Rosa błyszczała na bujnéj trawie; słońce ledwo zaziérało w dolinę, z któréj się różane dziecię w swawoli swéj wymknęło. Stojąc teraz na wyniosłości, zrumieniona i oświecona promieniami słonecznemi, wyciągnęła ręce w zachwyceniu; wietrzyk igrał z jéj puklami i fałdami białéj sukienki,

która ją zdaleka dostrzedz dawała. Spogląda na dół; widzi ładne domki u lesistego gór podnóża; wokół nich ogrody uśmiéchają się całą lubością wiosny; poznała snadno, w ogrodzie rodziców, matkę, szukającą ją może w téj chwili; szle do niéj pieszczotliwe wykrzyknienia, lecz zapewne napróżno. Owo już dziewica na inném miejscu! Jakże widok odmienny! Ciemniejszéj barwy dolina, okolona ostro-krawędzistemi opokami i otoczona sosnami, a gdzieniegdzie dębami olbrzymiego wzrostu; długa wieś, o czarnych łupkowych dachach, ciągnie się ponad potokiem, który spieniony dolinę przebiega. Nieco wyżéj stoi piękny dom biały, z którego komina lekki słup dymu w jasne poranku niebo strzela. — Nie tak mi się to podoba! — rzekła dziewica, zbiegając na trzecie stanowisko. Tu zadrżała z przestrachu, zapuściwszy oko w dół przepaścisty, śród czarnych, głęboko popękanych skał rozwarty. — Spojrzéć weń drugi raz nie miała odwagi. Ostrożnie schodzi z cypla, stérczącego nad tą otchłanią. Czas téż już było pomyśléć o powrocie do domu. Matka mogła bydź o nię niespokojną: ta myśl piérwszy raz trąciła o jéj serce i dodała jéj krokom chyżości. Kochała matkę z całą mocą uczucia; matka była jéj ideałem, bożyszczem, wszystkiém na świecie. Jakże więc nie miała sobie teraz dziewica gorzko wyrzucać tego nabawienia matki frasunkiem! Spieszyć zaczęła z góry; lecz tu i owdzie ostry ułamek granitu, lub krzak ciernisty zawa-

dział; nieraz musiała powracać i inną sobie upatrywać ścieżkę, aby się dostać na dolinę. Zniecierpliwiło ją to; znikło zachwycenie; coraz posępniejszą się stawała, aż nareszcie, nadomiar kłopotu, postrzegła po kilkakrotném wracaniu na toż samo miejsce, że zejść daléj nie będzie mogła. Poniżéj leżała wioska, ale mimo rozpaczliwego wołania, słaby głos dziewicy dosięgnąć tam nie mógł. Wreszcie poraz czwarty usiłowała w innym kierunku znaleść drogę. Podszedłszy nieco pod górę, musiała zboczyć dla krzaków i brył skalistych, i kilkakrotnie, to wlewo, to wprawo, skręcając, straciła z oczu całą dolinę. Tu już ją opuściło dziewczęce męztwo; zaczęła rzewnie płakać. W tém dostrzega łatwiejsze przejście; z mocném biciem serca, na ostatnie zdobywszy się siły, śpieszy ku temu miejscu; lecz wnet z przerażeniem upada na ziemię, widząc przed sobą strome urwisko, pod którém ciemna przepaść zieje, jakby ją pochłonąć miała.

Daléj nie była już w stanie szukać ratunku; leżała w największéj rozpaczy na ziemi. Wysilona utrudzeniem, a poniekąd i łaknienie uczuwając, przy zwątpieniu o pomocy skądkolwiek, poczęła się dręczyć okropną myślą o śmierci z głodu.—Pewność tylko!— wyjąkała. — Pewność tylko, że zginąć muszę! więc śmiało, jeden skok! Ale to jest niepodobném; miałażbym zginąć! wszak ktokolwiek musi tu nadejść, dziś lub jutro!—

Potém przypomniawszy sobie matkę, załamała ręce.

W górach było cicho; na niebie pędziły chmurki przed podnoszącém się słońcem; dwa sępy, czy też orły szybowały w powietrzu. Nagle rozległ się wystrzał, bardzo blizko; echo jego odbiło się dziesięć razy dokoła; jeden z ptaków zachwiał się w locie i spadł w parowy. Wystrzał ten, któryby w innym czasie był przestraszył opuszczoną, przejął ją niezmierną radością; zerwała się, jakby nowém natchniona życiem, i wołała o ratunek. Pośpieszał ktoś jéj na pomoc; słyszała zbliżające się jego stąpanie; słyszała jak się przez krzaki przedziérał.

Ukazał się nareszcie mężczyzna, w zieloném myśliwskiém ubraniu, już nie młody, i, jak się zdawało dosyć zaniedbany.

— »Co u licha!" krzyknął ujrzawszy młodą wędrowniczkę. Ta zaczęła go prosić o wskazanie drogi do Dornberg, którą zgubiła.

Strzelec zaśmiał się prostacko: » —Kto u kata mógłby się tu na Frauenbergu zbłąkać? Wszakże oto tam widzisz twoje gniazdeczko, zejdź tylko!"

— »Ale kiedy tu żadnéj nie ma ścieżki," odpowié, patrząc ku dolinie,

— »Zapewne, że tędy żadnéj!" znowu śmiejąc się rzekł strzelec. » Nie z całym karczkiem stamtądbyś wyszła. Lecz owdzie, wszędy, którędy zechcesz."

Ruszył poprzedzie; ona z radością w ślady za nim. Przyszli na miejsce, skąd się już była trzy razy wrą-

cała.» Patrz-no! wszak tam Dornberg?» rzekł strzelec. »Zbiegaj więc śmiało na dół.»"

— »Tędy?" zawołała niespokojna: »Tu tak strasznie spadzisto."

— »Spadzisto?" odezwie się strzelec. »Nie praw andronów, posłałbym tędy dziecko, które ledwo od cztérech tygodni pełza." I strącił nadół kamień, a ten w nagłych podskokach poleciał w głębią. »Czy widzisz? aż śmiéch mówić tu o spadzistości. Panienka zapewne z miasteczka, mówiąc z przeproszeniem?"

Dziewica z przykrością słuchać musiała niedelikatności starego, ale nic wyrzéc nie śmiała, w nim tylko widząc ratunek. »Czy zechcesz mię za sowitą nagrodę zaprowadzić do Dornbergu?" zapyta go. »Ojciec mój, baron *Hohenried*, potrafi pewnie zbawcy swéj córki bydź wdzięcznym."

— »Ach, głupstwa!" odpowiedział. »Do czego tu zbawca! Ojciec twój wyśmiałby ciebie i mnie razem, żebym się z czémś podobném odezwał. Tylko śmiało, panienko! Czyżeś..... ha, widzę, że gadanie nic nie pomoże; chodź że, poprowadzęć!"

Drżąc, ujęła się go pod rękę, i w niebezpieczną udała się drogę, musząc słuchać przycinków starego. Gdy nad ostatnią, najprzykrzejszą spadzistość zaszli, rzekł strzelec: »Czy mam cię wziąć na ręce, albo może zeskoczysz sama?" Zawstydziła się i zeskoczyła. Strzelec pozostał na wzgórku, obejrzał się i ruszył żwawo

pod górę, skinąwszy tylko ręką na pożegnanie, mniéj dbając na usilne jéj zaprosiny, aby wstąpił do jéj rodziców na śniadanie.

Chyżo pobiegła do domu, gdzie o długie jéj niepowracanie wiele było niespokojności. Wyrzuty matki uśmiechem zbyła; a gdy ojciec kazał sobie zdarzoną jéj przygodę opowiedziéć, we właściwéj sobie żywości, w zapale opowiadania, przeżyła znowu całe niebezpieczeństwo znajdowania się bez ratunku. Słuchał ojciec, jak zazwyczaj, ponury, i kiedy ciągle o zrozpaczeniu powtarzała, rzekł: »Jakżeś niepomyślała, moja Łucyo, że wyższa nad tobą dłoń czuwa?"

Spojrzała na ojca i przelotem na matkę, poprawiającą sobie włosy w zwierciedle. »Com miała o tém myśléć?" odpowie. »Cuda dziać się przestały. Ale przebóg, jakże już późno!" I pobiegła do swego pokoju, aby się ubrać. Rodzice zostali sam-na-sam.

Baronowa pilnie śledziła męża w zwierciedle, i przelotny rumieniec, to zjawiał się, to znikał z jéj lica. Baron przechadzał się wolnym krokiem po pokoju; surowa jego twarz była nieporuszoną i posępne zmarszczki przedzielały mu brwi czarne. Nareszcie stanął; baronowa postrzegła, że patrzy na nię; serce zaczęło jéj bić mocniéj, a zwierciadło zamgliło się od przyspieszonego jéj oddechu.

— »Kamillo" — rzecze, grubym głosem

Właśnie ostatnią przykładając rękę do swych pukli, zapytała niedbale: »Cóż tam?" Ale jéj piękne palce drżały. Że nic więcéj nie mówił, obróciła się spokojnie niby, i dodała śpieszczonym głosem: »Czegóż chcesz, kochanku?"

Spójrzał badawczo w czarne jéj oczy, i coraz bardziéj zasępiał czoło. Zdawał się gwałtem wybuch nieukontentowania w sobie stłumiać; lecz ton mowy zdradził go, gdy rzekł: »Cóżeście-to, ty, i świat, i owa wykwintna edukacya, z mojego dziecięcia zrobiły! Próżność, rozhukana fantazya, i, tak zwana, światowość, żywy jéj umysł ogarnęły; nieocenione cnoty kobiéce: pokora, łagodność, cierpliwość, tak jéj są obcemi, jak nasza święta wiara! Kiedy sobie moję Lucyą pomyślę, jak od niechcenia, bez próżności, dowcipném dzieckiem była, a teraz.....!"

Wcale czego innego spodziéwając się baronowa, odetchnęła swobodniéj, i odpowiedziała z przymileniem: »Przesadzasz, mój mężu! Jeśli młoda dziewczyna nieco jest próżną; jeśli jéj fantazya poetycznemi obrazami jest zagrzaną, nie mogę jéj tego równie miéć za złe, jak jéj doskonałego ułożenia. Wysławianych owych cnot kobiécych, zwłaszcza cierpliwości, nauczy się po zamęzciu...."

Tu przerwała, a baron dotąd, jak wryty, słuchając, przeszedł się znowu po pokoju, przed swą oniemiałą małżonką i nieprędko rzekł: »A taż nieszczę-

sna skłonność do ostateczności! Raz, do zbytku wésoła, swawolna, — wnet lada czém zasmucona, stroskana, do rozpaczy przywiedziona. Każde jéj trzecie słowa: rozpacz! Biada jéj, jeśli kiedy istotnie będzie miała powód do smutku i trosk! Jakże je przeniesie, skoro jest bez réligii!”

— »Bez religii!” wykrzyknęła baronowa. »Proszę cię! jak możesz to powiedziéć?”

— »Mamże to nazwać religiją, jeśli czasem wystrojona pójdzie do kościoła, lub poetyczno-moralną rozprawkę przeczyta?”

— »Jesteś niesłuszny,” odpowie baronowa. »Lucyi ganić nie można.”

— »Któż temu zaprzecza? Czy ja o tém mówię? Lucya jest dobrą, ale chcę, aby dobrą pozostała, — dobrą i cnotliwą! Wiele bywało dobrego, Kamillo, a jednak znikło.”

— »To już zanadto! Cóż ci się jeszcze uroi? Jak możesz pomyśléć nawet, że....”

— »Dajmy pokój Kamillo! To tylko powtarzam, że każdy za siebie przed Bogiem i własném sumieniem odpowiadać powinien; lecz zaniedbane, lub umyślnie zepsute wychowanie, znaczy tyle co zabójstwo; owszem, więcéj nawet! bo jest zabójstwem duszy, téj nieśmiertelnéj cząstki człowieka.”

— »Ach! co za sposób myślenia!” Było-to westchnienie baronowéj. »O Boże, jakże się my różnimy!”

Zamyślony, nie uważał jéj wyrzutu, który pod każdym względem prawdę w sobie zawierał. Baron daleko starszy od żony, był człowiekiem najsurowszych zasad, nieugiętym, dla uciech światowych obcym, ona przeciwnie, w zupełnym kwiecie kobiécych wdzięków, lubiła świat i zabawy, podobała sobie i żyła w teraźniejszości.

— »Jutro się rozstaniem!" wszczął znowu baron. — Podróż moja terazniejsza dłużéj potrwa niż zwykle. Dla tego chciałbym, abyś przez ciąg mojéj nieobecności tu pozostała, ale zupełnie tu, bez żadnych wycieczek, zwłaszcza do miasta. Czy słyszysz Kamillo? »taka jest wyraźna moja wola!"

— »Aresztujesz mię formalnie, jak widzę."

— »Może nie mam do tego powodu? he! Albo czy mam, jak Turek, dom mój w imię Boga dać podpalić, i ani się tknąć jego uratowania? Nie zmuszaj mię do dalszych tłumaczeń, któreby dla nas obojga nienajpocieszniejszemi być mogły."

Baronowa zdobywając się na wszystkie siły, aby ukryć co czuje, rzekła: »Żadnych się nie lękam tłumaczeń; przymówkę twą aż nadto rozumiem: ale się to mnie nie tyczy. Com ja winna, że się komu chwilowo podobam, niedając z méj strony najmniejszego do tego powodu? Chcesz może, abym się od stóp do głowy zakwefiła, lub twarz sobie poczerniła, żeby wszy-

stkich odstraszać? Zazdrośnyś bez przyczyny; wierz mi, że to niedobrze, kiedy mąż nie ufa żonie."

Uśmiéchnął się gorzko. »Ale gdy kto w ufności jest zawodzony, Kamillo?" natrącił, chwyciwszy ją mocno za rękę.

Wyrywając swą rękę odpowiedziała z uśmiechem na drzących ustach: »Nigdym cię w zaufaniu nie zawiodła. Gdyż" pomyślała sobie »nie posiadałam go nigdy; cóż mam sobie do zarzucenia? czyliż nie zawsze byłam wierną?"

II.

Wioska długa, w wązkiéj ciągnąca się dolinie, ponad szumnym potokiem, owa wioska, którą Lucya, będąc na górach widziała, zwała się *Schwarza*, a biały dworek na końcu téj wioski był pomięszkaniem nadleśniczego. Tam wszystko dziś w gospodarstwie było w nadzwyczajnym ruchu; krzątały się służące, na kuchni pałał ogień potężny, dokoła którego stały garnki, i brytfanny; we wszystkich pokojach były podłogi wyszorowane, a okna wymyte do czysta, jak kryształ. Z godzinę już przechadzał się stary nadleśniczy po podwórzu, w mundurze paradnym, z kordelasem o złotym pendencie u boku; jeden tylko gość nowy, dniem

wprzódy na czas dłuższy do Schwarza przybyły, zdawał się o tych przygotowaniach zgoła nie myśléć, siedząc w pięknym szlafroku, w oknie, na pierwszém piętrze. Gniewało to nadleśniczego; bo téż prawda, ktobykolwiek był ten młodzik, kiedy raz na naukę leśnictwa przybył, powinienby dla pana hrabiego, do którego ta majętność należała, bydź zprzyzwoitą atencyą. Wielokrotne odzywania się nadleśniczego, że pana swego lada-chwila spodziewa się, zgoła nieskutkowały na przybyszu; nareszcie jeden ze strzelców, stary Adam, który w téj chwili powrócił do domu, dał powód do jaśniejszego przemówienia.

— »Niechże cię porwie licho!" krzyknął doń nadleśniczy; »ociągałeś się tak długo, a tu Jego-hrabiowskiéj-mości tylko-co nie widać; jak będziesz śmiał w tym stroju przed nim się pokazać; musiałeś się nawet od niedzieli nie golić! Ktokolwiek do mego domu należy, bogdajby nie wiém czém był, powinien się dla hrabiego z szacunkiem okazać!"

— »Ależ panie nadleśniczy!" odmruknął Adam »jeszcze dosyć czasu; hrabia nie jest ptakiem, ani ja latać nie mogę. Od Frauenbergu, gdziem tę sztukę zwalił," pokazując na orła »musiałem młodą panienkę, która była zabłądziła, do Dornbergu zaprowadzić; dla tego więc spóźniłem się nieco, ale zaraz będę gotów;" to mówiąc, potarł ręką o brodę nieogoloną i odszedł do izby strzeleckiéj.

Młodzieniec, wyglądający przez okno, słyszał całą rozmowę, a najbardziéj go uderzyły opowiadania Adama. — Więc mię moja perspektywa nie omyliła! — pomyślał. — Ona-to była niewątpliwie; chciała mi dać znak, że już w te przybyła okolice. Trzeba się wypytać starego. —

Przez cały ranek wodząc z okna bez celu perspektywą po najwydatniejszych punktach prześlicznego gór widoku, dostrzegł był na jednym cyplu postać białą, którą teraz, jak mu się zdawało, rozpoznał. Prędko więc jąwszy się ubiérać, wkrótce w najsmakowniejszym stroju, z wielkiém uradowaniem nadleśniczego, ukazał się na podwórzu.

— »Mości *Zehsen!*" zawołał gospodarz, »poznasz pan człowieka, któremu, można powiedziéć, nie masz równego; jestto nasz......"

— »Znam już hrabiego Königsborn," odpowiedział Zehsen. »Cieszę się, że go będę oglądał. Czy często tu przyjeżdża?"

— »Rzadko:" rzekł nadleśniczy. »Schwarza leży na granicy; wreszcie nie ma tu pomieszkania dla takiego pana; jeśli więc go nie polowanie sprowadzi, nie widzimy go czasem rok cały. Dziś wszelako chce odbyć rewizyą, i dla tego przenocuje."

Znowu wystąpił Adam, ale już ile możności wystrojony, nawet w białéj chustce pod czarnym halsztukiem.

— »Powiédz-no mi przyjacielu," odezwał się doń Zehsen, »spotkałeś podobno tam na górach jakąś panią? Czy niemógłbyś mi jéj opisać; bo mi się zdaje, żem ją przez moje szkła dostrzegł."

— »Dostrzegł?" odpowie Adam. »Do tego szkieł niepotrzeba, aby kogoś dostrzedz, gdy na Frauenbergu stoi, a nadto jeszcze w bieli."

— »Mówię, że zdaje mi się, jakoby była mi znajomą. Jak téż wyglądała? czy piękna?"

— »Piękna? uchowaj Boże! Jak trzcina; nogi i ręce strasznie drobniutkie, a nic przedniejszego jak włosy, w dziwnéj modzie ułożone; ci panowie coraz bardziéj głupieją! włosy spadały z jéj głowy jak gdyby grzywa."

— »A czy to była mężatka, czy panna? Jakiego mogła bydź wieku?"

— »A któż to w kobiécie pozna! Co do wieku, tego nie wiém; ale nie mężatka, ani panna, tylko dziecię."

— »To jéj córka!" pomyślał sobie Zehsen, nagle się opamiętawszy. — Zapewne jéj córka, która z pensyi wyjść miała. Wiém tedy przynajmniéj, że przybyła. — Dodatek Adama: że mu nazwisko ojca, barona, była powiedziała, którego jednak sobie przypomniéć nie mógł, potwierdził domysły Zehsena.

W tym posłyszano strzał z najbliższéj góry. Nadleśniczy postawił był tam jednego ze swych ludzi na czatach od gościńca, iżby, w chwili nadjechania hrabiego, znak dał z fuzyi, Dopiéro to ruch powstał; tu

i owdzie było jeszcze coś do uprzątnienia; po domu rozlegał się dźwięczny głos gospodyni, wydającéj różne rozkazy; leśniczy uszykował swoich podwładnych, którzy się ze wszystkich kniej pościągali, i wyszedł znimi naprzeciw hrabiego.

Nadjechał hrabia konno z jednym tylko masztalerzem. Skoro zsiadł, powitany został od nadleśniczego, któremu podawszy rękę, poszedł z nim daléj. Za zbliżeniem się Zehsena, o którego przybyciu tam uprzedzony był przez nadleśniczego, hrabia uprzejmie doń zawołał: »Czy-to bydź może, panie Zehsen? Chcesz się także z gospodarstwem leśném oswoić?"

—»Chciałbym się go nauczyć, hrabio; posiadam nie małe lasy, a mając zamiar rządzenia sam dobrami, pragnąłbym i téj gałęzi nie być nieświadomym. Przy tym zacnym mężu, którego wiadomości praktyczne powszechnie są znane, spodziéwam się wiele skorzystać."

Pochlebiony tém nadleśniczy, przerwał: »Za wiele to pańskiéj dobroci!" A oba młodzieńcy, gdyż i hrabia Königsborn ledwo dwudziesty rok kończył, zapuścili się w rozmowę o ekonomice, w któréj Zehsen z wielą pięknemi wiadomościami się odzywał.

Przed gankiem powitała hrabiego nadleśniczyna; wszyscy się rozeszli; miał bowiem hrabia jeszcze przed obiadem niektóre interessa załatwić. Zehsen udał się na przechadzkę; strzelcy zaś, którzy także na ucztę byli

zaproszeni, strzelać zaczęli do celu, mając od pana swego poprzeznaczane nagrody.

Nadeszła obiadowa godzina, ale ta początkującego w leśnictwie, ani dobrym stołem, ani téż biesiadowaniem, nie rozerwała. Jedna tylko myśl o spełnić się wkrótce mających nadziejach, była mu niejaką pociechą.

— »Biada-to!" rzecze Adam po obiedzie do pani nadleśniczyny, z którą często zwykł był rozprawiać, — »biada! kiedy człowiek o świecie-Bożym nie wié. On chce bydź leśnikiem, a takie dziwolągi o strzelectwie prawi. Czy pani sądzisz, że on o tém szczérze myśli? nie oszuka on mię; nie taki ja ptaszek."

— »Jak-to, Adamie? Czemużby miał inaczéj myśléć, skoro tu przyjechał?" »Zapytaj tylko pani jego strzelca, który się to tak śmié mianować. Bo taki z niego strzelec, jak z pudla pastora naszego ogar. Że téż-to wysoki urząd łowiecki, dozwala fagasów strzelcami nazywać! Chłystek ten fuzyi porządnie nabić nie umié; może chyba kiedy na muchy polował."

— »Nie bądź tak złośliwym, Adamie!" rzekła pani nadleśniczyna; »wiész, że tego nie lubię. P. Zehsen nie zna się na myślistwie i dla tego chce się go u nas nauczyć."

— »Nie nauczy się nic do śmierci!" odpowiedział Adam. »Broń Boże! Nie ma on nawet do tego żadnéj ochoty. Gdybym się tylko chciał spospolitować, jego

Szerl, czy tam Szarl, kat wié jak się on zowie, — wyśpiéwałby mi wszystko, co panicz sobie zamierzył. Już dziś od rana...."

— »Charles!" zawołał Zehsen przez okno. Sługa, wyciągnąwszy się po obiedzie, pod bzem w ogrodzie, udał, jakoby nie słyszał, zwłaszcza, że pańskie okno na podwórze wychodziło.

— »Widzisz pani, co-to za bultaj!" rzecze Adam. »Na drugi bok się przewraca." To mówiąc, wyszedł z izby bawialnéj, (gdzie rozmawiał z panią nadleśniczyną), aby spędzić śpiocha. Nadleśniczyna widziała przez okno, że nienajwdzięczniéj Charles doniesienie przyjął.

— »Charles!" powiedział Zehsen do swego służącego, gdy ten nadbiegł. »Musisz pójść na szpiegowanie. Pewny jestem, że Hohenriedowie do Dornbergu przyjechali; jest-to najbliższa stąd wioska; stary kupił tę piękną majętność; wszak ją widziałeś, kiedyśmy tamtędy przejeżdżali."

— »Znam dokładnie tę okolicę" odpowie sługa.

— »Więc tedy pójdź tam i wywiédz się, kiedy baron odjedzie. Ale się tylko zwiń gracko, i nie daj się postrzedz."

— »Stanę się niewidzialnym, łaskawy panie."

— »Dobrze, ruszaj!" Sługa wyszedł, przygotował się do wycieczki i opuścił dom łowiecki, razem pra-

wie z hrabią, który w orszaku wielu leśniczych i innéj służby, w tęż samę udawał się stronę. To sprawiło, że Charles puścił się manowcami.

Oględziny lasów, które hrabia przedsięwziął, zatrzymały go całe przed południe w górach. Kiedy słońce ku zachodowi zmierzać zaczęło, znajdował się na wzgórzu, z którego prześliczny Dornberg, z bielejącemi domkami i kwitnącemi ogrodami mógł widzieć.

— »Jak słyszałem," ozwie się hrabia, »ta piękna posiadłość już sprzedana. Sambym ją był kupił, bo warunki miały być dość przystępne."

Potakując temu nadleśniczy, zwrócił uwagę hrabiego na towarzystwo z kobiét i mężczyzn złożone, które w kierunku od Dornbergu ku nim pod górę podchodziło. „Zapewne to nowy właściciel!" z familią! dodał.

Rzeczywiscie, był-to baron Hohenried z żoną i córką, do których się trafem przyłączyło młode małżeństwo podróżujące. Jakkolwiek baron nie bardzo był z tego kontent, nie mógł jednak towarzystwa odmówić, i nareszcie pojednał się z obcymi, gdy w nich dobrego wychowania stadło poznał, a Lucya, swoję dawniéj koleżankę z pensyi powitała.

Hrabia Königsborn widywał czasem barona w stolicy, a nawet z nim był zaznajomiony; nie chciał zatém go omijać, jakkolwiek mu już śpieszno było do domu. Hohenried spojrzawszy, poznał idącego na ich spotkanie. Po wzajemnych powitaniach, hrabia przed-

stawiony był damom, które, piękna jego postawa męzka uderzyła; on téż ze swéj strony mile był zdziwiony zjawiskiem trzech kobiét, pełnych powabu, każda w swoim rodzaju. Wnet zawiązała się rozmowa, która z przedmiotów ogólnych przeszedłszy do otaczających, stała się ogniwem zbliżenia do siebie i prędkiego poznajomienia między sobą, pierwszy-raz widzących się osób; każdy ciskał błyskawice lub kwiaty w szumny słów potok. Nareszcie hrabia, żegnając towarzystwo, polecał się pamięci sąsiedzkiéj barona. »Gdy będę wracał do domu: bo jutro wyjeżdżam," rzecze Hohenried, »nie omieszkam zboczyć z drogi do pana hrabiego." Königsborn, skłoniwszy się damom, poszedł w stronę przeciwną, ku oczekującym na siebie dworzanom.

— »Idalko, nie wzbudzajże wemnie zazdrości, „ozwał się podróżny do swéj młodziutkiéj żony, która po odejściu hrabiego, wychwalać go zaczęła. »Przyznam się, że porównanie między nim a mną, wcaleby nie z korzyścią dla mnie wypaść musiało, dla tego więc bardzo cię proszę, nie dotykać czułéj we mnie struny."

— »Czy i pan cierpisz mężów chorobę?" odezwała się ze śmiéchem baronowa. »Dziwno mi, że jako lkarz, nie znajdziesz na nię środka."

— »Jest-to choroba, homeopatycznie tylko traktować się mogąca," odpowie obcy. »*Similia similibus*, czyli

w wolnym przekładzie: *ogień ogniem*. Zresztą, i kobiéty nie są także wolne od téj słabości.”

— »Zapewne, że nie!” wykrzyknęła Lucya. »Ja, naprzykład, strasznie byłabym zazdrosną i śledziłabym w mężu każde spojrzenie, każde słowo, i biadaby mu! gdybym przyczynę do gniewu znalazła.”

Baron, poprzedzie idący, zatrzymał się i spojrzał nienajłagodniéj na córkę, któréj żart go rozjątrzył: bo wiekowi jéj nie przystawał. Ale matka zapobiegła temu, odezwawszy się do Lucyi: »A gdyby na twój gniew nie zważał.”

— »Porzuciłabym niewiernego,” odpowié Lucya nieco poważniéj.

— »Lecz gdybyś ty go kochała?” rzecze matka, równie jak wprzódy żartobliwie: »gdybyś go prawdziwie kochała, czyżbyś mu małego zbłądzenia serca nie przebaczyła, i podwojoną tkliwością, nanowo go do siebie przywiązać nie chciała?”

— »Przebaczać? Niewierności? Nigdy!” zawołała Lucya w zapale. Baron tymczasem stanąwszy na brzegu cypla, zdala od towarzystwa, wpatrywał się wgłąb dołu, do jaskini kuchnią-czarownic zwanéj, wiodącego.

— »Ale co prawisz?” ciągnęła baronowa daléj rozmowę. »Gniéw twój bardziéjby go odstręczył; a ty go kochasz z całéj duszy; on był dotąd całém twojém szczęściem; bez niego żyćbyś nie mogła.”

»—Jeślibym tak czuła, wtenczas nazawsze szczęście moje byłoby stracone," zawołała Lucya z uniesieniem. »Wtenczas, jeden tylko widziałabym środek," wtém podbiegłszy chyżo, stanęła obok ojca: »Stąd nadół! albo gdziekolwiek, gdzieby grób znaleść było można!"

Ojciec uchwycił ją za ramię i dość gwałtownie wstecz od brzegu przepaści odepchnął; niemogąc zaś, zpowodu obecności obcych słownie z gniewem wybuchnąć, rzekł tylko dosyć głośno: »Słuchać podobnych głupstw nie można!" Młode małżeństwo, przez cały ten czas, rozmawiało z sobą po cichu.

Gdy hrabia powrócił zmrokiem do domu łowieckiego, zastał pana Zehsen bardzo zajętym; rozbierał on i naoliwiał kosztowny fletrowers, przed nim na stole leżały stare karty, któremi, jak widać było, bawił się w *patience*.

—»Wyznać muszę", rzekł Zehsen, »żem sobie różne tu wyszukiwał rozrywki, takem jeszcze nieoswojony z samotnością. Spodziewam się wszakże, iż skoro się mój kurs leśnictwa otworzy, czas mi prędko upływać będzie."

—»Gdybyś był mi towarzyszył, miałbyś przyjemną awanturkę," odpowiedział hrabia. »Spotkałem w górach trzy gracye, ale musiałem prędko z ich czarodziejskiego kręgu się wyrwać."

—»Trzy?" zapytał Zehsen ciekawie. »Zapewne pani Hohenried z córką? Któż jeszcze?"

„—O! tęgi będzie z ciebie myśliwiec, panie Zehsen. Istotnie, była tam pani Hohenried z swoją lubą córką, a trzecia, niemniéj piękna, nowo-zamężna, któréj małżonek, jeśli się nie mylę, zowie się doktor Braun. Znam oddawna Hohenrieda i spodziéwam się dobre z niego miéć sąsiedztwo."

—»Ależ on zapewne nie będzie tu ciągle mieszkał?" zarzucił prędko Zehsen. »Wszak na zimę musi do miasta powrócić; byłoby bowiem śmiesznie chcieć tu przepędzać zimę."

—»Nic o tém nie wiém," rzecze hrabia. »Jednakże różne są gusta; ja, naprzykład, przenoszę także zimowanie na wsi; a że baron jest nieprzyjacielem wszelkiego zgiełku, sądzę przeto, że i on wyrzecze się miasta. Byłoby-to dla mnie bardzo korzystném, bo mało mam znajomości w sąsiedztwie, a z Hohenriedów domu wiele się spodziéwam."

—»Zapewne," odezwie się Zehsen. »Byłoby-to może bardzo dla pana hrabiego pożądaném. Musiał już hrabia często damy te widywać; bardzo miłe damy: zwłaszcza córka, żywy anioł! Co-za uroda! — co-za okrągłość kibici! a te czarne, pełne duszy oczy! a lśniący włos kruczy!"

—»Mówisz o matce panie Zehsen!" zarzucił hrabia: „Panna Lucya ma włosy wprawdzie ciemne, ale nie czarne, lecz kasztanowate, a oczy piwne; przytém jest średniego wzrostu i szczupła; chybaś zapomniał?"

—»To prawda, że szczupła dosyć, ale nie chuda, i nadto brunetka zupełnie; czarną nawet nazwaćby ją można."

—»Panienka musiała odebrać bardzo dobre wychowanie?" natrącił Königsborn.

—»Najlepsze; możesz hrabio temu wierzyć. Wychowywała się w najsławniejszéj pensyi; posiada talenta; powiadam hrabiemu, że to jest cud kobiéta!"

—»Na pensyi?" powtórzył hrabia nieco przewlekłe. »Nie pojmuję, dla czego się rodzice, mieszkając w mieście, do tego skłonili: nie mówię o ojcu, bo ten ciągle w drodze, mając tu i owdzie dobra, ale matka, zdaje mi się być kobictą światłą, mogłaby była przeto sama zająć się wychowaniem swojego dziecka."

—»Niech pan hrabia o tém pamięta, że panienka była na pensyi u Chimay, a czyliż lepiéj mogła pani Hohenried o jéj wychowaniu pomyśléć? Miałaż się jéj całkiem poświęcać, począwszy od bycia boną, i wyrzekłszy się wszelkich, jakie do świata mieć może, pretensyj?"

Hrabia mało bardzo na to odpowiadał; wkrótce téż nadeszła nadleśniczyna z zaproszeniem do wieczerzy, i tym sposobem koniec rozmowie ich położyła. Zehsen czekał niecierpliwie na swego służącego, któ ry dotąd był niepowrócił. Nareszcie, gdy się już wszyscy rozeszli i Zehsen także zabierał się do łóżka. — wszedł Charles nadzwyczaj zmęczony.

—»Nie, łaskawy panie," rzecze zadyszałym głosem, » w téj piekielnéj okolicy, rok bym w służbie nie wytrzymał. Dosyć na krok z prostéj zboczyć drogi, a już zginąłeś, ani trafić! Całkiem byłem się zabłąkał, i pokilkakroć znajdowałem się w niebezpieczeństwie życia."

—»Ale jeszcze żyjesz: to dowodem, że nie tak bardzo źle być musiało," zawoła Zehsen zniecierpliwiony. »Rzecz główna?"

—»Rzecz główna była ta," odpowiedział Charles, »że hrabia wyjechał ku Dornbergowi, dla tego więc musiałem zboczyć."

—»Mniejsza o to!" przerwał mu pan. »Prędzéj, co się dzieje w Dornbergu?"

—»Zapewne bardzo dobrze," rzecze Charles niedbale, »przynajmniéj o niczém złém nie wiém; nawet nie widziałem Dornbergu."

W największém zniecierpliwieniu Zehsen chwycił za laskę. »Zlituj się pan!" krzyknął cofając się Charles. »Dalibóg, niepodobna było drogę do Dornbergu odszukać! co krok okolica staje się inną, gdy się zdaje, że oto już jesteś na prostéj drodze, trafiasz na drzewa, albo na przepaść i zbaczać musisz! Niech Bóg błogosławi nasze ludzkie okolice! Na śmierć jestem znużony, i nadto boli mię, żem się z posyłki nie sprawił."

—»Do niczego jesteś," rzecze Zehsen zasmucony.— »Jutro, sam sobie usłużę."

III.

Na górach był dzień jasny, gdy w dolinach jeszcze zmrok ociągał się ustąpić dniowi. Cały Dornberg spał jeszcze, tylko w domu barona był ruch; widać było chodzących ze świécami, a przed gankiem stał powóz, którym Hohenried miał odjechać.

Baron wypił kawę stojąc; twarz miał surowszą jeszcze niż zazwyczaj; ukradkowe spojrzenia żony, zdawały się śledzić jego myśli. Lucya którą późno zbudzono, jeszcze była nie wyszła, matka życzyła sobie widziéć ją jak najprędzéj.

Wyszła nareszcie. Baron porwał natychmiast za kapelusz i pożegnał się; uściskał córkę w milczeniu, pocałował w czoło dwa razy, i przemówił kilka słów czułych, które do serca Lucyi trafiły. Potém obracając się do żony, rzekł od niechcenia: »Jeszcze raz bądź zdrowa, Kamillo! Dałby Bóg obaczyć się nam w lepszym humorze. Niech czas swojego dzieła dokona!” Nie pocałował żywo wzruszonéj. Lucya sądziła, że się rodzice wprzódy już pożegnali.

—»Nie baw długo mężu!” prosiła baronowa głosem rozczulonym. Więcéj coś chciała powiedziéć, ale nie mogła; napróżno jéj oko szukało jego spojrzenia, byłaby to chwila, w któréj przez miłe spotkanie wzroku, serce jéj nieoderwanie przylgłoby doń na zawsze,

i na zawszeby ją od wszelkich usterków względem siébie był zawarował, ale twardy mąż pozostał zimnym i zasępionym; ani jednego łagodnego nieprzemówiwszy słówka, wyszedł.

Zaledwo turkot odjeżdżającego powozu ucichł, rzuciła się baronowa na sofę i rzewnemi zalała się łzami. Lucya naprożno uspokoić matkę usiłowała. Nie wiedziała przyczyny jéj troski; nigdy jeszcze matki w takim niewidując stanie, sama była najnieszczęśliwszą. Do południa upłynął czas najnieprzyjemniéj,

—»Droga mamo!" rzekła Lucya, kiedy już słońce było ku schyłkowi: »Chciéj się rozerwać. Pójdźmy w góry; świéże tam powietrze będzie dla cię balsamem. Zachorujesz mamo z ciągłego smutku, a wtenczas, wielki Boże! nie przeżyłabym; byt mój tak ściśle z twoim jest połączony!"

Pocałowała matka swoje pieszczone dziécię, i obie wyszły na przechadzkę. Wszelako matka była za przejściem się po ogrodzie. »Już za późno" rzekła; »łazić po górach nie jestem przyzwyczajona; wczorajszy nasz spacer bardzo mię zmordował."

Wieczór był przyjemny, a powietrze najczystsze, tak, że w wielkiéj dali można było mieć widok. Lucya, przebiegając okiem po górach, odezwała się: »Czy mama widzi, tam oto, buk zwieszony nad dolinę, jakby miał ciekawość w nię zajrzéć; tameśmy wczoraj

spotkali hrabiego Königsborna. Jak też go mama kochana znajduje?"

—»Bardzo miły człowiek," odpowiedziała baronowa napół roztargniona. Nie pamiętała prawie, o kim mowa.

—»Miły!" powtórzyła Lucya z przyciskiem, i umilkła. Obie szły daléj niemówiąc i słowa; nareszcie usiadły w altanie i wzięły się do robot. Spoglądając na okolice, dostrzegły Frauenberg ozłoconą zachodzącém słońcem.

—»Czy dotrzymają nam przyrzeczenia Braunowie, że nas z powrotem odwiédzą?" rzecze Lucya.

—»Bez wątpienia!" odpowié matka. »Jak ta para z siebie szczęśliwa!" Westchnienie mimowolne z piersi się jéj wydobyło, ale go córka nie słyszała.

—»Do zazdrości szczęśliwa!" powiedziała Lucya. »I zawsze taką będzie; bo ich miłość wytrzymała próby, jak mi się Ida zwierzyła."

—»Zmienném jest szczęście, moje dziecię; nie raz się na niém zawiodą."

—»Mniejsza oto!" zawoła Lucya. »Byleby tylko na osobie, którą się kocha nie zawiéść się, to wszystko jest do zniesienia. Ale w takiéj osobie dostrzedz skazy, lub, co gorsza, całą jéj niewartość poznać, tegobym na sobie nie przeniosła! Być zmuszoną pogardzać tym,

którego się najtkliwiéj kochało — Mamo, nie mogłabym przeżyć!"

Baronowa, do roboty swéj schylona, odpowiedziała: »Wady, moja Luciu, znajdziesz we wszystkiém; nikt od nich zupełnie wolnym nie jest."

— »Ach! cóż znowu!" przerwała nagle matce Lucya; »a ty, moja najukochańsza, świętość moja, nie jesteś-że od wad wolną? czyliż w tobie nie mam wzoru, któremu nigdy nie sprostam! Tyś mi aniołem, który mię po ścieżce życia wiedzie! Patrzę na cię, jak na ołtarz miłości i pobożności."

Rumieniec nagły wystąpił na lica matki. Uściskała Lucyą, jakby w pomięszaniu, i rzekła: »Moje dziecię! Tylko bez téj exaltacyi! Kochaj mię tylko zawsze!"

W téj chwili dały się słyszéć przeciągłe tony fletu, które wietrzyk wieczorny w tę ustroń przynosił. Lucya zgoła na to nie dając baczności, mówiła daléj: »Czyliż mama może powątpiéwać o mojém przywiązaniu? Zawsze w mojém sercu będziesz mi najpiérwszą! Mężczyzna, któremubym kiedyś... Ale mamo, cóż to jest? Czemu się przysłuchujesz? Fletrowers! piękne tony!" Posłuchawszy nieco, rzecze: »Ach! i to poezya, tak jak wczorajsze nasze spotkanie."

Miłe tony instrumentu, zrazu fantastycznie wylewane, przeszły teraz w dobrze znany śpiéw, którego wę-

sołość zelektryzowała baronowę. Spoglądać zaczęła, z większą coraz niespokojnością ku zaroślom za ogrodem, skąd głos ten coraz się przybliżał. I Lucya także zdawała się być w oczekiwaniu; oczy jéj błyszczały; zwodnicze przeczucie podnosiło jéj pierś młodocianą.

Wtym wyszedł z krzaków mężczyzna. Lucya go nie znała; dobrze był ubrany i dziwnie piękny. Powitawszy skinieniem kapelusza damy, przybiegł nad rów ogrodowy i zawołał: »Co-za niespodziane szczęście! Czy wolno do szanownych pań się zbliżyć?”

Baronowa lekko skinęła ręką, dając znak równie odmówny, jak przyzwalający. Ale przybysz wytłumaczył go sobie na dobre; przeskoczył zgrabnie przez rów i prosił baronowéj, by go obecnéj damie poznać dała.

—»Pan Zehsen, moja córko!” rzekła. »Ale wytłumacz mi pan....”

—»Uczę się leśnictwa; od kilku dni bawię w Schwarza, wiosce o półgodziny drogi stąd odległéj, u nadleśniczego Böhma,” odpowiedział Zehsen. »I gdybym mógł przeczuć, iż spotkam tak miłą znajomość, i że będę miał szczęście poznać córkę pani, tylekroć wspominaną w naszych rozmowach, jużbym oddawna tu pośpieszył. Ale gdzież jest mąż pani?”

— »Wyjechał,” rzekła baronowa, któréj nagłe wzruszenie uspokoiło się cokolwiek, »bardzo ubolewam nad tém, że go pan nie zastałeś.” Ostatnim słowom widocznie chciała nadać wiele znaczenia, poczém prosiła Zehsena, ażeby usiadł. Zehsen spojrzał na słońce; żałował, że się już wieczór zbliża i prosił o pozwolenie ponowienia odwiedzin w dogodniejszym czasie. Baronowa jeszcze raz dała mu znak, aby usiadł, a Lucyą posłała do domu, aby podano herbatę.

Zaledwie Lucya odeszła, Kamilla drżącym wprawdzie, ale dobitnym głosem, tak się odezwała: »Nie wglądam, czy to rzeczywiście przypadek zrządził, czy pan sam tego chciałeś, iżbyśmy się tu z sobą ujrzeli; w każdym razie cieszy mnie to nie mało, bo mogę ci, panie Zehsen, powiedziéć otwarcie i swobodnie o tém, co się stać powinno.”

Już on tymczasem chwycił jéj rękę i osypywał pocałowaniami. Baronowa nagle ją wyrwała, mówiąc: »Widziémy się dzisiaj poraz ostatni w życiu!”

— »Kamillo!” zawołał Zehsen z zadziwieniem.

— »Poraz ostatni, Zehsenie,” powtórzyła z wielkiém wzruszeniem. »Musiemy unikać siebie nawzajem, jak nieprzyjaciele. Bo czyliż nie jesteśmy niemi? Czyliż jedno drugiemu nie wydziéramy spokojności, nie pozbawiamy pokoju duszy?”

— »Kamillo!" powtórzył jeszcze słabym głosem i nic więcéj wyrzec nie był w stanie. Twarz jego zbladła, oczy się zaćmiły, możnaby powiedziéć, że się zmienił w posąg najgłębszéj boleści.

— »Moj biédny przyjacielu, cóż, kiedy inaczéj bydź nie może," mówiła Kamilla przerażona postawą Zehsena. »Bądź jednak mężczyzną; przezwycięż to chwilowe uczucie, które wiąże ciebie do mnie. Wszak to ci łatwo przyjdzie." Tu jéj głos osłabł.

— »Cóż się więc stało," odrzekł on, »jakaż zmiana nastąpiła, że mnie tak nagle odpędzasz. Więc to było tylko marzenie, kiedym sądził, iż nie jestem tobie obojętnym. Chyba igraszkę zemnie wyprawić chciałaś. Ale, Kamillo! było-to za nadto okrutnie; bo chodziło o szczęście całego życia mojego!"

Łzy się jéj potoczyły. »Nasze rozstanie się zapewnia szczęście dla ciebie," powiedziała. »Niedługa chwila walki z sobą, i już mnie zapomnisz, i gdzieindziéj znajdziesz szczęście. Nas zaś rozdzielają obowiązki i honor. Pytasz mnie, co się stało? nic, ocknęłam się tylko ze snu niebezpiecznego, przebudziłam się, iżby wejrzéć w moje nieprawe postępki."

— »Ocknęłaś się? więc to był sen tylko," zarzucił z goryczą: »i nic więcéj tylko sen! Tak więc pozbawiasz mnie wszelkiéj nadziei, wszelkiéj pociechy, i

oddalającemu się od ciebie w głuchą pustynię, każesz mieć to przekonanie, że nigdy kochanym nie byłem. Ha! kiedy tak, więc jakikolwiek koniec mój będzie, bynajmniéj cię to troszczyć niepowinno."

— »Albercie!" ozwała się łkając i zakrywając oczy.

— »Nie wydzieraj mi moich słodkich marzeń" błagał namiętnie. »Jeżeli takie ma bydź moje przeznaczenie, pozwól mi przynajmniéj łudzić się, że jestem kochany. Daj mi twą rękę, twą rękę na znak, że nie odrzucasz mojéj boleśnéj prośby, a ja pożegnam cię nazawsze."

Baronowa podała rękę, lecz wtym zawołał. »Ach! otóż i Lucya, a tyś tak zmieniona."

— »Przebóg! wymyśl cokolwiek usprawiedliwiającego nasze wzruszenie." Lucya była już przy nich.

— »Jutro lepiéj się wytłumaczymy," powiedział Zehsen skwapliwie, a potém mówił jakby ciągnąc daléj rozmowę. « Jestto okropny wypadek, napełniający smutkiem całą naszę familią."

Lucya usłyszała te słowa; służący, z herbatą wszedł tuż za nią do altany; młode dziewcze ujrzawszy matkę i gościa w takiéj niespokojności, ciekawym wzrokiem badało jéj przyczyny.

— »Opowiadałem matce pani okropne zdarzenie, straszny cios dla mojéj familii!" rzekł Zehsen. »Ro-

żmaite okoliczności zbiegły się, że temu zapobiedz nie było można.” Tu Zehsen w ogólnych wyrazach rozwlekał więcéj jeszcze zaczętą przemowę, aby tymczasem ułożyć, co ma powiedzieć. Nakoniec sklecił powieść, że jeden z bliskich jego krewnych, będąc przez nieszczęśliwą miłość przyprowadzonym do rozpaczy, dobrowolnie śmierć sobie zadał. Spojrzenie pełne znaczenia na baronową rzucone, zdawało się słowom jego dawać straszne objaśnienie.

Lucya wypytywała o szczegóły tego wypadku. Zehsen w żywych kolorach odmalował swoje własne położenie, a zmyślone samobójstwo nieszczęśliwego tak strasznie opisał, iż Lucyą prawie tyle wzruszyło, ile i matkę, która w opowiadaniu Zehsena widziala przerażającą pogróżkę. Tak więc, lubo wprzódy nie zezwoliłaby była na widzenie się jeszcze raz bez swiadków, teraz nie mogła mu tego odmówić; pożądaną bowiem i pocieszającą rzeczą było dla niéj odwrócić go od rozpaczy i przynajmniéj łagodniejszém wyjaśnieniem stanu okoliczności, uśmiérzyć boleść, którаby okropne skutki za sobą pociągnęła

Rozmowa, już więcéj na tor pożądany wrócić nie mógła. Dla Lucyi głównym jéj przedmiotem było opisane samobójstwo, którego ona broniła poczęści. — »Mogą być zdarzenia” mówiła, »które usprawiedli-

wić się dają!" Na dowód tego twierdzenia, przywiodła wiele przykładów wziętych z romansów i poezyi, gdzie samobójcy taką jasnością obleczeni byli, iż blask ich przymiotów zakrywał zbrodnię. Gdyby ojciec był obecnym, zapewne nie bez oburzenia powstałby przeciwko tym poetyckim urojeniom, ale teraz nikt nie zbijał fałszywych rozumowań Lucyi, bo i matka ledwie kilką słowamiośmieliła się sprzeciwić jéj zdaniu.

Tymczasem znikły ostatnie promienie zachodzącego słońca; Zehsen pożegnał baronowę i jéj córkę, otrzymawszy pozwolenie przyjść do nich nazajutrz. Kiedy wszedł na górę i z krętéj ścieżki do Schwarza wiodącéj, jeszcze raz oddał ukłon damom, a potém znikł im z oczu, ozwała się Lucya. »Jakiż to przystojny, jak zajmujący mężczyzna!" Ale matka unikała mówić więcéj o nim. Zehsen biegł swoją drogą i nie oglądał się ani w prawo ani w lewo, bo cały w samym sobie był zatopiony. Po niejakim czasie zatrzymał się i dręczony wspomnieniami, załamując ręce wołał. »Czyż-to bydź może. Czyliż ona jedynie dla iakichś wyobrażeń może poświęcić miłość naszę. Nie, kiedy mnie kocha, to nie zrobi tego. Wszakże jabym jéj nie odstąpił, chociażby katowski topor chciał nas rozdzielić! Kamillo! Kamillo!" i pobiegł daléj. Zehsen często widywał baronowę w wyższém towarzystwie, jego miłość

wzrosła do najwyższego stopnia, wprzódy nim poznał uszczęśliwiony, że i ona podziela jego uczucia. Nagły zamiar Hohenrieda wyjechania z miasta na wieś, bez miary zasmucił Zehsena, i dopiéro wtedy utulił żale, gdy znalazł możność udania się za tą, do któréj przylgnął całém sercem; brakowało mu tylko porozumienia zukochaną; do tego jednak niewiadomo, czy mu okoliczności nie sprzyjały, czy téż może i ona krzyżowała jego zamiary. Przebiegając myślą cały swój stan przeszły i obecny, Zehsen śpieszył daléj ku domowi, aż w tym, usłyszał wołanie siebie po imieniu i śmiéch głośny. Był to właśnie stary Adam. »Pan uciekasz jakby defraudant," rzekł strzelec. »Dalibóg śpiésząc naprzeciw pana sądziłem, że schwytam ptaszka, co to nam zwierzynę sprząta; ale do kata, przestrzegam cię łaskawy panie, że Dornberg nie należy do naszego leśnictwa, i gdyby pana tam tak samo mieli w podejrzeniu, musiałbyś samego siebie oddać w zastaw."

—»A któż to mówił, że ja byłem w Dornbergu," odpowie Zehsen zmięszany.

—»Kłaniam uniżenie," rzecze Adam. »Zapewne pan myślisz, że ten nie widzi, kto okularów lub tym podobnych szkiełek nie nosi. Ja z dalekiéj góry poznałem pana, i widziałem go w owéj tam altanie!"

—»Jeżeli tak, to proszę cię ani wspominać o tém," rzekł Zehsen, niby od niechcenia, i odszedł od starca. Adam pokiwał głową. »Otóż widzisz pani," rzekł za powrotem do pani nadleśniczyny, »ten paniczyk chodził do Dornbergu, i tam na damy bardzo spoglądał."

—»Ha! niechże i tak będzie," odpowiedziała nadleśniczyna. »Co to do nas należy, wszak wiadomo że tam jest i piękna i bogata panienka."

—»Tak, ale co się stanie z polowaniem na zwierzynę, kiedy panicz na kobiétki się zaczaja?" zawołał nieukontentowany Adam. »Na cóż robi z nas żarciki? O, jutro jeszcze powiem panu nadleśniczemu, żeby sobie zbytecznéj nie zadawał z nim pracy."

Pani nadleśniczyna przyrzekła sama pomówić o tém z mężem swoim.

IV.

Zehsen zaproszony był do Dornbergu na obiad. Liczył godziny, minuty, i mimo to wyszedł tak śpiesznie, że zdążyłby na porę obiadową, gdyby nawet trzy razy dalszą miał drogę. Przyszedł więc wprzódy nim pani Hohenried ukończyła toaletę, i z tego powodu, tylko jedna Lucya go przyjęła. Dniem wprzódy Zeh-

sen, w roztargnieniu nie zwrócił na nią żadnéj uwagi; ale teraz, jéj dziewicza skromność, pełne dowcipu spojrzenia, musiały mu się podobać. Zawiązała się żwawa rozmowa, i ustaliła w nim to o niéj przekonanie, które czytał w pięknych jéj rysach, wyznać przeto musiał: [że córka godną była matki. Zjawiła się téż i matka, a widok jéj zajął Zehsena całkowicie; tymczasem Lucya odeszła rozporządzić obiadem.

— »Ponówmy naprędce i swobodnie naszę rozmowę, wczoraj przerwaną," odezwie się baronowa tłumiąc uczucia, co jéj pierś wzdymały. »Przyrzecz mi że zniesiesz spokojnie wyrok niecofnięty, i będziemy przyjaciołmi, gdy inny związek łączyć nas nie może."

— »Czyż-to koniecznie kruszyć to ogniwo, co nasze serca mimowolnie spoiło?" zapytał z boleścią.

— »Koniecznie!" odpowiedziała ze stałością. »Ale przestań mówić tym głosem, zdradziecko zachwiewającym nasze postanowienie! krótki sen przeminiony, jeżeli chcesz, zachowaj w pamięci, ale wiedz razem, że już się wszystko skończyło!"

— »Dobrze!" odpowiedział: »jednakże kiedy przyjaźń łączyć nas jeszcze ma prawo, dla czegóż mam się oddalać? Ani słowa o miłości nie wspomnę; przysięgam ci to, na drogą dla mnie twoję spokojność, pozwól mi tylko żyć niedaleko od ciebie. Zostaw mi

pociechę widywania cię niekiedy, nie jak kochanki, lecz jak przyjaciołki!”

Myśl ta ją zadziwiła. »Nie wiem,” rzecze z wahaniem się. »Zapewne, mogłabym widywać cię jak przyjaciela; ale czy dotrzymasz stale twojéj obietnicy? Czy takie rozstanie się nasze, nie będzie tylko wybiegiem?”

Zehsen zbił jéj zarzut trafnie, i wprzód nim Lucya wróciła, zaprzysiągł uroczyście, że ani jednego słowa nie wymówi, ani jednéj się myśli nie dopuści; któreby pochodzić miały z innego uczucia jak z przyjaźni. W zamian otrzymał pozwolenie widywania czasem Kamilli.

U stołu rozmowa była zupełnie swobodna, często nawet wesoła i pełna dowcipu. Zehsen nakoniec zapuścił się był w rozmowę z Lucyą, a wzrok matki, często się zwrącał ukradkiem na piękną parę. W tym nagły pomysł, jak promień słoneczny, wypogodził jéj czoło. Tym częściéj, tym tkliwiéj spoglądać zaczęła na Lucyą, im więcéj Lucya zdawała się mieć upodobania w nieprzymuszonym wątku rozmowy.

— O gdyby nieba dozwoliły! — pomyślała Kamilla, — jakżeby mnie to uszczęśliwiło! Wszystko téż miało pozór, że jéj myśl sprawdzić się może, bo im więcéj ożywiała się wymiana wyobrażeń młodéj pary, tym

mocniéj, zwykle różane lica dziewczęcia, iskrzyły się ogniem poezyi, o któréj rozprawiano. W ówczas-to rzeczywiście była czarującą; a i w oczach Zehsena, malował się widocznie wyraz podziwu. Co wtenczas odzywało się w piersiach badającéj ich uczucia, musiała to przytłumiać, jako nowy zarodek złego, którego się strzedz powinna; wolała więc raczéj, obmyślać środki, jak pielęgnować to szczęście, które mogło bydź udziałem dwóch drogich dla niéj istot. Godziny szybko upływały. Już się zmiérzchać zaczęło, a Zehsen musiał pomyśléć o powrocie do domu: bo też nie było żadnego powodu usprawiedliwić mogącego dłuższy jego pobyt. Spojrzenie jego kiedy się żegnał z Kamillą, odezwawszy się głęboko w tajnikach jéj duszy, już tém samym było niejako złamaniem zaprzysiężonego przyrzeczenia. Poznała, że źle postąpiła, dozwalając zachwiać stałém jéj przedsięwzięciem rozstania się na zawsze; ale też tym szczerzéj przylgnęła do nowo-powstałego pomysłu, którego uskutecznienie zdawało się jedynym sposobem zabezpieczenia szczęścia i pokoju duszy. Z tego co Lucya mówiła o Zehsenie, i w jaki mówiła sposób, matka była bardzo ucieszoną. — Podobał się jéj, bo i czyż mogło być inaczéj, — pomyślała sobie.

— Zdają się być stworzeni jedno dla drugiego, i wkrótce poznają się lepiéj. Dotąd moja Lucya jest jeszcze zupełnie swobodna; spokojnie otwiéra swoje zdanie o nim, lecz jeszcze się uczucia w niéj nie obudziły: bo czyż to zawsze miłość się rodzi, na piérwsze spojrzenie, jak to zwykle w romansach opisują. Czy ja sama przez długi czas..... Tu przerwała swoje dumania, bo dotknęła przedmiotu, o którym myśléć nie chciała. Wolała więc zastanowić się nad sposobami, jakby uprzedzić Hohenrieda o stanie rzeczy, i pytała siebie, czy téż z jego strony nie zajdzie jaka przeszkoda? Straszny sędzia, którego przenikające spojrzenie, trudném jéj było do zniesienia, malował się w jéj duszy z taką siłą, iż nie mogła ustrzedz się mimowolnéj bojaźni. Jednak i tu znajdowała pocieszenie. — Właśnie to samo oczyści mnie w jego oczach, — mówiła do siebie. — Dotąd byliśmy w nieporozumieniu: cokolwiek zaś doleciało do jego uszu, było tylko bezzasadną wieścią, czczą plotką; ja do ostatniéj chwili byłam niepo szlakowaną, i nie raz mówiłam mu, że żadnych śledzeń bynajmniéj się nie lękam, że najmniejszego zarzutu zrobić mi nie można, i tak jest w saméj rzeczy! A teraz, mogę się zbliżyć do niego i powiedziéć: czegoż chcesz? Zehsen dla tego szukał mego towarzystwa, że się zwierzył przedemną ze swą miłością do naszéj

Łucyi, że prosił abym była jego powiernicą i opiekunką, wtenczas gdy się starać będzie o jéj rękę! Tak więc, i przed Hohenriedem i przed całym światem zupełnie się uniewinnie, i wszystko będzie dobrze.—

Tymczasem Zehsenowi plan baronowéj jeszcze i w myśli nie postał; miłość co go do niéj saméj przyciągała, nadto była silną, aby mógł był powziąść zamiar ożenienia się z jéj córką. O daną obietnicę nie wiele się troszczył, w gruncie serca, uważał bowiem że jego przyrzeczenie było przymuszone, że bez niego nie mógł widzieć swojéj ukochanéj, i że zatém bynajmniéj nie jest obowiązany dotrzymywać tego, co przyrzekł. Jednakże przez dni kilka nie chodził do Dornbergu.

Trzeba było bydź przezornym jedynie dla odwrócenia ciekawości ludzi dających na niego baczenie. Dla nich-to zaczął nieco zajmować się leśnictwem i łowiectwem, bo bez tego pan nadleśniczy, dowiedziawszy się od żony, o tém co nagadał strzelec Adam, chciał z całą otwartością mieszkańca lasów, powiedzieć Zehsenowi słowa prawdy, i jeżeli wstrzymał się jeszcze z niémi, to tylko dla tego, że go powściągało oddanie się Zehsena naukom.

Tak upłynęły cztéry dni, które były wiecznością dla Zehsena; lecz dłużéj nie mógł przenieść na sobie aby

nie poszedł do Dornbergu; w drodze pomyślał: — zajdę tam tylko na chwilkę, niby mimochodem i bez zamiaru. — Ta jednak chwilka, gdy się znalazł przy Kamilli, ciągnęła się kilka godzin; może czekał zejścia księżyca, aby przy jego blasku powrócić do domu. I cóż zyskał? przekonanie, że musi się pilnować szranków przez siebie samego zakreślonych, i niejakieś powątpiéwanie o niedość szczerém postępowaniu baronowéj. Lucya powróciła dość późno z przechadzki na górach, i będąc znużoną, mało należała do rozmowy. Podczas jéj niebytności, baronowa wyłącznie o niéj mówiła, i przerywała każdy zwrot mowy Zehsena, gdy ten groził niebezpieczeństwem. Zehsen odchodząc był mniéj wesołym, niż kiedy przychodził.

—»Takeś długo chodziła, Lucyo!" rzekła matka, »a tu Zehsen niecierpliwie oczekiwał na twój powrót."

—»Chodziłam bardzo daleko," odpowié Lucya. — »Jak tam pięknie! O gdybym sama sobie wiejskie mieszkanie obiérała, osiadłabym w górach. Teraz kiedy tutaj dom i ogród mamy, nie przeczę, że lubię nasze siedlisko; ale cóżto zamiłe uczucie bydź musi, stać tam daleko na owym szczycie, i módz powiedzieć sobie: te piękne góry do mnie należą!"

—»A jednakże nie wiém" rzekła matka: »czy twój ojciec oddałby wzamian swoje pola, za owe góry

hrabiego Königsborn. Posiadłości nasze nie są wprawdzie tak romantyczne, ale jest-to błogosławiona kraina, gdzie żyzna ziemia i zielone łąki, mają też swoję piękność, lubo różną od powabu gór."

—»Bez gór niéma pięknego widoku," powiedziała Lucya stanowczo.

—»To samo powiada Zehsen, i jego dobra w saméj rzeczy leżą między górami," przydała baronowa: »prawdziwie, można powiedziéć, żeście dla siebie dobrani."

—»Dobrani?" powtórzyła zadziwiona Lucya. »On zawsze się zgadza na to, co ja utrzymuję; a kiedy się odezwie, to mi się zdaje, że słyszę siebie mówiącą. Po niejakim czasie to mnieby znudziło. Ja kiedy mówię z mężczyzną, chciałabym nauczyć się czegoś od niego."

—»Zehsen, nietylko przez grzeczność nie sprzeciwia się tobie," rzekła baronowa, »ale téż może dla innych powodów, z jakichś tajemniejszych pobudek."

»To być nie może!" zawołała żywo Lucya.

—»Czyż ty byś nim wzgardziła?" zapytała matka, rumieniąc się sama na to pytanie. »Czyżbyś nie przyjęła jego serca, gdyby ci je ofiarował?"

—»On tego nie zrobi," prędko odpowiedziała Lucya, »a gdyby i zrobił, jabym go kochać nie mogła."

—»Niemogłabyś?" rzekła baronowa i zamilkła na chwilę; potém dodała: »więc on się ci nie podoba."

—»O nie!" odpowie Lucya, »on jest przystojny, zgrabny, bardzo przyjemny; ale miłość! —ja ją znam tylko z poezyi, i myślę.... O moja mamo! o czémże-to mówić zaczęliśmy? Nie ma co tém i myśléć!"

Baronowa nadto była zajętą staraniem ukrycia własnych uczuć, ażeby mogła dostrzedz pomieszanie córki Ozwała się więc, nie patrząc na Lucyą: »Przecież nie będę taiła przed tobą, że twój związek z Zehsenem uczyniłby mnie szczęśliwą."

—»Mamę szczęśliwą?" zawołała Lucya, zarzucając obie ręce na szyję matki. »O, jeśli to mamę szczęśliwą zrobić może, dla mnie nie ma żadnéj ofiary, któröjbym szczęścia mamy okupić nie chciała. Moja miłość ku mamie wyższa jest nad wszystko."

—»Nie, Lucyo!" żywo zawołała matka. »Żadnéj nie chcę ofiary. I ty nigdy jéj nie rób. Nie oddawaj twojéj ręki człowiekowi, którego nie kochasz. Jest-to najsmutniejsze przeznaczenie na ziemi. Jeśli bowiem tylko zimne i milczące serce poświęcone było małżonkowi, wówczas prędzéj czy późniéj upomni się ono o swoje prawa, i gdy się obudzi... biada mu!" Baronowa powstała i prędko wyszła z pokoju.

Lucya nie szukała w słowach matki tajemniczego znaczenia, jednak tknęły ją one głęboko i długo myślała o tém, co jéj powiedziano.—Gorzéj jest—mówiła w duchu,—jeżeli serce już się obudziło, a tymczasem oddać się trzeba temu, kto nie jest kochany.—

Matka jéj zapewne nie wymagała takiéj ofiary i owszem, gdyby ojciec żądał od córki, iżby wbrew skłonności oddała rękę, baronowa z całą mocą sprzeciwiałaby się woli męża. —Miłość się znajdzie, pochlébiała sobie, byleby Zehsen starał się ją podnieść. Trzeba żeby on ją lepiéj poznał; dotąd nieszczęśliwa namiętność go zaślepia, on ją jednak pokona z czasem, a wtedy potrafi ocenić przymioty Lucyi i musi ją ukochać! Długi czas obiedwie ani słowa o nim między sobą nie mówiły. Upłynął miesiąc cały, i lubo odwiedziny Zehsena nie były rzadkie, przecież ani o jeden krok, ulubiony zamiar baronowéj nie posunął się daléj. —Na przyszły raz będzie lepiéj, —tak myślała baronowa, i dla tego tylko, jak się jéj zdawało pragnęła przybycia Zehsena. Kiedy zaś on był przy niéj, kiedy jego oczy wyraźniéj niż język przemawiały, kiedy zostawszy się sam-na-sam, co chwila zapominał o swojém przyrzeczeniu i tysiącznemi sposobami przekonywał ją o zawsze gorącéj i niezmiennéj miłości swojéj, wtedy-to zajrzawszy wgłąb sumienia, musiała wyznać

baronowa, że i jéj serce również jak przed tém było jemu oddane, i że niebezpieczeństwo dla niéj jest tym większe, iż ma niejakąś osłonę. Rzadko nawet rozmawiali z sobą o Lucyi; a że ta, jak tylko mogła, prawie codzień chodziła w góry; zdarzało się więc nieraz, że nie wiedziała o odwiedzinach Zehsena w Dornbergu.

Jednego dnia o południu, dziewczę, swoim zwyczajem, gotowała się do wycieczki.—»Zapalona z ciebie goralka," odezwała się baronowa, kiedy córka przyszła ją pożegnać. »Tobie tylko na skałach miło przebywać, ale bądź ostrożna, żeby cię jakie nieszczęście nie spotkało. Ty zanadto jesteś śmiałą!"

—»O znam już teraz każdy wąwóz, każde miejsce niebezpieczne," odpowiedziała Lucya, »i umiém wdrapać się lub przeskoczyć gdzie potrzeba."

—»Ale matkę swą często zostawiasz samą," rzekła baronowa. »Czy nie zaniechałabyś dziś swéj przechadzki, gdybym tego żądała?"

—»Dla mamy!" odpowie Lucya z żywością, »jabym życie poświęciła." To mówiąc, zdjęła kapelusz z głowy.

—»Nie, ja tylko żartowałam," rzecze matka z uśmiechem. »Ty wiész, że się twémi przyjemnościami cieszę, a więc, bądź zdrowa!"

Dziewica pocałowała matkę i odeszła. Od bramy powróciła jeszcze zapytać matkę: czy rzeczywiście nie życzy sobie, aby wychodziła. Baronowa, wierząc nieco w przeczucie, chciała powiedzieć, że w saméj rzeczy wolałaby miéć ją dzisiaj przy sobie, ale się wstrzymała, a Lucya poszła.

Powietrze w górach było bardzo przyjemne; skwar letni ochłodziła ulewa ostatniéj nocy. Deszcz odświéżył zioła; wszystko jaśniało żywą zielonością. Lucya szła ścieżką wiodącą do Schwarza przez góry, i doszła do miejsca, gdzie wytryskało źródło, którego wody daléj w potok rozlane płynęły po urwiskach i zawadach rozmaitego rodzaju. Przebyć ten strumień w jego pędzie było niebezpieczno, i Lucya dotąd nie odważyła się na to, jakkolwiek obudziło jéj ciekawość tajemnicze niknienie wód pomiędzy skałami, co z góry dostrzegała. Jednakże dzisiaj śmiałe dziéwczę uczuło chęć dogodzenia swojéj ciekawości z żywością, którąby się mógł chełpić najśmielszy goral; zsuwała się więc z jednego ułamku skały na drugi; nieraz żeby nie upaść, musiała się imać gałęzi drzew, kiedy mech zwodniczy ślizgał się pod jéj nogami; nieraz, odpoczywając, roszoną była wodą o kamienie roztrąconą i wzrok jéj błądził z podziwieniem po tych massach kamieni porozrzucanych tu i owdzie, a jednak nieporuszenie zostających na miejscu od tak dawnego czasu, że o nim nikt nic nie wié. Idąc daléj ścieżką

którą sama sobie torowała: bo tam i śladu stóp ludzkich nie było, doszła do miejsca, kędy strumień wpadał pod stromą skałę i tam kończyć się zdawał, jakby w jéj ścianę wsiąkając, gdy tymczasem znajdował sobie w głębi inne ujście, z góry niedostrzeżone. Lucya chciała jeszcze cokolwiek iść daléj, gdy wtym nagle ponad jéj głową rozległ się wystrzał. Spojrzawszy na najbliższy cypel, z którego wystrzał ten zdawał się pochodzić, postrzegła człowieka, dającego jéj skwapliwie znak ręką, a gdy mu się bliżéj przypatrzyła, poznała starego strzelca, którego spotkała w piewszéj swojéj wycieczce na górę Frauenberg. Szydził wówczas z jéj niedoświadczenia i obawy; przypomniała to sobie zawstydzona; ale teraz za to miał ją poznać. Niezastanowiwszy się ani chwili, skoczyła z piérwszego skał odłamu, mignęła daléj jak błyskawica, przez rozpadliny i dészczowe parowy, chwytając się krzewów, i chociaż bez tchu, stanęła na ostatnim cyplu, gdzie strzelec z głośnym poklaskiem śmiałą jéj podał rękę i zejść dopomógł.

—»Do stu katów, moja panienko, istny z ciebie czarcik!" z podziwieniem starzec zawołał.

—»A co, czy nie nauczyłam się teraz łażić po skałach?" z wesołym spytała Lucya uśmiéchem. »Czy jeszcze masz mnie za damę z miasta?"

—»Ja nigdy pannę za wielką damę nie miałem,"

rzekł Adam. »Ale do kata, jak mi się zdaje, panna znowu chcesz odwiedzić kuchnią czarownic? "

— »Czy ten potok do niéj prowadzi?" spytała Lucya. »Chciałabym bieg jego poznać."

— » O mój Boże, gdyby za każdą wodą przyszło bieżeć! » odpowiedział Adam. — »Powinnaś panna dziękować Bogu, żem tutaj przyszedł; czy nie słyszałaś jakem wołał? Musiałem wreście wystrzelić, bo mi się zdawało, że panna jesteś głucha. Ale muszę wyznać, żeś się prawdziwie jak kot drapała po skale."

Lucya, drugi raz będąc mu już winna wdzięczność, spytała jak się nazywa i gdzie mieszka.

— »Czy panny narzeczony nic o mnie nie powiedział? Jestem stary Adam ze Schwarza" — rzekł strzelec.

— »Narzeczony? » krzyknęła Lucya. »I któż-to taki? Nie znam nikogo, coby posiadał prawo do podobnego nazwania.

— » Daj-no pani temu pokój! — Zresztą, co mnie do tego !" rzekł Adam.

Lecz Lucya wymagała koniecznie bliższego objaśnienia, i wybuchnęła gniewem, usłyszawszy nazwisko Zehsena.

— »Czy on to sam powiedział? »spiesznie zapytała. »Lub jest-że to tylko niedorzecznym domysłem? W jakimkolwiekbądź razie, mogę ci przysiądz, panie Adamie, że to jest kłamstwem, i możesz to w mojém imieniu powtórzyć."

—»Bardzo mi przykro, że tutaj nie ma pana hrabiego," odrzekł Adam. »Był wczoraj w Schwarza, i właśnie w otwartém oknie broń moję czyściłem, mógłem więc wszystko słyszéć, co pan hrabia rozmawiał z tym paniczem, gdyż siedzieli na ławce w dziedzińcu."

—»Hrabia Königsborn?" wykrzyknęła Lucya, mocno zdziwiona.

—»Tak jest, nasz młody pan," rzekł Adam. »Zaczął naprzód tego panicza, Bóg go tam wié czém on jest, na słówka wyciągać, i wydało się nakoniec, że... no, moja panienko, wszakże kobiéta na to jest stworzoną, aby szła za-mąż, i za-cóż panienka ma się tak bardzo gniewać? przecież to się nie ukryje, jak zostaniesz jego żoną."

—»To zgroza! to hańba!" krzyknęła Lucya, a oczy jéj błyskawice ciskały. »I on się odważył, podobne wyrzéc kłamstwo! I jeszcze do niego...!" Najgwałtowniéj była wzruszoną.

—»To więc skłamał?" rzekł Adam. »Doprawdy, sam człowiek teraz nie wié, czemu ma wierzyć!"

—»I cóż powiedział na to hrrabia?" żywo spytała Lucya.

—»Pan hrabia nic nie powiedział," rzekł Adam, »pozwolił mu gadać, a sam ciągle patrzył na swoje bóty. Wstał nareszcie, przebąknął coś o bólu głowy, położył rękę na czole, a gdy wszedł do pokoju, słysza-

łem, że mu doprawdy musiało się źle zrobić, bo wzdychał jak kobiéta.”

Lucya nic na to nie odpowiedziała. Starzec ofiarował się pokazać jéj drożynę, którą wygodnie mogła dostać się do Dornbergu. Przystała na to, i zdawała się nawet być pocieszoną po kłamstwie Zehsena, gdyż uśmiéch chwilami twarz jéj rozjaśniał. Adam stawał się dla niéj coraz przychylniejszym, i przez całą drogę gadał, ale o rzeczach, które bynajmniéj Lucyą zająć nie mogły. Gdy nakoniec na ostatniém stanęła wzgórzu, raz jeszcze spytała: »Czy prócz tego, Zehsen nic więcéj o mnie nie powiadał? Powiedz mi wszystko co mówił!”

— »? Niech Bóg zachowa! nic złego,” odpowiedział Adam. »Tylko, że pani serce pozyskał... czy jak on tam mówił.... bo ja się nie znam na tych wszystkich pańskich wyrażeniach!... Gdybym tylko mógł powiedziéć panu hrabiemu, że przed nim skłamał! Mój dobry pan, dziś jeszcze przy pożegnaniu z całego serca życzył mu szczęścia, — a to jednak jakaś szatańska sprawka — no, łepiéj o tém zamilczéć.”

Lucya prosiła, aby kiedy przyszedł do Dornbergu; i przyjaźnie uściskawszy mu rękę, pośpieszyła, by matce z całym jeszcze zapałem oburzenia, udzielić téj powieści.

Matka, zamknięta będąc w swoim pokoju, nie zaraz otworzyła na wołanie córki, a ta wszedłszy, zdziwiona, pytała o przyczynę.

—»Pilne listy!" rzekła baronowa, wskazując na biórko. »Chciałam, aby mi nikt w pisaniu nie przeszkadzał."

W istocie mnóstwo rozrzuconych papierów leżało na biórku.

Lucya wynurzyła co miała na sercu, podczas gdy matka listy porządkowała. Opowiadanie to nie zdało się najmniejszego czynić na niéj wrażenia, bo nie porzuciła swego zajęcia, i rzekła tylko: »Musiał pewnie stary niedosłyszéć, albo nierozumiéć. Wiém tylko, że powiadano hrabiemu Königsborn, iż ręka twoja, bardzo uszczęśliwiłaby pana Zehsen.... (zdawało się, że to nazwisko z widocznym wymówiła przymusem) więcéj nic nie wiém."

—»Czy był tutaj Zehsen?" spytała Lucya.

—»Nie," odpowiedziała matka, z widocznem wzruszeniem i głosem niewyraźnym.

Lucya nie przestała mówić o Zehsenie, i nadmieniła, że go kochać nie może, chociażby innym mógł się wydawać najbardziéj kochania godnym. »Chociażby Adam źle nawet zrozumiał," rzekła, »zawsze jednak jestem obrażona, że w ten sposób o mnie mówić się ośmielono. Czyż hrabia nie może pomyśléć że już prawie jestem Zehsenowi zaręczoną?"

Mówiła jeszcze przez chwilę, a matka jéj nie przerywała, poszła potém zająć się domowemi zatrudnieniami.

Gdy usiadły do stołu, uderzyła Lucyą bladość matki; spytała więc troskliwie, czy nie słaba? Nagły rumieniec jak gorączkowa czerwoność, zapłonął na licach baronowéj: »Skądże ci się to wzięło moje dziécię?" spytała. »Jestem zupełnie zdrowa, upewniam cię."

Lecz troskliwość córki nie dała się tak łatwo oszukać; błagała z naleganiem, aby nic przed nią nie ukrywała, gdyż obawa złego daleko jest przykrzejszą od saméj pewności; jeśli czuje się słabą, trzeba natychmiast wezwać doktora.

Matka powtórzyła zapewnienie, że jéj nic nie dolega. Musiała na tém poprzestać Lucya, jednak oczy jéj przez cały wieczór spoczywały na matce, z wyrazem wątpliwéj niespokojności, gdyż całe jéj obejście wykrywało słabość i znękanie, które nadaremnie starała się ukryć pod udaną wesołością.

V.

Zamek hrabiego Königsborn, w dosyć nowym zbudowany stylu, i należące doń miasteczko, położone było na ostatnich gór pochyłościach. Piękna okolica, licznie śród lata od podróżujących była zwiedzaną; a nieznośna gospoda, któréj nigdy jednak niespodziewano się polepszenia, gdyż była jedyną, rzadko wolną była od gości. Tylko gdy w Lipcu ciągłe deszcze

padać zaczęły, zebrali się wszyscy wędrownicy, i gospodarz, po tak długich pustkach, ujrzał z niewymowną radością, nadjezdżający znowu podróżny pojazd. Lecz radość jego wprędce zmieniła się w nieukontentowanie, gdy jedyny podróżny, który wysiadł z powozu, spytał natychmiast: — czy hrabia jest w zamku? a że gospodarz zaprzéć tego nie mógł, udał się tamże, i więcéj się nie pokazał.

Zameldowano hrabiemu barona Hohenried. Königsborn, siedzący właśnie z matką u stołu, skoczył radośnie i pośpieszył sam na jego przyjęcie, serdecznie nazwał pożądanym gościem, i zdziwionego prawie barona zaprowadził do matki, z którą ten znał się już oddawna. Sędziwa matrona, która od śmierci męża prawie całkiem usunęła się od świata, wielce była uradowana, mogąc dowiedziéć się znowu czegoś o ludziach i stosunkach zajmujących ją niegdyś, i przez cały wieczór rozmawiała z baronem.

Nazajutrz dopiéro, przy śniadaniu, znaleźli mężczyzni sposobność rozpoczęcia przyjemniéjszéj dla siebie rozmowy. Zaczęli naprzód mówić o gospodarstwie, potém o potocznych, nakoniec o ważniejszych interesach, a Hohenried zadziwił się, znajdując w młodzieńcu tyle rozsądku i gruntowności, rzadko postrzegać się dających w starszych nawet ludziach jego stanu.

Gdy nakoniec służący przerwał im rozmowę, spytał Hohenried: — Czy podczas nieobecności jego hra-

bia był w Dornbergu, i czy nie wiedział czego o jego rodzinie?

Hrabia odpowiedział: — Iż pomimo największego życzenia, nieśmiał odwiedzać dam przed powrotem gospodarza domu, lecz był w Schwarza, i jak najlepsze miał wiadomości. — Skinieniem oddalił czekającego lokaja.

—»Bardzo mało jeszcze obeznany jestem z mojém sąsiedztwem," rzekł Hohenried. »Któż-to mieszka w Schwarza?"

—»Schwarza do mnie należy. Mieszka w niéj nadleśniczy Böhm, bardzo poczciwy człowiek."

—»Czy moja rodzina ma z nim jakie stosunki?"

—»Nie, lecz pan Zehsen...."

Nie mógł hrabia skończyć, gdyż Hohenried wybuchnął jakby sztyletem ugodzony:

—»Zehsen! Jakiż ma ztém związek Zehsen?"

—»Znajduje się teraz w Schwarza," rzekł Königsborn, zdziwiony i niespokojny, (bo Zehsen powiedział mu niedawno, iż zezwolenie ojcowskie na piśmie przybyło). Miałżebyś pan... nie wiém, panie baronie, czy powinienem wspominać o stosunkach...."

—»Jakich stosunkach?" krzyknął Hohenried, z rozpłomienioną twarzą i iskrzącemi od gniewu oczyma. »Kto się zemną strzelać niechce, niechaj się strzeże przypuszczać nawet cóś podobnego!"

Hrabia w wielkim był kłopocie. »Proszę więc najpokorniéj o przebaczenie," rzekł, »sądziłem, że to było z pańskiém zezwoleniem."

— »Panie hrabio!" krzyknął znowu Hohenried, drżąc wszystkiemi członkami. »Sądziłeś mię więc całkiem honoru pozbawionym!"

Königsborn przeląkł się jego gwałtowności.

— »Zaklinam cię, baronie," zawołał, »chciéj mnie mieć za usprawiedliwionego! Czyż związek córki twojéj z panem Zehsen, miałby w czém nadwerężać sławę twego domu? Pan Zehsen znany mi jest jako człowiek honorowy."

Baron spojrzał na niego osłupiałemi oczyma; rysy jego twarzy mocno jeszcze były zmienione.

— »Sądziłem," mówił daléj Königsborn, »że pan jesteś o wszystkiem uwiadomiony; inaczéj... inaczéj nigdy nie byłbym się odważył...."

— »Prosisz mnie o przebaczenie za moję porywczość!" przerwał mu Hohenried. »Niepotrzebujesz żadnego usprawiedliwienia. Błagam cię tylko o szczérość i przyjaźń....."

Nie był jeszcze zupełnie spokojnym; ręce jego drżały, gdy je obiedwie wyciągnął ku hrabiemu, jak gdyby błagając jego pomocy. Człowiek prawy, pierwszy raz takiego doznawał wzruszenia, szybko téż ono przeminęło.

— »Pozwól, abyśmy otwarcie i szczerze z sobą pomówili," rzekł, przyszedłszy do siebie. »Zehsen rości więc sobie nadzieje do ręki mojéj córki?"

— »Dość dawno przebywa już w Schwarza," niechętnie odpowiedział hrabia, — »i o ile wiém, spodziewam się że miłość jego uwieńczoną zostanie."

— »Będę musiał słówko z nim pomówić, — ze wszystkiémi tam pomówić," odparł Hohenried mocnym głosem. »Jeśli córka moja serce mu oddała, niechaj się dowié, co się święci, bo pomiędzy nim a nią, stawa moje przekleństwo!"

Długa, głucha przerwa nastąpiła po tych słowach; hrabia nie śmiał jéj przerwać.

— »Raczysz mnie hrabio wymówić przed szanowną swą matką, że bez pożegnania w dalszą puszczam się drogę," odezwał się znowu Hohenried. »Łatwo pojmujesz, że mi spieszno do domu."

Nie miał mu hrabia nic na to zarzucić; mimo różnicy wieku pożegnali się obaj jak najserdeczniéjsi przyjaciele, a baron, ściskając rękę hrabiego, po kilkakrotnie prosił, aby go niezadługo w Dornbergu odwiedził. »Przez ten czas," rzekł, »przywróci się spokojność w moim domu."

Całkiem inaczéj jednak się stało; bo zaledwie godzina upłynęła, przynieśli go wieśniacy nazad na noszach do miasteczka. Zbytni pośpiech, do którego przynaglał stangreta, stał się przyczyną jego przypadku,

powóz wywrócił się na wyboju i baron w dwóch miejscach nogę złamał. Leżał opuszczony w nędznéj gospodzie, przewidując długą kuracyą, mogącą go jeszcze kilka tygodni od domu oddalić. Königsborn stał się pocieszycielem jego w tak smutném położeniu. Skoro się dowiedział o jego przypadku, kazał go natychmiast przenieść do zamku, a hrabina zajęła się najtroskliwszém o nim staraniem. Wszakże zazdrość i obawa z powodu stosunków, jakie zachodzą w Dornbergu, dzień i noc go dręczyły i opóźniały wyleczenie. Zabłysła mu nakoniec chwila spokojniejsza.

— »Jużem tyle zaciągnął względem pana obowiązków," rzekł do hrabiego, »iż nie śmiem jednéj jeszcze zanieść doń prośby. A jednak ufam, że nie odmówisz starcowi, jeśli cię obarczy poselstwém do swojego domu".

— »Życzysz pan sobie, abym pojechał do Dornbergu" zawołał hrabia. »Z największą chęcią!"

— »Chciałbym panu dać list do żony," mówił daléj Hohenried. »A przytém miło by mi było, gdybyś mi przywiózł pewność, czy moja Lucya prawdziwie... lub czy to wszystko jest tylko nikczémnym podstępem, maską." Ponuro zmarszczył czoło i zamilkł. Krew wrzała w udręczonéj jego piersi.

Hrabia obiecał wybadać i przeniknąć wszystko; sam choremu podał do łóżka co było potrzeba do pisania, przygotował się potém do odjazdu, i w pół godzi-

ny po téj rozmowie, już powóz jego toczył się między górami. Wszakże i dla własnego serca miał także pewność pozyskać... niestety! smutną może pewność.

Podczas jego nieobecności, matka podwoiła jeszcze troskliwość około gościa. Po całych godzinach przesiadywała przy nim, starając się go rozweselić. Często mówiła o swoim synu, z największą wychwalając go czułością; a gdy baron z przekonaniem pochwały jéj potwierdzał i oświadczył, że miałby się za najszczęśliwszego, gdyby podobnego posiadał syna, z prawdziwie niewieścią sztuką napomknęła: że związek pomiędzy ich dziećmi, ze wszystkich względów bardzo byłby stosowny i pożądany.

— »Bezwątpienia!" zawołał baron. »Moja Lucya mogłaby się mienić szczęśliwą, a ja nikogo nie powitałbym tak radośnie zięciem, jak hrabiego."

— »Czy doprawdy?" spytała hrabina. »Powiém panu, że przed rokiem syn mój kilkakrotnie widział jego córkę w mieście, na przechadzkach, nie wiedząc nawet o jéj nazwisku. Aż tego lata z zachwyceniem ujrzał w towarzystwie pana barona tę panienkę, któréj obraz ścigał go nieustannie."

Przypomniał sobie baron to spotkanie, i długo jeszcze rozmawiali o przedmiocie, otwierającym przed nimi widok tak gorąco upragnionéj przyszłości, dopóki hrabina nie wspomniała o mniemanym związku jego córki z Zehsenem; lecz baron w krótkich ją za-

pewnił słowach, że o tém mówić nawet nie warto gdyż to musi być tylko płonnym wymysłem.

VI.

Smutne dni przeżyła Lucya; dni ciężkiéj obawy Matka, jak się zdawało, prawdziwie była chorą; chociaż cierpienie jéj wyraźnéj jeszcze nie przybrało cechy, doktor się jednak lękał, aby z tego nie wyniknęła gorączka nerwowa. Pani Hohenried była w najwyższym stopniu drażliwą; cierpiała peryodyczny ból głowy, zupełne osłabienie i opadnięcie na siłach; taiła się jednak ze swą słabością i usiłowała taką jak dawniéj się okazywać. Doktor utrzymywał zrazu, z uśmiéchem, który Lucyą do głębi duszy przeszywał, że nie ma nic niebezpiecznego; lecz praktyczne jego spojrzenie, przekonało go wkrótce o błędzie tego wniosku, i starał się, ale nadaremnie, ukryć prawdziwą przyczynę choroby, śledząc bacznie jéj postępy. Lucya ani na chwilę nie opuszczała matki, a ta troskliwość, wszelkiego pozbawiała ją spoczynku.

— »Dręczysz się niepotrzebnie," mawiała często baronowa z przymuszonym uśmiéchem. »I cóż mi brakuje? czasami tylko boli mnie głowa i trapi bezsenność; nic mi więcéj nie jest, sam tylko czas najlepiéj mię uléczy."

Tak pocieszała córkę, lecz sama nie miała nadziei, gdyż zbliżała się chwila, w któréj stanąć miała przed obliczem, na które nigdy bez zgrozy i śmiertelnéj bojaźni spojrzéć nie mogła. Zehsen był kilka razy w Dornbergu; nigdy jednak przyjęty nie został. Baronowa wymawiała się zawsze bólem głowy, a Lucya nie mogła przemódz na sobie, aby przemówić do człowieka, który tak dalece niechęć jéj ściągnął na siebie. —Niechaj pozna, mówiłasama do siebie, że się niczego odemnie spodziewać nie powinien!

Wiedział dobrze o tém Zehsen; a wieść, którą w Schwarza rozgłosił o przyczynie swego w niéj pobytu, przymuszoném była tylko kłamstwem, mającém niezadługo zniknąć przed rzeczywistością. Nadleśniczy zrazu szemrał, ale żona jego, zajmująca się miłością pięknego młodzieńca, łatwo dała się uprosić, aby pozyskał w jéj domu mieszkanie, chociaż nie był miłośnikiem leśnictwa, i Zehsen pozostał. Usłyszawszy to stary Adam, potrząsnął głową: »Sama mi powiedziała, że ani słyszéć nie chce," pomruknął; »A panicz znowu w inną piszczałkę grać zaczyna. Myślałem, żeśmy już jastrzębia z kniei wygnali, a on znowu jakiś szatański knuje figiel."

Lecz pani nadleśniczyna nie zważała na gadaninę starego; on zaś postanowił, przy pierwszéj zdarzonéj sposobności, pójść do Dornbergu, gdzie od ostatniego spotkania z Lucyą ciągle się wybiérał, aby na dra-

pieżnego ptaka, jak nazywał Zehsena, samołówkę zastawić.

Zehsen znajdował się w nadzwyczaj dręczącém położeniu. Sądził, że całe słońce miłości życie jego rozjaśni, aż zamiast tego, choć tak bliskim był swéj ukochanéj; wzbronny mu był do niéj przystęp; dowiadywał się tylko ze sprzecznych wieści, że była chorą, a myśl ta mocno go trapiła. Napróżno błagał Kamilli, aby dozwoliła choć chwilę z sobą rozmowy; z zimném przeproszeniem ciągle mu tego odmawiała. Nagle ogarnęła go obawa, czy Kamilla tym sposobem nie chce wszelkie zerwać z nim stosunki. Nie posiadał się z rozpaczy, gdy myśl ta przyszła mu do głowy. Miłość jego, któréj zapał i wytrwałość na pogardę nie zasługiwały, miłość jego nie znała innych praw, prócz własnych, innych obowiązków, prócz tych, co ją krępowały.

Jakże mógł ją zwalczyć, gdy mu na wszelkiéj zbywało broni; gdy nie nawykł nigdy do zakładania jakichkolwiek swoim uczuciom granic; gdy skoro wyszedł na świat panem własnéj woli, zawsze moralność wystawiano mu jako płonną igraszkę? Miłość była słońcem jego teraźniejszości; koniecznie więc musiał się przeświadczyć, czy tylko chwilowo się przyćmiło, by z większém zajaśniało blaskiem, lub czy też na wieki promieni mu swoich odmawia.

Po skwarnym dniu nastąpił wieczór, — luby wieczór, ze świéżą rosą i księżyca światłem. Lucya wyszła do

ogrodu; matka jéj doświadczała dzisiaj większéj jak zwykle draźliwości; lada szelest ją niepokoił, przejeżdżający powóz śmiertelnie przerażał; niedawno-co zasnęła, a wierna córka, cały dzień przepędziwszy w dusznym pokoju, korzystała z téj chwili, aby odetchnąć świéżém nocy powietrzém, wypłakać się i nabrać sił na dzień następny.

Wtym usłyszała chód czyjś; jakiś mężczyzna zbliżył się; zadrżała na samę myśl kto to być może, gdy się stary Adam ukazał. »Dobry wieczór pani," powitał ją. »Nasz pan przyjechał i list przysyła,"

—»List od hrabiego?" spytała zdziwiona Lucya, odbiérając go.

—»Tak jest; przed dwiema godzinami przyjechał pan hrabia," odpowiedział Adam. »Bardzo był wesoły, szczególniéj gdy mi list oddawał, a pani nadleśniczyna mniema, że niezadługo ma się żenić. Dawno już o tém ludzie mówią, może to i prawda!"

Lucya poniosła w milczeniu list do oczu, i usiłowała przy księżycowym blasku adres przeczytać, lecz nie mogła. »Pan hrabia przywiózł list ten z sobą," objaśnił ją Adam; »a że się dowiedział od panicza tam u nas, u którego dość długo bawił, że pani w Dornbergu jest chorą, musiałem tu jak najprędzéj pośpieszać; list ten jest od ojca pani, a jutro sam pan hrabia złoży swoje uszanowanie."

—»Od mojego ojca!" zawołała Lucya uradowana.

—»Tak jest," rzekł Adam; »mam tu jeszcze drugi od panicza, który mi gwałtem na drodze wcisnął ten hultaj jego lokaj.... Miał go tu sam przynieść, niegodziwy leniuch, ale się tak może lepiéj stało; byle go tylko nie przeczytał, bo powiedział, że się pieczątka złamała; oto jest: zrób pani z nim co się podoba!"

Lucya, innemi myślami zajęta, nie słyszała tego prawie, i mechanicznie list przyjąwszy, pożegnała rześkiego strzelca, i wyszła z ogrodu. Raptem, mowa Adama, zdała się przebudzać w jéj uchu.—Od Zehsena?—pomyślała z niechęcią.—Śmié do mnie pisać? I służący jego list ten czytał? Powinnam była go nie przyjąć ale odesłać! Powinna byłam!—Lecz już było zapóźno, i pomimo zasmucenia, z ciekawością poszła do swego pokoju przeczytać, coby ów natręt mógł do niéj pisać. Wsunęła się jednak pierwéj do sypialni matki; ta drzémała jeszcze, lecz czuwająca przy niéj służąca powiedziała jéj z cicha, że się kilka razy zrywała z przestrachem i coś przez sen mówiła. Lucya postała chwilę przysłuchując się niespokojnemu oddechowi śpiącéj; potém, chcąc jéj radość sprawić za przebudzeniem, położyła na kołdrze list od ojca, i oddaliła się. Nie było światła w jéj pokoju; zapomniała je przynieść z sobą, i musiała dopiéro świécę zapalać, co jeszcze bardziéj niecierpliwość jéj zwiększyło; zapaliwszy świécę, otworzyła śpiesznie list od Zehsena, i już piérwsze wyrazy: »Życia mojego pani!" oburzyły ją niewymo-

wnie. Lecz czytała daléj, własnym oczom zaledwie dowierzając; ognisty rumieniec na twarz jéj wybił, i aż czoło nawet powlekł; zatruty papiér drżał w ręku dziewicy, chciała go odrzucić od siebie; pierwszy raz występek ośmielił się bezczelnie do niéj przybliżyć, lecz piekielna jakaś potęga wzrok jéj krępowała, aż nakoniec, odchodząc prawie od siebie, napadła na miejsce, zawierające imię Kamilli, aby na niém cechę hańby wypiętnować; blada jak śmierć, ostatnie zbiérając siły, odwróciła list aby adres przeczytać: list pisany był do jéj matki! Do żadnéj myśli niezdolna, niepojętemi ścigana widziadły, rzuciła się na łoże, a dusza jéj ciemno tylko pojmowała okropne jakieś nieszczęście, i jedyném jéj życzeniem było: umrzéć. Tak leżała, w osłupiałéj bezwładności; zwolna budzić się zaczynały władze jéj pojęcia, i jakieś mgliste niby przekonanie całkiem ją przebudziło. Wtym pokojówka wbiegła z krzykiem: »Na miłość boską! chodź panna czém prędzéj! Pani w tak okropnym jest stanie!”

Zapominając wszystkiego chwilowo, zerwała się Lucya. Dawna miłość przygasiła na chwilę pochodnią niezgody, mającą wyniszczyć w jéj sercu zaród uczuć najświętszych, i jedyną myśl jéj pozostawiła: Matka jest w niebezpieczeństwie! — A niebezpieczeństwo to większém było daleko, niżeli domyślać się mogła. — I baronowa także list przeczytała; list całkiem innéj treści! Nie wzmiankował on o zmysłowych żądzach

miłości, wyrazy jego nie tchnęły przymileniem i ponętą, nie wciskały się łagodnie i błogo do serca czytającéj, lecz wstrzęsły je do saméj głębi, jak gdyby piorun z najokropniejszym hukiem uderzył nad jéj głową; jak gdyby pan, w całym majestacie straszliwéj swojéj potęgi, stanął przed nią i żądał usprawiedliwienia.... W gorączkowym obłędzie zèrwała się z łóżka i padła na kolana, załamując ręce, i w obłąkaniu, bez związku wymawiając wyrazy, tak, iż czuwająca nad nią kobiéta, zaledwie mogła znaleść dość słów i siły, aby ją znowu złożyć na łóżku. Na-nowo dzikie owładnęły ją marzenia, a Lucya sama prawie w obłąkaniu, usłyszała potwierdzenie tego, co udręczone jéj serce zaledwie przypuścić śmiało. Gdy obłęd choréj zwolna uspokajać się zaczynał, i w letargiczne prawie wpadać zaczynała uśpienie, Lucya piekielnym jakimś powodowana popędem, pochwyciła list ojca, i czując prawie rozprzęgające się siły całéj swojéj istoty, a jednak, chcąc go przed wszelkiém ukryć okiem, śpiesznie wybiegła z sypialni matki.

Głęboka cichość uśpioną zalegała okolicę; księżyc mile igrał z mroczném drzew zacieniem, dalekie lasy i wzgórza wybitnie się malowały w swych zarysach subtelném oblane światłem. Był-to obraz najłagodniejszego spoczynku, zdolny ukoić najdzikszą namiętność i w lubą tęsknotę zamienić walki udręczonéj piersi. Lecz ta święta cisza przyrody najmniejsze-

go wrażenia nie czyniła na Lucyi ; obłąkane jéj oczy martwo toczyły się po cudownym krajobrazie, kąpiącym się w pełniowym blasku. Padła na kolana; w milczeniu wzniosła załamane ręce ku niebu, lecz skamieniała, opustoszała dusza, żadnéj modlitwy znaleść nie mogła, a bliżéj, co-raz bliżéj objawiała się myśl, z któréj niegdyś, w płochych, fantastycznych pomysłach, igraszkę sobie czyniła; co-raz się bardziéj zbliżała, jak gdyby zagrażając jéj straszliwém słowa dotrzymaniem, czyhając jak rączy tygrys na sposobną chwilę.

— I jest-że ci jeszcze żyć podobna? jakowyś wewnętrzny głos się odzywał. —Nie straciłażeś wszystkiego, co ci drogiém i świętém było? Jego i ją? Jakże odtąd ośmielisz się spojrzéć matce w oczy! Na tę myśl głośno wykrzyknęła, i śpiesznie zaczęła uciekać pomiędzy ogrodowemi krzewy, jak gdyby mogła przed rzeczywistością swojéj niedoli się uchronić.

Straciła wszystko, jakże mogła znaleść siłę, pozostać niezachwianą, gdy piorun ugodził ponad jéj głową, w najświętszy uczuć jéj przybytek? Czyż zwaliska w upadku swoim zagrzebać ją nie miały? Mogłaż się daléj krzewić wątła latorośl, pozbawiona podpory opiekuńczego ducha?—Nigdy!—wołał tajemny głos w jéj duszy.

Zapał nadziemskich marzeń, błyskał w jéj oku; podniosła oczy do góry, i postrzegła księżycem oświeco-

ny szczyt Frauenbergu, jasno odbijający od północnego ciemnego nieba. Tam jedynie było dla niéj schronienie. Lekki skok uwolnić ją mógł od wirów życia, pełnego cierpień; przepaść, lekką śmierć-by jéj nastręczyła; jezioro przyjęłoby ją w czarne swoje głębiny, i na wieki przed ludzkiém ukryło okiem. —Śmiało do jeziora! Los mię wzywa! w największym wykrzyknęła zapale. Podwakroć mię już wzywał, ale głosu jego nie zrozumiałam; podwakroć zwabiał mnie na brzeg téj przepaści!.... Gdybym w ówczas wezwań jego usłuchała, jakichżebym uniknęła cierpień!" Raz jeszcze ręce wyciągnęła. Matko! niechaj Bóg użyczy ci pokoju! A ty, najmilszy, bądź szczęśliwy! Obyście nigdy nie dowiedzieli się jak życie zakończyłam! Śmiało, nikt mnie nie widzi!

Dalekie tony, jak śpiew, który cichość wieczorna po górach roznosi, zdawały się w ostatnim towarzyszyć jéj biegu; co-raz mocniéj wybijały się z głębi padołu i dochodziły Lucyi. Było to niejako pożegnanie od świata; uderzyło ją niezmiernie,.... wstrzymała krok, i słuchać zaczęła. Bliżéj, co-raz bliżéj, rozlegały się tony... był-to chór mężkich głosów w pieśni pobożnéj, któréj słowa kiedy-nie-kiedy do niéj dochodziły. Znała Lucya tę pieśń; nieraz śpiéwała ją w kościele, niedoznając ani wrażenia, ani rozczulenia, kiedy teraz, w uroczystéj chwili, śpiéw ten tak silnie wstrząsł jéj duszę. Poważny śpiéw, uroczystą swoją

harmoniją co-raz to mocniéj przemawiał do serca o błąkanéj i wléwał w nie potok świętéj swojéj otuchy; pobożna jego potęga zwycięzko uderzyła umysł Lucyi i cuda w nim zdziałała. Prysła namiętna walka rozpaczy; oczy jéj znowu łzy znalazły, a dusza pokorę. W milczeniu skłoniła głowę, założyła ręce na piersi i uległa wpływowi czarodziejsko działającemu na jéj duszę, zaledwie wiedziała, czego chciała pierwéj; potęga wiekuistéj prawdy stłumiła głos pokusy.... zgasł błędny zabłysk, co wzrok jéj oślepił, czuła wprawdzie opuszczona cały ogrom swéj boleści, na młodocianéj duszy, lecz już zaniechała występnego zamiaru zrzucenia go wraz z życiem; poddała się woli niepojętego, szukając tam pomocy, gdzie dziécię szuka jéj i znajduje. Ktoby chciał zaprzeczyć potęgi chwili podobnéj, bodajby sam jéj doznał dla własnego szczęścia!

Dawno już przebrzmiał śpiéw wracającynh górali; jeszcze stała dziewica pod nocném niebem, a dusza jéj zdawała się całkiem od obecnéj chwili być oderwaną. Nikt zgubionéj nie widział; żadna ludzka ręka nie wstrzymała ją w wyrocznéj chwili zaguby: wyższa moc się w to wmięszała, jak nieraz mięsza się do naszych przeznaczeń, chociaż na to nie zważamy.

Odzyskała nakoniec Lucya przytomność i wróciła do domu, drżąc na wspomnienie grożącéj przyszłości. W domu zastała świéżo przybyłego lekarza, po które-

go jak najśpieszniéj posłano; wypytywał się o przyczynie i symtomatach słabości, i niezbyt zadowolony objaśnieniem, pośpieszył do łóżka choréj.

VII.

Krótka letnia noc wiecznością się stała. Teraz poranne światło biło przez pootwierane okna; zewnątrz wszystko ruch dzienny przybiérało, lecz w domu niezwykła i głucha panowała cisza. Od godziny lekarz nic już poradzić niemogący, skłonił się i odszedł, wzruszając ramionami, a niepocieszona Lucya jeszcze uwierzyć nie chciała, że owa piękna biała postać, którą niegdyś kochała tak mocno, zimném już tylko i martwem była ciałem. Jakże uczuła się w téj chwili opuszczoną! Cóż ma począć, kto jéj dopomoże?

Lekki szelest na progu przerwał jéj zadumanie, odwróciła się i postrzegła swą przyjaciołkę. Z otwartémi rękoma przybiegła młoda kobiéta do nieszczęśliwéj. W powrocie z podróży, wstąpiwszy do domu Lucyi dowiedziała się o nieszczęsnym jéj losie, a zjawienie się jéj, wielką było dla cierpiącéj pociechą; mogła przynajmniéj udręczenie swoje, jeśli nie najtajemniejszą jego przyczynę, we współczujące przelać serce! Doktor Braun pozostał był na korytarzu; lecz Lucya

łudzącą powodowana nadzieją, wezwała go co-najśpieszniéj, bo jako lékarz, nie mógłże udzielić pomocy? Może to tylko była śmierć pozorna. Braun się ukazał, ale musiał tylko potwierdzić to, co zwiastował jego poprzednik: »Pani Hohenried umarła z apoplexyi.”

Smutne godziny upływały w Dornbergu. Przybycie Brauna było szczęściem dla Lucyi; zajął się on urządzeniem pogrzebu i oszczędził zbolałemu jéj sercu nie jednę dotkliwą ranę.

O wszystkiém, co się tam stało, nikt jeszcze w Schwarza nie wiedział. Hrabia Königsborn spodziewał się otrzymać pozwolenie złożenia swojego uszanowania, a Zehsen, którego list pełen rozpaczy ostatnim już był środkiem, umiérał prawie z niecierpliwości, gdyż służący bezczelnie przed nim skłamał, że go oddał do własnych rąk baronowéj, która śpieszną odpowiedź przyobiecała.

Zehsen szczególniéj w bardzo przykrém znajdował się położeniu. Hrabia Königsborn, zaraz po swojém przybyciu udał się do niego, i święcie zaklął na słowo honoru, aby mu wyjawił, jak go dawniéj o tém upewniał, czy prawdziwie pozyskał przychylność panny Hohenried. Zehsen, dla którego honor może jedyną był świętością, nie mógł tego potwierdzić, i rzekł tylko: — iż w nieobecności ojca, nie sądził być stosownem prosić o rękę Lucyi, lub zmuszać ją do wy-

znania; ale mógł jednak mieć nadzieję, że stałe jego przywiązanie uwieńczoném będzie.

Z dwójznaczną miną słuchał tego hrabia, i gdy odpowiedział na to:—Że mowa jego teraźniéjsza prawdziwém była odwołaniem, i że mocno się dziwi, jak człowiek honorowy mógł tak bezzasadnie szczycić się miłością kobiéty, nie miał co na to powiedziéć Zehsen i udał obrażonego, co jednak prawie żadnego na hrabi nie uczyniło wrażenia. Zehsen uczuł, że powinien z teraźniejszego swego oddalić się pobytu; ale wprzódy chciał rozmówić się z Kamillą i plan na przyszłość ułożyć. Węzeł krępujący ją z niekochanym małżonkiem, nie był przecie nie do rozerwania; powinna się rozwieść i pójść za skłonnością serca; wówczas Zehsen stanie się najczulszym dla niéj mężem, będzie usiłował zadowolić każde jéj życzenie, i najsowiciéj wynagrodzi tak długie osamotnienie.

Wybiegł; spieszył drogą do Dornbergu, aby zobaczyć, czy się nie zjawi do niego posłaniec. Południe było; słońce z całą mocą rozpalało opoki; duszące było powietrze: najmniejszy wietrzyk nie zionął w dolinie. Zehsen nic prawie nie czuł; postrzegł zdaleka wieśniaka idącego pieszo ku niemu. Pośpieszył na jego spotkanie, i wtedy dopiero poznał starego strzelca, który zawsze nie bardzo okazywał się dla niego przy chylnym, a w téj chwili prawdziwym zdawał się być wrogiem.

—»No! no!" zawołał już zdala. »Właśnie też jest po co śpieszyć! I czegóż pan tam chcesz jeszcze? Czyż tę przeklętą historyą potrafisz naprawić?"

—»Niecnoto!" krzyknął oburzony Zehsen.

—»I cóż, niecnoto!" grubijańsko odparł Adam. »Zamiast tam śpieszyć, powinieneś pan raczéj zabrać swoje manatki i uciekać, a nie chcieć dowiedziéć się o całém nieszczęsciu. I osioł by to poznał, że pański list stał się tego wszystkiego przyczyną."

—»Człowiecze, o czémże ty gadasz?" krzyknął Zehsen, złowrogiém tknięty przeczuciem. »Co-za list? i czegóż miałby być przyczyną?"

—»No, i cóż, ot pański list," rzekł Adam. »Ów śliczny list, który mi ten przeklęty leniuch wścibił po drodze, a który chciałem, który powinienem był wrzucić do kuchni-czarownic, on to ją bezwątpienia dobił."

—»To więc Karol skłamał?" odrzekł Zehsen, nie zważając na ostatnie strzelca wyrazy.» Oddałeś za niego list i przynosisz mi odpowiedź? Dawaj coprędzéj! Co powiedziała baronowa? co robi?"

Adam bystro spojrzał na niego. »Myślałem, że pan dla tego tam śpieszysz," rzekł nieco ułagodzony. »Baronowa umarła."

Zdało się osłupiałemu jak gdyby piorun uderzył przed nim straszliwie w opokę; nie zdołał odezwać się ani słowa, najmniejszego uczynić poruszenia; zbladłych ust nie mógł otworzyć, aby mieć potwierdzenie okropnéj wiadomości; lecz Adam, chociaż nieproszony, potwierdził ją z bezwzględną goryczą, a potém poszedł swoją drogą, bynaimniéj nietroszcząc się o pozostałego. Długo jeszcze stał w osłupieniu, patrząc przed siebie, i nicość tylko widząc; potém siły go opuściły i padł na rozpalone od słońca kamienie.

Hrabia Königsborn, dowiedziawszy się o smutnym wypadku, napisał natychmiast do Lucyi z jak największą względnością, błagając, aby powóz jego przyjęła, i jak niewątpliwie serce jéj pragnie, pośpieszyła do chorego ojca, a przytém zapewniając, iż zatrudnienia jeszcze na niejaki czas w Schwarza go zatrzymują. Lucya, tknięta tą współczułością, przyjęła jego ofiarę; chciała piérwsza tę smutną wieść ojcu zanieść, sama go pielęgnować, całe swe przywiązanie zlać na niego, aby mniéj czuł boleśną stratę, święta jednak powinność dzień jeszcze zatrzymała ją w Dornbergu. Gdy niesiono ziemskie zwłoki jéj matki na miejsce wiecznego spoczynku, śród niebotycznych gór położone, ukazał się także hrabia, i z nielicznym po-

łączył się orszakiem. Co-za spotkanie, po pierwszém ich zaznajomieniu się w tych górach! A jednakże mocniejszy węzeł serca ich skrępował, jak gdyby ujrzeli się znowu w wesołym tłumie salonów, pośród wybuchów dowcipu i radości, pod pogodném niebem szczęścia. Lucya niewymownie była piękną w smutnéj, żałobnéj sukni, a Königsborn, przez pełne uszanowania obejście umiejące oszczędzać najmniejsze cierpienie drażliwéj jéj duszy, miłość jéj pozyskał, która dotąd nietyle istniała w jéj sercu, ile raczéj w rozgorzałéj wyobraźni, tak, iż Lucya czyniła sobie wyrzuty, że w dzień pogrzebu matki, mogła dać przystęp słodszym uczuciom!

Nazajutrz, gdy jutrzenka zarumieniła gór szczyty, pożegnała się Lucya z przyjaciołką i iéj mężem, serdecznie dziękując im za przyjacielskie poświęcenie. Dwa powozy stały w odwrotnym kierunku przed bramą. Braun i żona jego jechali niezadługo gościńcem, wiodącym na płaszczyzny, a Lucya w towarzystwie pokojówki, zwolna wstępować zaczęła pod górę, drogą wiodącą pomiędzy skałami do siedziby hrabi Königsborn. Przez dwa dni podróży jedynie prawie o ojcu myślała, któremu radość ze swego przybycia zatrzéć miała tak boleśném doniesieniem; drżała na samę myśl zbliżyć ich mającéj chwili, gdyż do fizycznych

jego boleści, przydać miała dolegliwszą, głębiéj rażącą boleść! Lecz hrabia oszczędził jéj trudnéj powinności stania się zwiastunką smutnych wieści; śpiesznie przed nią wysłał umyślnego konno, z listem do matki, a ta, z największą, jak tylko można ostrożnością, udzieliła treści jego baronowi.

Jakie na surowym mężu uczyniła wiadomość ta wrażenie, tego ani hrabina, ani córka późniéj powiédziéć nie zdołały. Hohenried oddawna był nawykły wewnątrz swoje uczucia ukrywać, i tylko cichą noc i samotność brać za świadków swoich wrażeń. Czy uczuł, że życie Kamilli padło ofiarą zimnéj jego surowości, która dawno już wszelkich przyjemności je pozbawiła, a niedowierzanie i zazdrość jego przytłumiły w niéj własny szacunek i głos sumienia; lub czy domyślał się, że miłością i względném oszczędzaniem, jak talizmanem potężnym, byłby ją znowu ku sobie nakłonił; lub też przypuszczał, że ostry list jego, wyrzucający jéj błędy i w krótce straszliwym zagrażający sądem, rozprzągł zupełnie i bez tego już nazbyt słabe jéj nerwy: któżby to mógł odgadnąć? Zaraz po pierwszéj rozmowie z córką, z któréj mógł wnosić, że przynajmniéj domyślała się wszystkiego, prosił ją ze smutną powagą, aby przed nim nigdy imienia zmarłéj nie wymawiała. Ale całą miłość

którą pałał dla Kamilli, chociaż jéj nigdy nie okazywał, zlał na córkę swoję; gdy zaś ją poznał bliżéj, z radością postrzegł, że umysł Lucyi nie był całkiem stłumiony, lecz przymroczony tylko światowemi wyobrażeniami, któremi tak niesłusznie pomiatał. Czułość, któréj zapędy zawsze jednak powściągać umiał, aż nadto dowodziła, iż w głębi serca ukrywał wzruszenia, których nikt domyśléćby się nawet nie mógł.

— »Czy prędko przyjedzie hrabia?" zapytał Hohenried córkę.

— »Nie wiem tego," odpowiedziała, nieco zapłoniona.

— »Bardzo prędko, mogę to zaręczyć!" rzekła hrabina, z przyjaznym uśmiéchem zachwycające pieszcząc dziewczę.

Hrabia już był w drodze, o czém zwiastował matce, wraz z innemi nadmienieniami w liście, który taż skrycie przed okiem barona doręczyła Lucyi, aby sobie na osobności odczytała.

I Zehsen także Schwarzę opuścił, dowiedziawszy się od Adama okropnéj wieści, nie wrócił tam już nawet. Naprózno Karol oczekiwał swego pana; dwa dni przeszły, a widać go nie było, strapiony sługa już chciał się w uradowanego przeistoczyć dziedzica, gdy jakiś drwal oddał mu na brudnym kawałku papieru, ołówkiem nakreślony rozkaz, aby się udał z rzeczami do stolicy,

gdzie oczekującego znajdzie pana. Pani nadleśniczyna, któréj Adam wykrył prawdziwą przyczynę pobytu Zehsena, dowiedziała się późniéj, że wielką przedsięwziął podróż.

VIII.

Rok upłynął. Słońce znowu pałającym swoim promieniem paliło góry, i pyszną kwiatów szatą cieniste powlekało doliny. Podróżni naprzemian przybywali i oddalali się; pustynie gór, które dawniéj ledwo zakłócił prosty drwal, z szybkością błyskawicy spuszczając na doliny zrąbane w górach sosny, lub wesoły myśliwiec, ścigający po wąwozach kozy skalne, teraz nader ożywione zostały przybyszami z równin. Wszakże najwyższa tylko grupa gór ku wschodowi, była jedynym może punktem, który parasoliki i słomiane kapelusze najmniéj odwiedzały, gdyż wszystkie tłumy ciągnęły na dostępniejszą wyżynę, skąd i widok obszerny się rozciągał, i gdzie stała gospoda, zaopatrzona w muły ku powszechnéj wygodzie, chociaż na wszystkich innych do wygody przedmiotach zupełnie jéj zbywało. Tego roku jednak i do mniéj dostępnego gór wierzchołka zaszły odwiedziny, i to jeszcze bardzo liczne.

Bo już od kilku dni zajęci byli robotnicy torowaniem drogi, gdzie skały za nazbyt były strome, wygodne kując schody, wiodące do przestworza, na którém żelaznemi klamry poprzymocowywano ławki i inne siedzenia. Skoro zaś dzień Sto-Jański chylić się zaczął ku zachodowi, orszak uroczyście strojnych wiejskich dziewic, kwitnących zdrowiem i wdzięki, rozsiewał kwiaty po drodze, szykując się jakby na przyjęcie znako mitych gości. Wkrótce po nich zjawił się nadleśniczy ze Schwarza, w gronie galowo przybranych swych strzelców, a naprzeciwko stanęli górnicy we właściwych sobie strojach.

Upłynęło jeszcze pół-godziny oczekiwania. Dopiéro, zwolna postępując, ukazał się niewielki orszak, na który oczekiwano. Ciekawie wychylały dziewczęta głowy, aby obaczyć pannę młodą; w tym na znak nadleśniczego, chór dzielnych męzkich głosów, powitał nadchodzącą parę. Był-to hrabia Königsborn z przyszłą małżonką; za nimi postępował ojciec, baron Hohenried, i niewielka liczba sproszonych gości.

Lucya z zadziwieniem patrzyła na przygotowania do jéj przyjęcia poczynione; uprzejmie podziękowała dobrym wieśniakom i przyjęła ofiary, które zniosły jéj dziewczęta; dobroć jéj i piękność, wszystkie serca dla siebie zjednała. Hrabia rozkazał na stołach, po-

rozstawianych po gór urwiskach, zastawić ucztę, i wskazał gościom swoim piękną scenę, jaką zachodzące słońce jasnym promieniem swoim oświécało. Gdy zmrok zapadł, porozpalano pochodnie, i wino, którego hrabia nieszczędził, jeszcze bardziéj przyczyniło się do pozyskania mu serc podwładnych. Lucya poznała starego Adama pomiędzy strzelcami, i przyjaznemi przemówiła doń słowy.

—»A cóż Adamie," rzekł hrabia, »nie maszże podarku dla nowego państwa? Żona moja jednak dawno zabrała z tobą znajomość!"

—»Najłaskawszy hrabio," odpowiedział Adam, »bezemnie byłbyś jéj nie posiadał. Czyż nieprawda? — przy kuchni czarownic, do któréj gwałtem dostać się chciała?"

Lucya oniemiała i odeszła na stronę. Wówczas zawołał hrabia głosem dowódcy: »Ognia!" I wnet w ślady za echem, z góry na górę przelatującém, zażegły się po bliższych i dalszych szczytach światełka, które wkrótce płomień pałać zaczęły. Po-raz piérwszy w życiu Lucya ujrzała paloną sobótkę, i widok ten ją zachwycił. Po chwili hrabia dał znak wystrzałem z fuzyi. Było to hasłem do fajerwerku, który na szczycie odległéj góry spalono. Nie posiadali się z zadziwienia mieszkańcy okoliczni, pierwszy raz to oględa-

jący. Hrabia objął w swe ramiona Lucyą, wskazując na jéj cyfrę, która właśnie, w wielkości kolosalnéj brylantowym ogniem zajaśniała. »Czy wiész moje życie, gdzie to jest?" zapytał, — »Na Frauenbergu!"

Zadrżała przy jego piersi i wlepiła wzrok swój w tamtą stronę. — »Tam, każ krzyż postawić!" zawołała w zamyśleniu.

— »Krzyż!" powtórzył, obok stojący baron.

— »Dobrze!" odpowié Königsborn z uczuciem i ścisnął ojca za rękę. Ale obydwa Lucyi nie zrozumieli.

Karol Korwell.

Do Krubek.[1]

Wiele sztuka, nie wiele wam natura dała;
W smaku czystym, wysokim, wartość wasza cała:
I te cienie milczące, kwiatów mozaika,
Te wody żwierciadlane, widoków rysunki,
Dzieło ręki jednego mędrca — Ogrodnika,
Co rzuciwszy zgiełk miasta, spraw ostre fransunki,
Wznawia tu dawny sojusz człeka z przyrodzeniem.
Z odległych lodów zbiegły, przychodzień nieznany,

[1] Krubki: majętność JW. Hrabi Stanisława Grabowskiego, Jeneralnego Kontrollera Królestwa Polskiego.
(*Przyp. Wyd.*)

Zdało mi się, żem zrazu, z ciekawém zdziwieniem,
Przez te młode gaiki został powitany.
Lecz po chwili już wietrzyk płocho igrał zemną;
Drzewka, szepcąc ze sobą, kibić swą przyjemną
Zginały, i, wstrząsając utrefione czoła,
Uprzejmie przy spotkaniu kłaniały do koła.
Wodospad długo szemrał i z daleka szumiał,
Aż mnie zwabić do siebie na granicę umiał,
I tak mówił, poszeptem, w słodkiém zadumaniu:
„Tu na łonie spoczynku, w roskosznêm wygnaniu,
„Mieszkają cnoty dawne: szanowna gościnność,
„Dobroczynność, pobożność i młoda niewinność.
„Zostań tu, jeśli umiész kochać, naśladować,
„Co serce może dotknąć i umysł zbudować!
„Lecz odjeżdżasz, więc chowaj pamiątkę przynamnie,
„Dla cnot, Pań tego miejsca łagodnych, i dla mnie."
Ach! nigdy niezapomnieć kaskady przyrzekłem,
I żegnając ją długiém westchnieniem, — uciekłem.

J. D. L.

Dziewica z Dobrowlan.

Na stopniach ołtarza dziewica klęczała,
Pobożność anielska w jéj oczach jaśniała;
I tylko głos czasem zabrzmiał przerywany:
Daj zdrowie, daj szczęście babuni kochanéj!
— Pytała matuli dziewczynka uboga,
I czegóż ta panna tak prosi u Boga,
Bogata babunia téj dobréj panienki,
Ma konie, pojazdy, ma śliczne sukienki,
Ma srébro, ma złoto, ubogim rozdaje,
A panna ta jeszcze prosić nie przestaje.

MATKA.

Te pytania twoje nie dziwią mię, duszko,
Lecz własne niech na nie odpowié serduszko.
Miłość się nie pyta o srébro, o złoto;
Kto kocha, to kocha, bo kochać jest cnotą.
Za tych co sercu mili głos wznosim do nieba;
A komuż pomocy Boskiéj nie potrzeba?
Czy w lichéj i wątłéj lepiance chruścianéj,
Czy tam gdzie od złota połyskują ściany,
Wszędzie jest potrzebne do Stwórcy wołanie,
Bo nic się bez jego rozkazu nie stanie.
Przy skarbach największych nieszczęsnym być może,
Kto Ciebie o pomoc nie wezwie, o Boże!
Tak dziécię kochane, nie dziw się panience,
Co klęczy na stopniach w bogatéj sukience
I rączki pobożnie podnosi do Boga;
Gdybym téż ja taka nie była uboga,
Lecz złotem okryta, w karécie jezdziła,
Czyżbyś się też za mnie także nie modliła?
— Modliłabym, matko, modliła ze łzami.
— Więc widzisz, że serca są zawsze sercami.

Stanisław z Dzikowa.

Ferdynand Eboli.

Powieść z początków wieku teraźniejszego.

(z Ryciną)

Gdy Joachim Murat b. król Neapolitański urządził swe wojsko, wielu z młodzieży, którzy poprzednio z pogardą spoglądali na szczęśliwego syna oberżysty, natchnieni miłością sławy, stanęli pod jego chorągwiami.

Pomiędzy innymi znajdował się młody, szlachetny hrabia Ferdynand Eboli. Ojciec jego gorliwie bronił sprawy króla Ferdynanda, lecz umierając, sam zalecił synowi, aby za pośrednictwem Margrabiego Spina,

zajmującego wysokie miejsce w rządzie Murata, pojednał się z Królem. Młodzieniec chętnie dopełnił wolą ojca; wszedł do wojska, zabrane dobra odzyskał, a bywając często w domu Margrabiego, pokochał jedyną jego córkę Adelindę, i po ukończeniu kampanii miał ją otrzymać w małżeństwie.

Dotąd oddział Ferdynanda nie był czynnym, i dni pełne słodyczy płynęły mu w willi Spina; lecz nagle i do niéj doszedł odgłos wojny. Ferdynand spiesząc gdzie go nagły rozkaz wzywał, zaledwie miał czas kilką wyrazami pożegnać swoję Adelindę; zaledwie ścisnął jéj rękę, i jeszcze łza błyszcząca na jéj licu nieoschła, gdy już rączy rumak unosił młodziana ku Neapolowi.

Tegoż samego wieczora, gdy wszyscy w willi udali się na spoczynek, Adelinda kazawszy odéjść służącym, została sama w pokoju; obawa i niespokojność o Ferdynanda, którego życie miało być tak często na największe niebezpieczeństwo wystawionem, oddalały sen od jéj powiek; znużona, stanęła na balkonie wychodzącym na obszerny ogród, i wsparłszy głowę na ręku, zachwycona ciszą pogodnéj nocy, w głębokiém pogrążyła się dumaniu. Nagle zadrżała; niespodziéwany głos udérzył jéj ucho. Adelinda wstrzymuje oddech, przysłuchuje się uważnie, lecz wprzód nim rozeznała

czy-to był szmer wiatru igrającego wśród gałęzi, czy szum oddalonego morza, rozdzieliły się konary rozłożystego drzewa, balkon jéj ocieniającego, i przed zdziwioną dziewicą stanął.... Ferdynand.

Kilkanaście mil szedł z swoim oddziałem; a gdy towarzysze jego na nocleg stanęli, dopadł konia i tajemnie wrócił do willi, byle jeszcze choć chwilę przy swojéj Adelindzie przepędzić.

Którejże kobiécie nie pochlebiłby taki dowód miłości? Adelinda nie odebrała dotąd podobnego; pod ciągłą strażą ciotki, nawet z ust Ferdynanda nie słyszała tak ognistych wyrazów; nawet wtedy, gdy mu przyrzekała rękę, nie widziała w jego spojrzeniu takiego blasku, jak teraz, kiedy go miała utracić na długo, a może nazawsze; kiedy dzień jutrzejszy mógł mu przynieść zgubę. Nie pomyślała więc nawet o nieprzyzwoitości tego widzenia się; nie spostrzegała jak czas upływał, i po-pierwszy raz w życiu całą swoję miłość wyraziła szczerémi słowy.

Ferdynand musiał jeszcze przed rankiem kilkanaście mil ujechać, aby się złączyć z oddziałem; pożegnał więc Adelindę, a patrząc na ciemne jéj włosy, spływające po szyi, rzekł: »Daj mi jeden ich pukiel! złożę go na sercu, aby mię bronił od kul i mieczów, aby mnie dla szczęścia zachował!..."

Nie wzbraniała się dziewica. Ferdynand ostrzem sztyletu odciął pożądany pukiel, związał go wstążką co ramię Adelindy zdobiła, i skoczył z balkonu. Piosnka nucona z cicha, zapewniła niespokojną dziewicę, że się nie zranił w upadku, a późniéj nieco tętent kopyt końskich, dochodzący z zaogrodowego muru, przekonał ją, że tą razą jéj luby na długo się oddala.

Młody hrabia Eboli odznaczył się po kilka razy w przytomności Murata, i pozyskał jego zaufanie do tego stopnia, że ten wysłał go z ważném poleceniem do miasta, będącego w mocy Francuzów, do którego jednakże należało się przedziérać wśród czat i obozów nieprzyjacielskich.

Ferdynand przyjął z radością niebezpieczne poselstwo, i z pośpiechem wybrał się w drogę. W galopie przebył ulice miasta, i jadąc wskazanym sobie torem, mijał obszerne wzgórza winem zasadzone. Noc była piękna i cicha; sen i pokój zalegały ziemię dokoła; zdrzemnęła na chwilę i krwi chciwa wojna, a duch miłości sam jeden czuwał nad światem. Oddany nadziejom sławy i marzeniom miłości, młodzieniec szybko dążył do celu podróży, gdy daleki odgłos ludz-

kiéj mowy i stąpania koni, przerwał milczenie nocy. Ferdynand się zatrzymał, a z zbliżających się głosów, poznał że mówiono po niemiecku. Aby uniknąć nieprzyjaciół, rzucił się w uboczną ścieżkę; lecz gdy się coraz ciaśniejszą stawała, a niemiecka rozmowa coraz wyraźniéj obijała się o jego ucho, zsiadł z konia, przywiązał go do drzewa i pieszo biedz zaczął. Po godzinie przykréj i nierównéj drogi, stanął nad brzegiem strumienia, który płynąc między dwoma krajami, oznaczał mu kres niebezpieczeństwa. Chciał spocząć na chwilę, lecz lekki szelest w pobliżu, na nowo wzniecił jego obawę, wyjął więc powierzone sobie papiery z za sukni, wzniósł trzymającą je rękę nad głowę, i gotował się skoczyć w wodę; lecz nim to wykonać zdołał, silne ramiona ujęły go za barki i powaliły na ziemię. W cieniu nie mógł dojrzéć swego napastnika, tém więcéj że mu szybko zawiązano oczy i usta, skrępowano ręce i wrzucono w czółenko, które z niesłychaną prędkością zaczęło się wzdłuż wody posuwać Ferdynand wyszedłszy z podziwienia, zaczął uchem śledzić co się koło niego działo, lecz najgłębsze panowało milczenie. Po krótkiéj żegludze, wyniesiono go z łodzi, i ze zmiany powietrza wnosił, iż się w ludzkiém znajdował mieszkaniu; w mgnieniu oka pomimo oporu Ferdynanda zabrano mu suknie, papiéry, klej-

noty, zarzucono inne odzienie, związano nanowo ręce i nogi, i zostawiono na ziemi.

Młodzieniec skrępowany, pozbawiony wzroku i głosu, wściekłością i rozpaczą miotany, kilkanaście godzin przepędził w najokropniejszym położeniu, głód, pragnienie, złączyły się z bólem i niewygodą, tak, że stan jego nieznośnym się stawał. Już zaczął tracić nadzieję oglądania kiedykolwiek światła, gdy usłyszał lekkie stąpanie i łagodny głos dziecięcia, które, przypisując smutny stan młodzieńca napadowi zbójców, zdjęło zasłonę z oczu, odwiązało mu usta, rozcięło więzy, i Ferdynand przyszedłszy nieco do przytomności, ujrzał przed sobą młodego pastuszka, który zbyt długo zabawiwszy w polu, chciał resztę nocy przepędzić w staréj chacie, stojącéj nad brzegiem strumienia. Poczciwy chłopczyna, podzielił się z Ferdynandem kawałkiem czarnego chleba, przyniósł mu świeżéj wody, a hrabia odzyskawszy siły, poprawiwszy nieco grubą siermięgę którą go odziano, puścił się w drogę do Neapolu, chcąc Królowi swój nieszczęsny wypadek oznajmić.

Z trudnością zawlókł się do głównéj kwatery Miurata; straże nie chciały puścić biédaka w wytartéj odzieży, lecz gdy im wymienił hasło, które wychodząc od Króla otrzymał, zaprowadzono go do oficera. Gdy

Ferdynand na zapytanie dowódcy, wymienił swoje nazwisko, ten zdziwiony uwiadomił go, że hrabia Eboli przed trzema godzinami wrócił do obozu. Młodzieniec sądził się we śnie, lecz wkrótce ujrzawszy kilku znajomych, którzy go mimo smutnego położenia poznali, opowiedział im swoją przygodę, wzniecił ich zajęcie, i wkrótce wieść o przybyciu drugiego hrabi Eboli, rozbiegła się po obozie. Wieść ta doszła w końcu do uszu Króla, który chciał widzieć mniemanego samozwańca, i załatwić sprawę tém dziwniejszą, że przed niedawnym czasem, sam rozmawiał z hrabią Eboli, i dziękował mu za dokładne wypełnienie niebezpiecznego polecenia.

Stawiono Ferdynanda przed Muratem. Rzuciwszy okiem w zwierciadła, zdobiące posłuchalną salę, młody hrabia przekonał się, iż trudno będzie poznać go w łachmanach, z roztarganym włosem, z obłąkanemi i krwią nabiegłemi oczyma; słowem z widocznemi oznakami najokropniejszéj nędzy i znużenia. Przekonanie to wzmocniło się jeszcze, gdy tuż obok Króla, ujrzał młodzieńca w tych samych sukniach, w których on był obóz opuścił, z tą szlachetną i pełną godności postawą, na któréj teraz jemu samemu zbywało. Powierzchowność mniémanego hrabi, nie różniła się w niczém od powierzchowności Ferdynanda; też same ciemne

włosy ocieniały mu czoło, takież słodkie i żywe spojrzenie jaśniało z jego oczu, w głosie nawet niepodobna było znaleść różnicy. Fałszywy hrabia przemówił szyderczo do nieszczęsnego Ferdynanda, który oniemiały z zgrozy i oburzenia, odzyskał mowę, aby swego przeciwnika wezwać do śmiertelnéj walki; lecz osądzono, że hrabia Eboli niepowinien narażać swego życia przeciw nieznanemu oszustowi i włóczędze, który podług wszelkiego podobieństwa, musiał być szpiegiem nieprzyjacielskim. Dobroć Murata, uwolniła go od surowszéj kary, tylko wygnanym został za wały miasta, z zagrożeniem aby do niego więcéj nie powracał.

Trudno sobie wyobrazić stan duszy Ferdynanda; szydercze wyrazy niepojętego przeciwnika, i surowość niedawno tak łaskawego Monarchy, przejmowały go gniewem i boleścią. Po długim namyśle postanowił udać się do margrabiego Spina, i za jego pośrednictwem sprawiedliwość otrzymać. Nie był to wszakże zamiar łatwy do wykonania, willa Spìna leżała na przeciwnym końcu królestwa. Ferdynand nie miał ani szeląga, ani znajomego w téj części kraju; nie opuściła jednak go odwaga, przez dzień kryjąc się w zaroślach, szedł nocą; obfite niwy i ogrody Włoch, dostarczały mu żywności, i w kilka tygodni ujrzał mury, w których żyła jego Adelinda.

Z trudnością przypuszczono go do margrabiego; lecz gdy mu opowiedział dziwne wypadki, które go do tego stanu przywiodły, margrabia przyjął go jak swego zięcia, i zaprowadził do przeznaczonego dlań pokoju. Zaledwie tam weszli, tentent koni dał się słyszéć na dziedzińcu, donośny głos służącego oznajmił hrabiego Eboli, i w tejże chwili współzawodnik Ferdynanda ukazał się we drzwiach. Uniesienie Ferdynanda, wzgardliwe jego wyrazy, rozbijały się jak o skałę, o niewzruszoną i zimną powagę nieznajomego, który zaledwie spojrzeniem, na jego obelgi i wykrzyknienia odpowiadać raczył. W krótkości tylko oznajmił margrabiemu, że przytomny tu młodzieniec był oszustem, chcącym korzystać z podobieństwa jakie między niémi ustanowiła natura. Margrabia wierzył prawie słowom świetnego hrabi, lecz w oku i twarzy biédaka, przebijał się znany mu wyraz; nie miał siły odtrącić go od siebie, i nie był pewnym, który z dwóch Ferdynandów był jego przyszłym zięciem. Nakoniec uderzyła go myśl szczęśliwa: »prosić hrabianki Adelindy,” zawołał. »Niech przenikliwsze oko kobiéty, niech domyślne serce kochanki, rozsądzi pomiędzy wami.”

Zgodzili się na to młodzieńcy, i po chwili jaśniejąca szczęściem i pięknością Adelinda, stanęła przed współzalotnikami. Ojciec w krótkich słowach oznajmił jéj rzecz całą, rozkazując rozwiązać tę zagadkę.

—»Pani!” rzekł Ferdynand, »nie odtrącaj mnie od siebie dla tego, że w tak nędznym jestem położeniu, twoja miłość, może mi szczęście i pokój powrócić.”

Dziewica przerwała mu mówiąc: »Ty jesteś hrabią Eboli... Ty bezwątpienia.”

—»Adelindo!” rzekł drugi młodzieniec, »nie trać słów dla niegodnego, spodziéwam się że jednem słowem przekonam cię iż jestem Eboli.”

—»Adelindo!” zawołał Ferdynand, »odemnie przyjęłaś ślubną obrączkę, mnie przed Bogiem wierność i miłość przysięgłaś.”

Fałszywy hrabia zbliżył się do dziewicy, zgiął kolano, i wyimując z zasukni pukiel włosów zieloną wstążką związanych, ukazał jéj go w milczeniu.

Twarz Adelindy spłonęła mocnym rumieńcem, odwróciła się do ojca i wskazując na klęczącego młodziana, rzekła:

—»To Ferdynand!”

Istotny Ferdynand usłyszawszy te wyrazy, wybiegł z sali, opuścił willę, biegł przez pola, łąki, skały, jedna myśl ścigała go wszędzie:—i ona się mnie zaparła, cóż mi po życiu!

W młodym wieku nie tak jednak łatwo dobrowolnie zbliżyć się do śmierci, témbardziéj gdy jakakolwiek, choćby słaba nadzieja, przywiązuie nas do zie-

mi. Ferdynand miał jeszcze dobra swych przodków; w tych murach gdzie dzieciństwo jego spłynęło, spodziéwał się znaleść schronienie; zebrał więc ostatki sił i puścił się w drogę.

Blady, strudzony i wynędzniały, zapukał we wrota; stary odźwierny co go jeszcze na ręku piastował, poznał swego pana; pomimo okropnéj zmiany, poznali go i domownicy, starania ich, troskliwość, rodzinne powietrze, znane przedmioty co go w koło otaczały, wszystko to wielką ulgę przyniosło sercu Ferdynanda. Posiliwszy się nieco wszedł do swego gabinetu, zdjął ze ściany miniaturę ojca, a wynurzywszy przed nią swe żale, oblawszy łzami, zawiesił sobie na szyi, i udał się na spoczynek.

O północy zadzwoniono; otworzyły się wielkie wrota, i współzawodnik Ferdynanda w towarzystwie margrabiego Spina, wszedł do pałacu jak do swego domu. Zdziwieni domownicy zbudzili Ferdynanda, fałszywy hrabia chciał tylko wydać rozkaz, aby go za drzwi wytrącić, lecz margrabia przekonany, że to jest oszust niegodny, oburzony jego mniemaném zuchwalstwem, oddał go w ręce miejscowéj zwierzchności. Przetrząśnięto ubranie nieszczęśliwego, znaleziono miniaturę oprawną w brylanty, i mimo usprawiedliwień Ferdynanda, pod sąd go oddano.

Sprawiedliwość jeżeli nie zawsze bezstronnie, to przynajmniéj szybko wydaje wyroki we Włoszech; Ferdynand przekonany pozornie o kradzież i prawie na uczynku schwytany, skazanym został na całe życie na galery.

Adelinda przez kilka tygodni nie widziała swego narzeczonego, jednakże margrabia wyznaczył dzień ślubu, i już potrzebne do tego przygotowania robiono, gdy nagła śmierć jego wszystko zmieniła. Adelinda postanowiła piérwszy czas żałoby, przepędzić w zamku, który klisko Neapolu posiadała; mniemany hrabia Eboli chciał ją nakłonić do tajemnego małżeństwa, lecz w końcu, widząc ją niewzruszoną, pozwolił odjechać, przyrzekając jak najczęściéj ją odwiedzać.

Zdawało się jednak, że przytomność Adelindy, przerażała go trwogą, że lękał się czegoś, i że nieśmiał podnieść przed nią czoła; miał słuszność, oko dziewicy rychło podstęp odkryło. W rzadkich i niedługich rozmowach, poznała jednak, że nie tego jéj serce wybrało. Choć rysy mniemanego hrabi, nie różniły się od rysów Ferdynanda, choć głos zupełnie tamtemu był podobnym, brakło mu wszelako téj słodyczy, tego wyrazu, który tak mocno ujął jéj serce. Czuła to za każdemi odwiedzinami narzeczonego; a im więcéj powątpiewanie jéj w pewność się zmieniało, im jaśniéj widziała że jest ofiarą podłego podstępu, tém mocniejszą odrazę czuła ku mniemanemu hrabi, tém bar-

dziéj pragnęła wyrwać się z sideł, któremi ją otoczył.

Odraza Adelindy zwiększała się codziennie, i w końcu w nienawiść się zmieniła, gdy dostrzegła że fałszywy hrabia Eboli, przekupił wszystkich jéj domowników, że każdy krok jéj śledzono, że z każdego jéj słowa zdawano mu sprawę.

Chcąc się dowiedziéć, jakiemi sposobami udało się oszustowi pozbawić Ferdynanda czci, majątku i wolności, udała się także do podstępu. Za przybyciem hrabiego, przyjęła go miléj jak zazwyczaj, okazywała większe przywiązanie, a młodzieniec upojony tkliwémi jéj wyrazy, i słodkiém spojrzeniem, wyznał wszystko.

Był on starszym synem hrabiego Eboli; matka jego młoda apenińska goralka, odtrącona przez hrabiego po jego ożenieniu, powzięła ku niemu nienawiść, a żonę i prawego syna, uważała za przywłaszczycieli praw swoich, i w tych czuciach wychowała swoje dziécie. Ludowiko wzrósłszy w górach, nie posiadał wielkiego ukształcenia, lecz jak każdy włoch, posiadał przebiegłość. Od dawnego czasu ułożył sobie plan odebrania majątku i tytułu Ferdynandowi; po śmierci więc matki zbliżył się tajemnie do niego, śledził każdy jego krok, i w końcu upatrzywszy sposobność, przywiódł swój zamiar do skutku.

Adelinda wysłuchawszy tego opowiadania, najdotkliwszemi wyrzutami obarczyła Ludowika. Napróżno

przedstawiał jéj, iż w oczach świata była jego narzeczoną, że własnemi usty miłość mu przyrzekła; odpowiedziała mu ze wzgardą: że woli dzielić nędzę i niewolę Ferdynanda, niż złączyć los swój z losem oszukańca, że jeżeli sam nie zmieni postanowienia, gotowa pójść do Króla i u nóg jego błagać sprawiedliwości.

Ludowiko, widząc że łagodne przedstawienia, nie miałyby żadnego wpływu, na rozdrażniony umysł dziewicy, powstał, i żegnając ją zimno oznajmił: że jéj nie będzie wolno opuścić zamku, dopóki jego żoną nie zostanie.

Adelinda zostawszy samą, i rozważając swoje położenie, uznała, że w saméj rzeczy nie zdoła wyjść z zamku zwyczajnym sposobem; lecz młodej, kochającéj i obrażonéj Włoszce, nie wiele czasu do namysłu potrzeba. Wiedziała ona o tajemnych drzwiczkach, które z zamkowéj kaplicy prowadziły w pole; tamtędy umyśliła wyjść; sześć mil drogi nie trwożyły jéj bynajmniéj, lecz chcąc ujść spojrzeń ciekawych, którychby idąca pieszo dziewica uniknąć nie mogła, odmieniła ubior. W garderobie jéj matki, znajdował się od niepamiętnych czasów, zupełny strój pazia; ten wybrała Adelinda, bo w nim najbezpieczniéj mogła przebyć przestrzeń dzielącą ją od Neapolu. Król Joachim lubił przepych w ubiorze, każdy więc z jego dworzan, musiał nosić kostium przyzwoity swemu stopniowi, i paziowie których w okolice miasta wysyłał, snuli się

po drogach w atłasowych i aksamitnych kurteczkach, w kapeluszach z piórami, w haftach w złocie, a to wszystko, tylko wśród słoty obozowym okrywali płaszczem. Adelinda więc za pazia przebrana, nietylko bezpieczeństwa, lecz i poszanowania spodziewać się mogła w drodze. Gdy wszyscy domownicy udali się na spoczynek, dziewica w milczeniu przywdziała opiekuńcze szaty; odmówiwszy szczérą modlitwę w kaplicy, dotknęła sprężyny otwiérającéj skryte drzwiczki, i w chwili, ujrzała się wolną, za obrębem zamkowych murów; w koło niéj wzgórza okryte żółknącym liściem, nad nią gwiazdziste niebo, i cisza przerywana mocnym wiatru poświstem.

Korzystając z spokojności panującéj dokoła, Adelinda puściła się odważnie w drogę, szła śmiało i ochoczo, w kierunku Neapolu; lecz zamiast gościńca, który się wkrótce ujrzéć spodziéwała, co-raz wyższe wzgórza, co-raz gęstsze zarośle, ukazywały się przed nią. Dziewica przyśpieszała kroku, lecz okolica co-raz dzikszą się stawała, skały i kamienie zajęły miejsce roślin, i biedna za nadejściem ranku uznała iż zabłądziła.

Głodna i spragniona siadła na kamieniu, lekkie jéj obuwie zdarło się prawie zupełnie, nogi nie przywykłe do tak ostréj i długiéj podróży skaleczały, w myśli stawały powieści o rozbójnikach ukrywających się pewnie w téj stronie, lecz żaden z nich nie mógł być

tak okropnym, jak los, przed którym uchodziła, i który pewnie stałby się jéj udziałem, gdyby raz jeszcze wmoc Ludowika wpadła.

Ta myśl dodała jéj odwagi; u źródła płynącego w pobliżu, ugasiła dokuczające pragnienie i w dalszą zabrała się podróż. Tymczasem słońce wznosiło się ku południowi, promienie jego tak skwarne i piękne we Włoszech, padały prostopadle na głowę Adelindy, dotąd tak starannie przed upałem ochranianą; wysilona, weszła do jednéj z licznych grot, które natura w łonie tych skał utworzyła. Dziewica spojrzała trwoźliwie do koła; nie było nikogo w jaskini, lecz chléb nóż i dzban wody stojące na ogromnym głazie, świadczyły że niedawno jeszcze zamieszkaną była. Adelinda usiadła, posiliła się chlebem i wodą, potém wsparła głowę na małéj, śnieżnéj białości ręce: ciemne włosy spadały na jéj czoło i szyję, smutek i znużenie znać było w całéj jéj osobie, a z łagodnych czarnych oczu gęste łzy spływały, na wspomnienie przebytych już, i czekających ją jeszcze trudów. Jéj fantastyczny i wytworny ubior, kształtna niewieścia postawa, piękność i wdzięk co ją otaczał gdy sama jedna siedziała w ponuréj jaskini, tworzyły obraz, któryby poeta opisywał z rozkoszą, a malarz z miłością malował.

Gdy hrabia Eboli, w skutku wydanego nań wyroku, odprowadzonym został na galery, przykuto go do jednéj ławy z rabusiem, który mimo występków, posiadał jeszcze iskrę szlachetnych uczuć, siłę, zręczność i odwagę. Oddawna już układał plan ucieczki, a widząc w Ferdynandzie mocną chęć wydostania się na wolność, obawiając się aby go nie wydał, powierzył mu swój zamiar, i obadwa szczęśliwie go wykonali; uwolnieni choć biédni udali się w góry, gdzie rabuś miał przyjacioł, i gdzie Ferdynandowi przyrzekł schronienie, dopókiby mu się szczęście i sprawiedliwość nieuśmiéchnęło.

Jaskinia w któréj spoczywała Adelinda, była właśnie schronieniem Ferdynanda i jego towarzyszy; łatwo pojąć radość młodzieńca, gdy chroniąc się przed skwarem słońca, do dzikiéj i odludnéj groty, ujrzał w niéj swoją narzeczoną. Objaśnienia niedługo trwały, młodzi ludzie postanowili udać się do Neapolu i odkryć niegodny podstęp Ludowika.

W tejże saméj chwili usłyszeli głosy rozbójników, prowadzących do jaskini więźnia, z którego powierzchowności spodziéwali się znacznego okupu; więźniem tym był.... przeciwnik Ferdynanda. Spostrzegłszy nieobecność Adelindy, rozesłał gońców w różnych kierunkach, i dziwném zrządzeniem losu, wpadł sam na drogę którą się ona udała.

Schwytany przez rozbójników, pozostał u nich w zakładzie, Ferdynand zaś i Adelinda, udałi się w przyzwoity swemu stopniowi sposób do Neapolu, i oznajmili Muratowi rzecz całą. Król z oburzeniem wysłuchał powieści, i przyrzekł surowo oszusta ukarać, lecz młodzi ludzie przez wzgląd na pokrewieństwo które ich z Ludowikiem łączyło, otrzymali przebaczenie dla niego, z pozwoleniem wstąpienia do wojska, w którym widząc sposób wyniesienia się, pokilkakroć odznaczył się odwagą i zręcznością, i otrzymał stopień oficera.

Ferdynand zaślubił Adelindę, wrócił do swoich godności i stopni, a niepomny krzywd które mu brat wyrządził, opiekował się nim ciągle; dostarczał wszystkiego co mu przyjemném być mogło; w niebezpiecznych potyczkach bronił jego życia, a kiedy Ludowiko ranny śmiertelnie ostatnie wydawał tchnienie, Ferdynand schylony nad nim, zamiast wyrazów zemsty i nienawiści którą nieszczęsny z mlekiem matki wyssał: usłyszał tkliwe i serdeczne błogosławieństwo, uczuł lekkie, lecz szczére ręki uściśnienie.